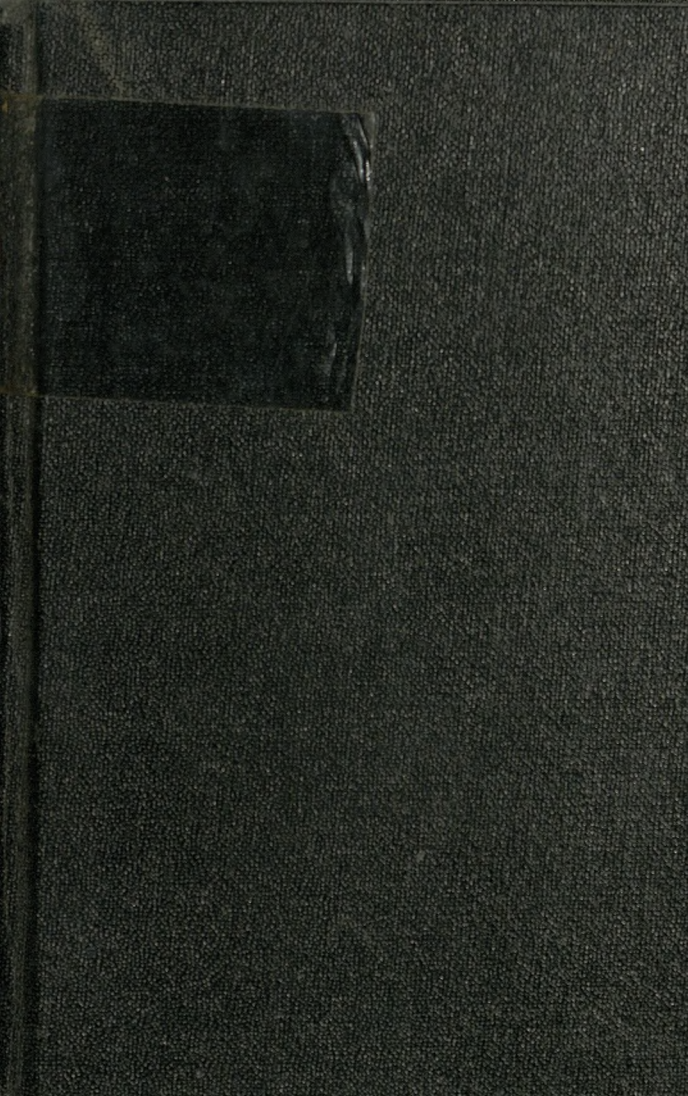




AUG 7 '51

MAR 20 '52

DEC 23 '52

C2523



772
C
2523
PAN ZYGMUNT

W HISZPANII.

POWIEŚĆ PRAWDZIWA

w 4ch Tomach,

Z OSTATNIEJ WOJNY DOMOWEJ

HISZPAŃSKIEJ

PRZEZ

Autora wspomnień z podróży

po D. N. A. &

TOM I.



WARSZAWA.

W DRUKARNI JÓZEFA UNGER.

1852.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

W Warszawie dnia 11 (23) Lipca 1851 r.

Cenzor,

P. Dubrowski.

ROZDZIAŁ I.

LEKARZ ARTYSTA I ŻOŁNIERZ ARTYSTA.

Dwóch stało mężczyzn na brzegu bardzo szerokiej, wspaniałej rzeki, niedaleko od jej ujścia do morza, pod kopułą lazuruwego nieba i w rześnistém świetle słońca wstającego z oceanu. Na niebie drgały w promieniach porannych purpurowe, przezroczyste obłoczki, jak płatki gazy unoszonej wiatrem. Krajobraz był za-

chwycający. Na lewym brzegu pięknej rzeki toczącej nurty poważnie ku oceanowi, piętrzyły się schludne, bielutkie domy, jak po gradusach jedno nad drugimi. Każdy prawie z tych domków miał wieżyczkę, z kąd spoglądano na morze. Kilka kościołów wyciągało ku obłokom dość wysokie, świecącą blachą pokryte wieże. Za miastem, w stronie północnej i na grzbiecie stromego pagórka, sterczały kolosalne rozwaliny starożytnego jakiegoś zamku, a z pośród samego miasta tu i owdzie wyzierały z po za dachów jakieś pęki liści niezmiernych, ku ziemi zwieszonych, a na wysokich wysmukłych pniach osadzonych.

Morskie powiewy tak świeże, figlarne, igrały z niezmiernym lwem złotym wyszytym na szkarłatnym polu i bujającym na głównym bastjonie starego zamczyska, le-

żącego częścią w gruzach, a częścią jeszcze do straży kraju przydatnego.

Któż z tego nie pozna jakie opisuje miejsce? Wszakżeż ta kopuła lazuruwa, to niebo południa; te pęki długich liści, to palmy; ta wspaniała rzeka, to Guadiana; to miłe czyste miasto, to Ayamonte, sławne w dziejach rycerskich; ten stary czarny gród, to zamek Maurów, stojący tutaj od dziesięciu wieków; a ten lew złoty, z którym dziś śmia igrac fawony, to Lew Kastylii!

Ale nie na pięknym brzegu Andaluzyi stali owi mężczyźni, owszem na brzegu prawym, płaskim, piaszczytym, z drzew ogołoconym, któremu mało dodawało powabu miasteczko jakieś frontem wyciągnięte do Hiszpanii, a złożone z szeregu domów zupełnie do siebie podobnych i w linii stawianych.

Miasteczko to portugalskie, zwane Vila real de San Antonio, choć zaniedbane i nieładne, a przecież jest sławne; sławne tem tylko, że wyskoczyło z tych piaszków od razu i stało gotowe z rynkiem, ratuszem, kościołem i klasztorem od razu, jako owa Minerwa z mózgu Jowisza.

Rzecz tak się miała: margrabia de Pombal, wszechwładny minister króla Portugalii Jana I, uważał ujście Guadiany do morza za punkt bardzo ważny dla handlu świata, a zachęcony przykładem Piotra Wielkiego, chciał zaimprovizować miasto tam, gdzie się dotychczas mała zaledwie wioszczyna rybacka utrzymać zdołała. Wzięto się tedy do budowy, i wzniesiono naprzód na środku rynku, co? statwę dla fundatora; a potem kościół,

klasztór, spiżową cytadelę i resztę miasta. O ludności zapomniano zupełnie!

Reformator szkocki Knox mawiał niegdyś: „zburz gniazda a odlecą kruki.“ Burzył gniazda i istotnie odleciały kruki. A minister Pombal mówił: „uściel gniazda a przylecą kruki,“ — ale nie przyleciały kruki, bo żywności dla nich nie było. Anglia, pani wszędzie, gdzie tylko jest choć kropla wody słonej, nie pozwoliła handlowi, ani rybołóstwu portugalskiemu wznieść się nad stopień do wegetacyi konieczny. Przywileje nie pomogły, Villa real zyskało na nich zaledwie tysiąc mieszkańców, złożonych z rybaków i emerytów, którym rząd tylko pod warunkiem osiedlenia się w tém miasteczku, pensję udzielił.

Tak Villa real, choć położone nad ujściem pysznej rzeki i w rajskim klimacie,

ale nie stało się Petersburgiem. Wały się rozsypały, działa z lawet spadły i służą ulicznikom za zabawkę, największa część domów w gruzach, posąg tylko założyciela sterczy na rynku i spogląda się niewzruszony na wzrastającą zagładę swego ulubionego dzieła.

Owóz na tym smutnym brzegu portugalskim Guadiany, w obliczu tak pysznój przyrody i tak miłej poetyckim duszom Hiszpanii, stoi dwóch mężczyzn.

A pomiędzy nimi kontrast zachodzi wielki. Jeden już podeszły. Na siwiuteńkiej głowie nosi kapelusz słomiany z szerokimi skrzydłami.

Brwi ma czarne, długie, roztrzępione i w nieładzie spadające na wysokie, roztropne czoło, osłaniając bystre, czarne, niewielkie oczy, białko ich cokolwiek żółcią zaszle, jak to bywa często u bar-

dzo ciemnych południowców. Cera jego śniado-żółtawa, nos orli, spiczasty, zdaje się podawać rękę brodzie także spiczastej i w górę zadartej, usta prawie bez warg, zasznurowane, w twarz wciśnięte. A jednak te czarne, bystre oczy nie wyrażały chytrości, lecz raczej pewien rodzaj smętnego, dobrodusznego zajęcia się towarzyszem, gdy spadły na niego, — a na tych ustach choć tak szczelnie ściśniętych, że o istnieniu warg wątpić można było, nie widać szyderstwa, owszem igrała ciąglą niepowściągnięta żądza mówienia. Ubioru tego jegomości rozpoznać nie można było, ciemno-brunatny płaszcz przykrywał go całkiem.

Tylko jeden naród portugalski nosi w lecie i zimie kapelusz słomiany i płaszcz zarazem. Pierwszy pokrywa mu głowę ciąglą namiętnością wzburzoną; a drugi,

nielad ubioru. Ale, że nasz jegomość należał istotnie do wyższych klass towarzystwa, dowodziła tego galka szczerolota na wysokiej trzcinie, którą dzierżył w ręce, oraz wielka ilość pierścieni z dyamentami, któremi Portugalczycy i inni ludzie niechętnie pracujący, lubią sobie krępować palce.

Tym starcem był don Pasqual Bomfim, Doktor medycyny fakultetu Koimbrjjskiego, dawny sztabs-lekarz wojskowy, dziś lekarz urzędowy miasta Villa real, sprawujący zarazem obowiązki vice-konsula królowej hiszpańskiej. I dobrym był lekarzem don Pasqual; sława jego rozchodziła się nietylko na całą Algarwię, lecz nawet na wielką część zachodniej Andaluzyi. Wzywano go do najpierwszych domów w Ayamonte, skoro tylko choroba do nich zawitała; co

zresztą rzadko się tu zdarzało, gdyż ani klimat, ani położenie miejsca, ani téż żadne nałogi trujące życie nie usposabiają tutaj do chorób.

Doktór ciekawie się wpatrywał w swego towarzysza i śledził w najmniejszém z poruszeń jego wyrazistęj, otwartęj twarzy, przyczyn chwilowego zajęcia téj głowy obdarzonęj tak dumnym, pogodnym, choć niezbyt wysokim czołem.

I wierzę bardzo, że w tym kraju, gdzie wszystkie oczy są ciemne, wszystkie włosy czarne, twarze śniade, skryte, zaczajone,—i wierzę bardzo, że w takim kraju, ciekawość wzbudzał widok mężczyzny jasnowłosego, na którego wargach ledwo wyrosł wąs dziewiczy, na którego licach błyszczał jeszcze młodzieńczy rumieniec.

Ubiór młodego człowieka mógł być także zwrócić uwagę w tym kraju, w któ-

rym więcej dbają o przepych jak o czystość. Noga jego wązka tkwiła w dobrze zrobionym, świecącym bucie; szarawary miał letnie jasno-kolorowe, bieliznę cienką i surdut letni barwy piasku, obejmujący kształtnie wysmukłą kibić młodzieńca i piersi jego silne. W dziurce od surduta tkwiła wstążeczka orderowa, co zdawało się wskazywać, że kawaler ten był jak się zdaje wojskowym, a krój furazerki potwierdzał to domniemanie

Młody oficer, gdyż takim się być wydawał nowy nasz znajomy, spoglądał z czułym podziwieniem na otaczającą go przyrodę. Wszystko go zajmowało, czarowało. Raz spojrział na stary gród Maurów i brwi dumnie zmarszczył, znów okiem zmierzył przestrzeń oceanu i czoło rozjaśnił, wlepił je w śnieżne szczyty gór,

odgraniczające daleki widokrąg, i źrenica łąą zaszła. Każdy przedmiot wzbudzał w nim inne uczucie, a każde uczucie błyskało innym wyrazem na jego pięknej i smętnej twarzy.

—Don Sigismundo,— przemówi nareszcie w języku hiszpańskim, zniecierpliwiony długiem milczeniem Doktor, do młodzieńca — Don Sigismundo, o! wiem ja dobrze, jakie cię myśli przeszywają, gdy spojrzysz w tamte strony, wiem ja czemu łąa ciśnie ci się do oczów na widok tych śniegów.

—Blask światła tak rżęsiście rozlanego w powietrzu, razi mi oczy i wilgoć z nich wydobywa, odpowie Sigismundo także po hiszpańsku, ale wolno, niebiegle i dziwnym jakimś cudzoziemskim akcentem.

—Oho! panie poruczniku! rzeczy zno-

wu gadatliwy doktor, mnie nie zwie-
dziesz. Znam ja was dobrze! Odbywa-
łem kampanię 12⁵⁰ roku w wojsku Na-
poleona, z trzech pulków portugalskich
wróciło zaledwie 300 ludzi, a połowa ich
została na wieki kalćkami. Poznałem ja
w tej kampanii ludzi, których i wspom-
nienie śniegów swego kraju do łez roz-
rzewnia. Nie! nie myślę się — ale nie po-
tępiam cię za to, że kryjesz przed świa-
tem szlachetną twą boleść: ogół ludzi nie
jest w stanie jęj ocenić. Rób tak zawsze,
panie poruczniku! Ale zmieńmy rozmo-
wę. Powiedz, długo myślisz zatrzymać
się w Ayamonte?

„Tak długo, jak mnie do siebie przy-
ciągać będzie. Wszystko mi jedno gdzie
bawię, gdy nie jestem u siebie, bylebym
się bawił — odpowie młody porucznik,
uśmiechając się smętnie. — Oddawna,

pragnę być w tej Hiszpanii, która swym Don Kiszotem i Żil-Blasem czarowała me dzieciństwo, której Cyd i Almanzor unosił młodzieńcze serce. A może też w kościołach znajdę jakiego Murilla lub Velasqueza; może gdzie spotkam jaką Inez lub Ximenę, do której już od dawna serce me tęskni. Zobaczymy.

—Czy spotkasz jaką Inez, lub Ximenę godną twego ideału, w Ayamonte, tego nie wiem; ale że w niem znajdziesz arcydzieło sztuki malarskiej, godne podziwienia, godne ubóstwienia największych artystów, za to istotnie ręczyć ci mogę, Don Sigismundo.

—Czy istotnie? zawoła młody oficer z zaiskrzonemi ciekawością oczyma. Czy istotnie tu, w małym Ayamonte, gdzie się zapewne nikt poznać nie umie na wartości sztuk pięknych, malowidło jakieś pię-

kne miałoby ujść chciwości rabujących Francuzów, lub kupujących Anglików? Niesposób?

—Tak jest jednakże w istocie. Przecież będąc znawcą i dobrym malarzem choć dyletantem, słyszeć musiałeś o obrazie Dziewicy Niepokalanego Poczęcia, malowanėj umyślnie przez Murilla dla klasztoru Norbertanek w Ayamonte. Obraz ten Murillo darował klasztorowi, gdy właśnie wyświęcono na zakonnicę jedną z jego córek, i wówczas już uważanym był za najpiękniejszy utwór wielkiego mistrza, staranniej bowiem był wypracowanym, niż tysiąc innych.

—Wiem, wiem, odpowie ze smutkiem Don Sigismundo,— ale obraz ten znajduje się wraz z wieloma innemi w galeryi obrazów marszałka Soult, w galeryi tak czczonėj i pilnowanėj przez jej właścicie-

ła, że tylko wielcy panowie wstęp do niej uzyskują. Ja nie mogłem osiągnąć tego szczęścia.

—Cha, cha, cha! jakie to szczęście, że się wielcy panowie jeszcze mniej znają na wartości sztuk pięknych, niż mieszczenie w Ayamonte. Rozjaśnij czoło, Don Sigismundo, za godzinę będziesz podziwiał pierwotwór, którym się szczyci Andaluzya. Ale otóż i nasza łódź! Dalej! rzuć choć jedno serdeczne spojrzenie biednej Luzytanii, która ci wiele winna, a nie dać nie może, i płynmy do Ayamonte.

Mała łódź zbliżyła się do brzegu, wniesiono na nią pakunek oficera. Więcej było kartonów i broni, niż innych rzeczy.

Młody wojskowy wyciągnął rękę ku krainie Portugalskiej w której tyłu z jego przyjaciół znalazło śmierć i koniec cier-

pień, a potem wskoczył w łódź i z grzecznością pomógł wstąpić doktorowi. To poszanowanie dla starości, cnota nie każdemu narodowi właściwa, ujmowała mu serce wszystkich dobrych ludzi za granicą.

— Gdybym posiadał twój talent malarzski, Don Sigismundo, wołałbym władać pędzlem jak pałaszem, — rzecze znów doktor Portugalski, usiadłszy wygodnie w łodzi.

— Jakto? ja miałbym sobie pędzlem zarabiać na życie? może jeszcze portretować każdego głupca lub maskarę, która ma pieniądze i lubi się widzieć odmalowaną? Nie, tego nie zrobię — wolę się bić z nieprzyjaciołmi — choćby też tylko opinji mojej.

— Lub opinji twych przyjaciół — dodał doktor Portugalski, patrząc się tym ra-

zem dość sarkastycznie w oczy młodego, żywego oficera.

— Lub opinii mych przyjaciół, — powtórzył pan Zygmunt z najlepszą wiarą w świecie.

— Duma twa szlachecka cię zaślepia, panie poruczniku!

— Duma szlachecka? oh! nie, tym razem pewno nie szlachecka! Duma artystowska raczej — nie chciałbym profanować tej poezyi, którą tak głęboko, tak rzewnie w sercu pielęgnuję, — za nic w świecie nie chciałbym się wyzuć z tej wiary w jakieś szlachetniejsze zasoby życia, zasoby tak święte, że nie powinny być użyte do żadnego materialnego celu. Ciało me niech sobie podlega wszystkim niedogodnościom życia w obronie tego, co rozum mój uważa za dobro świata pożyteczne. Ale dusza niech krąży ciągle w czystych, niepo-

kalanych sferach poezji — żadne stosunki ziemskie uwięzić jej nie mogą, żadna potrzeba ziemska sięgnąć do niej nie powinna. Jestem artystą — czuję to w głębi serca, choć mało mam talentu oddania tego materjalnie, co się w mych uczuciach jawi i tworzy. Tak! jestem artystą i ideału sztuki przezemnie pojętego nie będę kalać żadną rachubą. Wolę łby zbijać moim wrogom!

— I wrogom mych przyjaciół? zapytał raz jeszcze cokolwiek szyderczo doktor portugalski.

— I wrogom mych przyjaciół! odpowie pan Zygmunt zawsze z najlepszą wiarą w świecie.

— I wrogom znajomych pańskich przyjaciół? podchwycił znowu doktor, śledząc ostrożnie w szczerych, jasnych oczach

młodego oficera, wrażenia sprawionego
tém zapytaniem.

Ale te oczy jasne, uczciwe choć dumne,
przyćmiły się tym razem, pytającem, co-
kolwiek zdziwioném, gniewliwém poru-
szeniem brwi.

—Ah ça? ah ça? spyta don Sigismun-
do po francuzku umyślnie, żeby go wio-
ślarze nie zrozumieli, —Ah ça? seriez vous
par hasard Carliste? Jakto, lekarz miej-
ski rządu donny Maryi, vice-konsul don-
ny Izabelli, byłżeby?...

—Dziękuję najuniżeniej za podejrzenie,
za które przy pomocy dobrych przyjaciół
w czasach terażniejszych bardzo łatwo
można się dostać na gałęź. Nie! nie lękaj
się don Sigismundo! jestem uczciwym,
sumiennym człowiekiem — wiary twój
w niechybność systematu, którego życiem
twém chcesz bronić, nie podzielam — ale

podziwiam i szczerze wielbię entuzjazm młodzieńczy i na schyłku życia życzylbym sobie, żeby moi synowie, przy całej z klimatu i krwi pochodzącej żywości, mieli cokolwiek tej dobrej, silnej wiary, która tobą włada. Nie! — nie o politykę tutaj idzie! rzadko bardzo szlachetny młodzieniec z sumiennym starcem spotkać się może na tém polu bez potępienia się nawzajem,— doświadczenie prawie zawsze jest nieprzyjacielem zapалу, choć doświadczenia nabyć nie można bez poprzedniego zapalu. Mądrym być może, tylko ten, co kiedyś był wierzącym. Ale idzie tu o rzecz wyższą jak wszystkie systemata, wszystkie wyniki rozumu, niewystarczające same sobie do szczęścia, nawet tak krótkiego, jakiego doznać możemy podczas naszego pobytu na tej ziemi. Idzie tu o przyszłość tej iskierki ognia niebieskiego, co

w tobie tak żywo, tak gorąco pała. Puszczony w młodym bardzo wieku bez rad na ten obszar świata, wtrącony pomimo woli w labirynt działań, o których znaczeniu dobre two serce pewno nawet wyobrażenia nie miało, — nie wiedząc może nawet sam jaki dług, jakie powinności zaciągnąłeś posiadaniem tego, co tak rzadko jest danem człowiekowi — błądasz się po tym świecie pędzony potrzebą uczuć i czynów, której nie znasz przyrody, choć znasz nazwisko. Tak! jesteś *poetą* i *artystą*, wiesz o tém i w twojej duszy czujesz niewyraźne jakieś usposobienie, wywyższające cię w wielu względach nad ogół; — ale czy wiesz jakie zaciągasz powinności względem wyższej potęgi, tém posiadaniem wyższych sposobów? — to inne pytanie, na które zdaje mi się, szlachetny mój młody przyjacielu, z trudnością by

ci przyszło odpowiedzieć, — a może nawet wcale nie potrafiłbyś, bo wątpię czy masz wyraźną wiedzę własnych swych usposobień i przyszłości, którą ci rokować, lub którą ci grozić mogą.

Zygmunt przestał się poić czarującym widokiem trzymającym dotychczas całą jego duszę w więzach—usiadł pomimowolnie na ławeczce przeciwległej siedzeniu doktora, zatopił w niego pytające oczy i przemówił, widząc że towarzysz zamilkł:

— Wiele zwiedziłem świata w mych wędrówkach już od pięciu lat trwających,—wiele już wycierpiałem, oh! wiele bardzo! — wielem także poznał ludzi i zdań usłyszał, — alem nigdy nie słyszał tego co ty teraz mówisz, oh! don Pasquale.

— Ani też widział cudzoziemca, starca, któryby rozstając się z tobą, niepowołany do tego, interesował się przyszłością twą,

którą spędzisz opodal od niego, w jego niewiedzy i po jego śmierci,—dodał doktor portugalski.

— To prawda! rzadko byłem w jakiegokolwiek bądź styczności ze starcami. Zabytki te uszłych wieków wzbudzają we mnie cześć i względy, ale od czasów kiedy na podstawie zupełnie innych pojęć świat się budować zaczął, mało u mnie więtości mają zdania starych ludzi, co zupełnie niewprawnemi oczyma spoglądać muszą na tę przyszłość, tworzącą się pomimo ich wiedzy i woli,— a nawet czasem wbrew ich wiedzy i woli.

— Oh! drogi don Sigismundo, wierzaj mi, że młode generacje są i były zawsze niezmiernie zarozumiałe!....

I ja będąc młodym myślałem, że świat pojedzie galopem na Voltairze i na Jakóbie Rousseau,—a ojciec mój wychowa-

ny w Uniwersytecie Koimbryjskim w ten czas właśnie, kiedy Pombal z niego Jezuitów wygonił, utrzymywał, że światło Boga dopiero od owéj chwili wkroczyło do Europy. Każda generacja miała ulubioną swoją ideę, na której jeździła jak dziecko na drewnianym koniku. Ale na nieszczęście, postęp nie odbywa się skokami i w grzbiecie systematów, lecz wolno, pewno, na zasadzie wszechstronnego rozwoju wszystkich sił wchodzących w skład natury ludzkiej. Ale nie o tём tu mowa, drogi panie poruczniku — nie o tём wcale! Mnie idzie o to, żebyś godnie spożytkował iskrę niebieską pałającą w twéj duszy, — mnie idzie o to, żebyś łudząc się błyskotliwými nadziejami wieku twego, nie zaniedbał, nie sponiewierał daru Boskiego, który, jeśli się na nim poznasz, jeśli go uszanujesz, może ci zabezpieczyć

szczęście gdziekolwiek będziesz, a potomości zostawić coś w zysku, gdy dusza twa odwołaną zostanie z tych siedzib i wróci w ręce Stwórcy. I dlatego radzę ci, żebyś nie wojował pałaszem, tylko pędzłem.

— I malował głupich, złych i brzydkich na zawołanie! — rzekł znowu z oburzeniem pan Zygmunt.

— I malował głupich, złych i brzydkich na zawołanie, — za pieniądze i darmo nawet. Inaczej nawet zrobić nie możesz. Nie jesteś bogatym, czémże sobie chcesz zapracować na wykształcenie? Pomysłów masz wiele, — ale żywiołów do wykonania ich musisz szukać, nie w powietrzu, nie w morzu, tylko na ziemi, pomiędzy ludźmi. Przydadzą ci się głupi, źli i brzydali w twych malowidłach, bądź tego pewnym. A potem co jest zadaniem sztuki?

malować naturę i oddać ją wiernie w jej brzydkich utworach, podnieść zaś i zobó-
stwić w jej pięknie. Jedno bez drugiego
obejść się nie może, tak jak światło ist-
nieć nie może bez cienia. Jesteś dumnym
i nie chcesz usługiwać bogatym, kiedy ci
się nie podobają. Bądź jeszcze cokolwiek
dumniejszym i usługuj im dla dopięcia za-
miarów wyższych nad ich pojęcie. Patrz—
i ja służyć muszę głupim i złym, przedłu-
żać ich życie i uśmierzać ich boleści, nie-
raz dobrze zasłużone, — ale chętnie to
czynię bardzo. Tą usługą zdobywam so-
bie środki wspomagania mądrych i do-
brych, i zdaje mi się, że więcej robię do-
brego niż złego; bo spokojny jestem w du-
szy, a jednak wiele myślę nad czynami
mojemi, i bardzo ostro je osądzam. Don
Sigismundo pojmij me dobre chęci i racz
w nie uwierzyć.

Tak skończył dobry starzec z zapalem serdecznym, młodzieńczym, a Zygmunt prawie do łez rozczulony, porwał go za rękę, czule ją uścisnął w obu dłoniach, i drżącym głosem rzekł:

— Amigo! słów twych nie zapomnę— ah! gdybym był słyszał taką mowę przy wstępie na ziemię obcą.

I starzec się rozrzewnił, umilkł, ręce wciągnął pod płaszcz ciemno-brunatny, złożył je i spojrzał w niebo, jak gdyby chciał powiedzieć: „Boże dziękuję ci, zbłąkanego sprowadziłem na dobrą drogę.“

Długa to była rozmowa, bo i szeroką jest Guadiana przy ujściu do morza; a wioślarze oczarowani krajobrazem, tyśiąc razy widzianym, krzepieni powiewami niosącemi na skrzydłach słodkie aromaty kwiatów Andaluzyi, popychali łódź jak gdyby z niechcenia. Ale łódź dobija

nareszcie — Zygmunt staje po pierwszy raz na ziemi Cyda i Murilla, i pomimo uniesienia, nie zapomina wysadzić na ląd starego swego przyjaciela.

Zygmunt był pojętnym, szlachetnym i dobrym młodzianem.

ROZDZIAŁ II.

O B R A Z M U R I L L A.

Kto po twój ziemi stąpa bez dumy i wzruszenia o Hesperyjski ogrodzie! Nazwa twoja brzmi w sercu jak całe księgi ballad i epopej; potężne twoje zamki, ogrody i ołtarze wskrzeszają pamięć Maurów, Gotów i Druidów; wspaniałe katedry drżą od hymnów nabożnego ludu, a pod cieniem pysznych drzew tańczą anioły!

Kto was nie pragnie zwiedzić o góry
i doliny Iberyjskie!

Widzisz tego młodzieńca wstępującego
na skalisty brzeg Hiszpanii? Jaka radość
w jego oczach, jakie wzruszenie
w ustach, jaka duma na czole! Powie-
działbyś, że to ksiązę, co bierze w posia-
dłość królestwo donny Izabelli.

Nie! to nasz Zygmunt, biędny tułacz,
ale przedewszystkiém poeta. On całkiem
żyje urokiem téj błogiéj chwili i tętnią
mu w uszach bollery i fandangi słyszane
na operze paryzkiej, mocniéj jeszcze jak
owe dzwony kościoła w Ayamonte, wzy-
wające nabożnych na summę. Ale wier-
na dusza zawsze posłuszną zostaje trady-
cjom religijnym. Zygmunt pomimowol-
nie zwraca swe kroki ku kościołowi z wiel-
ką radością dla dobrego don Pasquale
postępującego za nim i niespuszczającego
go z oka.

Byłto dzień świąteczny, dzień poświęcony Matce Boskiej Łaskawej, a mieszkańcy miasta Ayamonte ze szczególną czcią obchodzą tę uroczystość przypadającą na początku maja.

Bo też trudno nie być nabożnym w miesiącu maju w Hiszpanii! Drzewa pokryte srebrnym kwiatem i złotym owocem, doliny bałwaniące się świeżem winnem liściem. Przecież nas głęboko dręczy potrzeba dziękowania komuś za te pyszne dary, a komuż będziemy dziękować, jeśli nie Matce tego Boga, który nam oznajmił, że owoce ziemi należą zarówno do wszystkich ludzi.

Już się też i kościół napełnia wiernymi synami i pięknymi córami miasta Ayamonte. Ale tego Zygmunt nie widzi;— on człowiek zapалу i chwili, on w przybytku Boga należy znów całkiem do Bo-

ga. Przeżegnał się, ukląkł, ręce złożył i schyloną głowę na nich oparł. Modli się.

Zabrział dzwonek od strony zakrystyi. Ksiądz wychodzi z summą, spada zasłona z obrazu umieszczonego nad wielkim ołtarzem, jęk rzewnęj radości wyrywa się jednocześnie z piersi całej zgromadzonęj ludności i wznosi się ku Bogu. Zygmunt zadrżał, struchlał: „ach to ona! to ona! to dziewica Murilla!“ rzecze drżącym stłumionym głosem do doktora.

— Aha! nie powiedziałem? a ma-ż ją marszałek Soult w swęj galeryi? Nie bój się, ona się wykraść nie da Francuzom — tu jęj lepiej jak w owęj Francyi, odpowie starzec zacierając ręce z radości.

Zygmunt topi wzrok swój w cudownym obrazie, jego dusza w nim tonie. Nie! tyle piękności i prawdy w życiu swém nie widział, ani w nieżywym obrazie, ani

w żyjącem jestestwie. Na półksiężycu stojąc, unoszona przez Aniołów i niemi otoczona, buja niepokalana Dziewica w lazurze niebieskim. Świętą jest ta postać, świętą ta głowa, a jednak nic w niej nadprzyrodzonego, — owszem lube, świeże ma oblicze, wzruszające wyrazem najmiłszej, serce porywającej niewinności. Boski duch, który w tej twarzy mieszka, nie zniszczył ludzkiej formy, tylko ją zidealizował. Owe czarne głębokiego wejrzenia wielkie oczy nie wypierają się wcale żyjących wzorów, które niezawodnie bujały przed oczyma andaluskiego malarza w chwili, gdy je tu swym nieśmiertelnym pędzlem więził; lecz te jasne, złotego połysku włosy łagodzą zapal owych oczu, tak pełnych ognia, tak wymownych. Jest coś niewypowiedzianie tkliwego w obrazie tej kobiety ludu, zubóstwionej w jednej chwili

wolą Najwyższego i pojętej w chwili zachwycenia przez geniusz człowieka. Zdaje się, że istnieje jakiś węzeł ziemski pomiędzy nami a tą istotą, którą duch Boga nawiedził.

A te aniołki unoszące dziewicę!— Jest ich bardzo wiele, chmara cała, a jeden do drugiego niepodobny. Na tych pada światło i wydobywa je w pewnych i jasnych zarysach z drżącego pomroku obłoków; inne plawią się figlarnie i rozkosznie w najczystszym eterze nieba; na twarzyczkach jednych maluje się dziecinna rozkosz, na drugich radość, na innych jeszcze, starszych, zachwycenie jakieś, które nieraz w twym życiu zobaczyć możesz u bardzo pojętnych, przedwcześnie rozwiniętych dzieci.

A te postawy tych dobrych, ładnych dzieci jak rozmaite! a wszystkie zdają się

naturalne. Wszystko jest oddane z czarującą prawdą, wszystko wonieje ziemią, a wszystko jednakże unosi duszę w niebo.

Zastanawia koloryt tego obrazu. Murillo wlał weń całą swą duszę i z niego dusza widza czerpie pomimowolnie jakieś dziwne, uroczyste usposobienie, które przenosi go w sferę piękna dotychczas niepojętego.

Serce Zygmunta było w zachwyceniu. Dotychczas nie wiedział, żeby danem było człowiekowi wznieść się do pojęcia takiej szczytności i oddania go zarazem.

Nieraz wprowadzie w swém życiu, w samotnych marzeniach wyrabiając sobie raczej uczucia, jak wyraźne pojęcia, doznawał chwil porywającej exaltacyi uczuciowej i dźwignął za sobą myśl w sfery wysokie, nieznane; ale myśl ta na żadnych trwałych naukowych podstawach nieopar-

ta, nieprzyczepiona do żadnego łańcucha pojęć logicznych, spadała razem z duchem i częstokroć i w pamięć nie ugrzęzła, i chwili nie przeżyła. Tutaj w obrazie Murilla, widział przed sobą miarę pojętności i zarazem zdolności ludzkiej, i uznał w jednej i drugiej nieskończoność.

Zadrzał — bo był sumiennym i umiał sobie w uroczystych sposobnościach zdać rzetelny rachunek z obowiązków zaciągniętych posiadaniem życia, rozumu i zdolności. Zadrzał i ocknął się do życia.

— Oh pewno, pewno! rzekł do siebie pan Zygmunt, tu w widoku potęgi, do jakiej wznieść się mogą usiłowania ludzkie, tu w obliczu Boga, przed którym klamać nie można, wyznać winieniem, że przykładać się do rozporządzenia losem świata, do rozporządzenia nawet własnem mem życiem nie powinienbym, nim temu

życiu rozwinięciem swych zdolności, większej, me sumienie więcej zaspokajającej nie nadam wartości.

Smutne myśli owładnęły pana Zygmunta. Spojrzał w siebie oczyma ostrego sędziego, przebiegł myślą cały kres swego życia i znów rzekł do siebie: zasłużyłem sobie być szczęśliwym o własnych mych siłach? jakież położyłem zasługi w tym świecie? żem niegdyś powinność pełnił z narażeniem życia? nie! tę powinność pełnili i inni niemający wyobrażenia o niej, i niemogący nie zyskać jej pełnieniem, — a pełnili ją może lepiej jak ja. Za to nie mogę sobie rościć prawa do życiotrwałej nagrody. Potem czy mogę je sobie rościć za zasługi położone w obcej sprawie, w obcych sprzeczkach? także nie, byli tam i inni niepojmujący rzeczy a chcący sobie poświęceniem życia zdobyć karierę. —

A sam siebie uzdolniłem w sposób odpowiadający polotowi mego ducha, i mym siłom? Oh pewno nie! na wiatr rozstrzeliłem wiele czasu pod pozorem, że w sobie wyrabiał ducha—nie jedną straciłem chwilę w płonnych pogadankach, niby dlatego, że nie było sposobności uczenia się. I gorzej jeszcze bywało—były nie raz i karteczki i pijatyka, i.... ach! nie śmiem wracać myślą do tych rzeczy. Boże wszechmocny! weź mię w Twą świętą opiekę i kiedyś mi dał tak wyraźne pojęcie mych powinności, tak czułe sumienie, dajże mi także i siłę woli, żebym godnie odpowiedzieć mógł dobrym mym chęciom!

Tak skończył pan Zygmunt rzewną modlitwę, budujące rozpamiętywanie nad swym żywotem; uczuł się pokrzepionym w duszy i śmielej spoglądał na obraz Przenajświętszej Panny, zdającej się uśmie-

chać do niego swém miłym obliczem i obiecywać że czuwać będzie nad młodym, bogobojnym grzesznikiem.

Msza się skończyła, Anioł Pański odśpiewano i zgromadzenie rozeszło się na wszystkie strony.

— A cóż don Sigismundo — dotrzymałem słowa? spyta doktor wyszedłszy z kościoła.

— Czyś dotrzymał panie doktorze? więcej jak to, widzisz mnie i zachwyconego i skruszonego i poprawionego. Nie pamiętam kiedym doświadczał tak silnych wrażeń. Ayamonte będzie stanowiło epokę w mém życiu,—przeczuwam to w duchu. Ale teraz należałoby pomyśleć o rozpięciu mego namiotu i o śniadaniu, żadne wzruszenia nie odbierają mi apetytu, dalibóg!

— Wierzę ci, wierzę chętnie—znam doskonale wasz apetyt. Przecież raz w 12

roku widziałem, jak wasz wiarus zjadł całego barana, a przytém wypił kwartę wódki. Ale a propos namiotu, zdaje się, że tu kilka dni zabawisz w Ayamonte?

— Zabawię. Prowadź mię do najlepszego hotelu szanowny doktorze.

— Jeden tylko jest hotel w Ayamonte, ten jest i najlepszy i najtańszy.

— Nie dbam o taniość. Dostałem tysiąc kruzad odczepnego od rządu donny Maryi, mam je prawie nienapoczęte, ot tu przy sobie — mogę więc żyć na pańską stopę, jak przystoi na hidalga i oficera.

— Ale zlituj się don Sigismundo! tysiąc kruzad, to zaledwie trzy tysiące franków, zaledwie sześćset piastrów — to nie jest skarb niewyczerpalny.

— Jak to wydam, w ówczas wezmę się do — do pędzla!

— Ach Bogu i Przenajświętszej Pannie

z Ayamonte niech będą dzięki! że się już nie bierzesz do twego niezmiernego pałasza, którym mnie dziś tak straszyleś. Zaraz dzisiaj daję na mszę na cześć Matki Boskiej: teraz się przekonuję, że jej obraz jest istotnie cudownym.

— Alboż uchodzi za cudowny? spyta Zygmunt z wielkiem zajęciem.

— Czy to nie cud być wykradzionym i wrócić z rąk marszałka Soult'a do klasztoru Norbertanek w Ayamonte?

— Dobrze—dobrze don Pasquale—ale przecież to nie artykuł wiary—ja po prostu nie wierzę, żeby coś wróciło z rąk francuzkich—nie, dalibóg nie wierzę.

— Lecz tutajszcy lud tak wierzy, i radzę ci nie wyrywać mu tej wiary — jegobyś zubożył, a sobie narobił nie mało kłopotu. Rzecz tak się ma. Trzeba wiedzieć, że obraz Murilla wywierał od chwili osadze-

nia go tutaj, to jest od półtrzecia wieków, niezmierny urok na całą ludność naszą. Każdy coś spostrzegł na jego niewypowiedzianej piękności, nawet kobiety z ludu. Jemu to przypisują zjawisko bardzo rzadkie w całej Hiszpanii, a tutaj wcale częste, jak to łatwo spostrzeżesz, gdy na to uważać będziesz, — jemu to przypisują, że wiele tu jest blondynów, a szczególnie blondynek z czarnemi oczyma i czarnemi brwiami. Ja choć jestem lekarzem, wierzę w skutki zapatrzenia się kobiet ciężarnych: żywość, czułość wyobraźni południowej ułatwia jeszcze tworzenie tych skutków. Dość, że Ayamontanki umyślnie się wpatrują w cudowny obraz, aby mieć piękne dzieci. Obraz ten stał się powodem innych jeszcze skutków. Potworzył nam kilku wcale dobrych artystów, byli tacy, którzy całe swe życie trawili na kopiowa-

niu tego obrazu. Kapelan Norbertanek, dziś podeszły, dobry starzec, nie będąc wielkim artystą, wziął się, będąc jeszcze Wikarym, do zrobienia kopii obrazu wielkości oryginału. Strawił na tem pracowitem dziele rok cały, czy też nawet więcej, poprawiał, zamazywał i znów poprawiał, aż przecież utworzył coś do oryginału dość podobnego. Ale o tem dziele nie wiele wiedziało ludzi. Jawią się Francuzi do Hiszpanii jako przyjaciele i wkrótce potem zaczynają biednym Hiszpanom wyklądać nową teorię przyjaźni zapomocą bagnetów i kartaczy. Hiszpanom nie przypadła taka przyjaźń do gustu, wzięli się tedy do nożów. Bój się wszeczyna i na cały kraj rozszerza. Francuzi korzystają z swych zwycięstw i zdobyczy w sposób nam dobrze znany. Linie operacyjne francuzkie nie dochodzą wprawdzie do Ayamonte.

Zdawało się, że tu nie dojdą czerwone nóżki dobroczyńców świata, aż tu na raz jeden, kiedy marszałek Soult stał pod Badajoz o 40 mil ztąd, jawi się na Guadyanie kilkanaście łodzi, wysiada z nich dwustu Francuzów, szturm przypuszczają do miasta, w pień wycinają i wyganiają załogę złożoną z kompanii weteranów przeznaczonych do straży więźniów w zamku; pakują się do kościoła, zabierają w nim co się tylko nawinęło, a przedewszystkiem obraz Niepokalanėj Dziewicy tak drogi temu krajowi. Potém zaś moi Francuzi wypiwszy gdzie co było wina, wytoczywszy co wypić nie mogli, siedli znów w łodzi i popłynęli już nie do Badajoz pod wodę, ale brzegami morskimi do San Lucar, gdzie stała załoga francuzka.

Zadne pióro nie zdoła opisać smutku poczciwych mieszkańców Ayamonty. Naj-

lepsi to ludzie w świecie, przyznaję to choć jestem portugalczykiem, a zatem choć należę do narodu nienawidzącego Hiszpanów, jak brat brata, kiedy go kochać nie może.

Byliby się pocieszyli po stracie weteranów, wina, kilku niewinności kobiecych, a nawet i naczyń kościelnych—ale pocieszyć się po stracie obrazu tak ulubionego, tak wielbionego nie mogli. Płacz, lament, klątwy i zgrzytanie zębów roznosiły się w całej okolicy.

Ale jeszcze trudniej opisać uniesienia i radość jakie czekało dobrych ludzi w nocy następującej po dniu tak pamiętnym. Naraz w nocy ozwały się wszystkie dzwony, wszyscy biegną do sprofanowanego ręką bezbożników kościoła i poznają w wielkim ołtarzu—o! cuda! przy rześistém świetle tysiąca świec, obraz Matki Boskiej Nie-

pokalanego Poczęcia, piękniejszy niż kiedykolwiek. Pocziwi ludzie ściskali się nawzajem, pèle-mêle bez różnicy stanów, płci i wieków. Pod przewodnictwem całego duchowieństwa zaśpiewano uroczyste Te Deum, a po niém kaznodzieja wstąpił na ambonę i wypalił tęgie, serce kruszące kazanie. „Oh niegodni, a szczęśliwi! dla was w grzechach zatwardziałych Matka Dziewica wrócić raczyła—ale bądźcie ostrożnymi, drugi raz może nie zechce wrócić, jeśli się nie poprawicie, jeśli zaniedbacie ofiar, jeśli rozgadacie po świecie przed wypędzeniem Francuzów z kraju, że Matka Boska znów się między wami niegodnemi téj łaski znajduje.“

Tak się dobrze strzegli Ayamontanie, że dotychczas marszałek Soult mniema, że posiada oryginał, a posiada tylko kopię, przez wikarego zrobioną. Widać, że bo-

haterski wódz mniej się zna na malowidle, niż na złocie. Oto koniec mej historyi, oto i *Fouda de las hermanas mudas*, gdzie rozepniemy twój namiot i gdzie dostaniemy doskonałej czekolady na śniadanie.

— Doktorze—na miłość Boga, nie kuruj mnie homeopatycznie głodem, inaczéj wydobęde znów mój niezmierny pałasz i pójdę łby zbijać nieprzyjaciółom znajomych mych przyjaciół,—a nawet wrogom sąsiadów znajomych mych przyjaciół.

— Ach dla Boga żywego! prócz czekolady będziesz miał kuropatwę, królika z Garbanços, wołu całego i wieloryba, tylko pałaszem nie groź!—rzecze z trwogą biedny doktor i wszedł z Zygmuntem do hotelu.

ROZDZIAŁ III.

HOTEL DWÓCH SIOSTR GŁUCHONIEMYCH.

Obie siostry głuchonieme, właścicielki najlepszego hotelu w Ayamonte, przyjęły pana Zygmunta z otwartemi rękoma, z wszystkimi oznakami najżywszej radości jaką tylko wyrazić można bez pomocy języka, zdawałoby się że witają ukochanego brata, z dalekiej wracającego podróży. A one przecież widziały go raz, po pier-

wszy raz w swém życiu przed godziną w kościele, ale go widziały korzącego się przed Panem Zastępów, truchlejącego na widok ulubionego Ayamontczykom obrazu,—widziały go nie kłamiącego sercem, lecz szczerém uczuciem miotanego, bo świeży rumieniec ustąpił z jego szlachetnej twarzy, a pocziwe oko zalało się łzami.

Nic nie uszło bystrego oka dwóch siostr głuchoniemych. Bóg im wynagrodził bystrością wzroku brak słuchu tak potrzebnego kobietom, brak mowy, tak dla nich niebezpiecznej.

W Hiszpanii, w zakątkach przynajmniej tego starego jednak dziewiczego kraju, religia jest istotnie jeszcze węzłem braterskim, łączącym człowieka z człowiekiem. Pan Zygmunt swą rzewną bogobożnością zyskał sobie nie wiedząc o tém, serce

nie jednej kobiety z wielkiemi czarnemi oczyma.

Tak tedy panie tego hotelu były głuchonieme; dwie już nie młode, chude i wysokie, ale nadzwyczaj wesołe i dobre panny. Mówić nie umiały językiem, ale wszystkiego się dowiedziały oczyma, i wszystko opowiedziały palcami. Kobieta znajdzie sposób rozmawiania choćby i palców jéj brakło. Dom ich był prawdziwym wzorem porządku i czystości, potrzeby każdego podróżnego zawczasu przewidziane. Poznano wnet że don Sigismundo lubi wesołość, życie i wrzawę, nie dano mu tedy mieszkania którego okna wychodzą na ulicę, bo na ulicach miast mniejszych hiszpańskich nie ma ruchu i słońce dokucza, lecz dano mu piękną izbę której okna wychodzą na dziedziniec, gdzie jest cień, chłód i ciągle wytrysku-

jąca z fontann woda. Taki bowiem Hiszpanii południowej charakter: życie domowników skupia się na dziedzińcu, tutaj rano kobiety modlą się i jedwab' przędą lub pończochy robią, po południu śpią i marzą, wieczorem tańczą i śpiewają.

Klimat zmusił Hiszpanów do przejęcia się od Maurów zwyczajami ludu wschodniego.

Zygmunt installowany w hotelu, śniadanie zjedzone.

— Czém się myślisz zatrudnić podczas pobytu twego w Ayamonte? spyta wstając od stołu i żegnając się doktor portugalski.

— Oh! panie doktorze — tyś bardzo domyślny, i wiesz doskonale czém się myślę zatrudnić. Nie opuszczę tego miejsca bez doskonałej kopii Boskiego obrazu, który całą mą wyobraźnię opanował, i w sercu

mém pokutuje jak widmo niebieskie—odpowie Zygmunt.

—Przewidywałem to—pochwalam twój zamiar, ale zarazem wyznać muszę, że nie małe zachodzą w jego wykonaniu trudności. Dawny wikary kościoła parafialnego, dzisiejszy proboszcz, a zarazem kapelan Norbertanek, kocha się formalnie w pięknym obrazie, który dzięki jemu stał się cudownym i patent cudowności z Rzymu uzyskał. Nie pozwolił on dotychczas, z moją przynajmniej wiedzą, żadnemu artyście zdjąć kopię z sławnego pierwotwóru, — za nic w świecie nie pozwoliłby don Fadrique niewprawnemu malarzowi wynieść z tego miejsca kopię niegodną oryginału tak szczytnego. Ale ja pozostaję w stosunkach ścisłej przyjaźni z don Fadriquem często zapadającym na katary i rad mych potrzebującym. Użyję całego mego na nim

zyskanego wpływu na zwalczenie jego wstrętu. Ale do tego potrzebować będę dowodów twego talentu — powierz mi kilka z twych prac, tylko żadnych dragonów, strzelców i gerylasów — kilku świętych twego pędzla.

— Oto masz szanowny doktorze, wszystkich zamkniętych *in corpore* w tym kartonie. Niech walczą za mną, niech się starają dowieść, że niezupełnie niegodny przenosić na płótno to, co geniusz Andaluzyjskiego malarza pomyślił i skreślił. Ale proszę cię don Pasquale, dowiaduję się właśnie że istnieją jeszcze tutaj Norbertanki. Mnie upewniano że wszystkie bez wyjątku klasztory padły pod srogością edyktu Mendizabala — jakimże sposobem Norbertanki potrafiły się ostać tutaj?

— Potrafiły się ostać dla tego, że im miasto dobrze życzyło, i że znalazły jakie-

jakiegoś tajemniczego silnego protektora, zasłaniającego ich przed srogością prawa Mendizabaloskiego. Nikt nie ważył się przyjść i kupić klasztoru na licytację publiczną wystawionego, — nikt nie śmiał wygnać biednych zakonnic z ich starodawniej siedziby, a potem znalazł się jak mówią jakiś tajemniczy potężny protektor. Takim sposobem utrzymuje się nie jeden jeszcze klasztor, nietylko w zaciszu zachodniej Andaluzyi, lecz i w miastach wielkich, ludnych, jak Kadyx, Sewilla, Walencya, a nawet Madryt. Kto posiada współczucie swych współobywateli, ten posiada wiele jeszcze bardzo w Hiszpanii. Prawo, żeby nawet było przez lud zawotowane, traci tutaj nieraz swą moc dla tego, że je Rząd musi wykonywać. Zresztą niewolno duchowieństwu przyjmować nowych zakonnic pod żadnym pozorem. In-

teresujesz się widać klasztorami, czyś widział Norbertanki za kratami w chórze na prawo od wielkiego ołtarza? Oh! jest tam osoba cudnej piękności pomiędzy niemi— ale nieboga, często choruje i na jej chorobę podobno nie ma lekarstwa. Bądź zdrów don Sigismundo! do jutra — jutro przybędę przekonać się czy cię Bóg w dobrych zachował zamiarach i wysłuchać mszę którą na tę intencją u proboszcza zakupuję. Bądź zdrów — mój młody przyjacielu!

Zygmunt uścisnął starca z serdecznością jakąś galwaniczną, daną tylko temu który szczerze ściska.

— Oh jaki to młodzieniec! jakie poczciwe w nim serce, jaki charakter otwarty! Nic podobnego w kraju naszym nie widzimy. Tu wszystko w zaczajeniu dławi

rodzimość i natychmiastowość uczucia, — tu wszystko w oględności przydusza naiwność temperamentu. On tak szczery, tak naturalny, on nawet niewie o tem, że istnieją na tym świecie jakieś względy, skłonić mogące bliźniego swego do obłudy. — Nie! on nawet wyobrażenia o tem nie posiada! Jaka szkoda! Zygmunt jest jak owa pyszna bastyonami i działami najeżona forteca, która załogi nie posiada. On zginie, zmarnuje swe piękne, Boskie dary, jeśli go cud nie uratuje. To jest człowiek chwili, człowiek uniesienia. On uważa za dobre, co natchnienie chwili przedstawia mu za dobre — ale nie wytrwa w niem długo, ani w natchnieniu dobrem, ani w złem nawet. A natchnienie złe systematycznie przeprowadzone, jeśli nie prowadzi do spokoju duszy — to za-

prowodzi do spokoju duszy — to zawieść przecież zdoła do jakiegoś przystani wygodnej w której i nędznik mniema, że jest uczciwym człowiekiem. — Straconym, tak jest, straconym będzie Zygmunt, jeśli go nie namówię do obrania sobie innego fachu, jak fach żołnierza wojującego za obcą sprawę.

Tak mówił Doktor a Zygmunt patrząc za nim myślał:

— Dziwny to człowiek — prawdziwie, nadzwyczajnie dziwny ten doktor tyle się mną interessujący, uczony, rozumny, pełen pojęć, zarazem i dobrego serca — a jednakże tak nadzwyczajnie ograniczony w swym polocie ducha, w swych widokach dotyczących się przyszłości rodzaju ludzkiego. On z ciasnych obrębów, w których krążą dzisiaj losy społeczeństwa, ani na chwilę nie wyjdzie, ani nawet ma wyobra-

żenie, że z nich wystąpić można jednym
 silnym ruchem. Cha! cha! cha! on chciał-
 by ze mnie zrobić człowieka fachowego,
 artystę — ze mnie, w którego żyłach pa-
 ła ogień święty, dający mi przeczucie nie-
 zmiernéj przyszłości, do której przeznaczo-
 no ludzkość. Chciałby mnie zrobić por-
 trecistą głupców i przewrotnych, — a ja na-
 to przeznaczony żebym się do ich zagłady
 przyczynił, — pomógł tryumfować rozu-
 mowi i cnocie. — Oh! nie z tego nie bę-
 dzie drogi doktorze, pomimo całej twej
 uczciwości i dobroci, czepiasz się zastarza-
 łych wyobrażeń — nie upatrujesz szczę-
 ścia jak w pracy i wygodzie. I ja mam za-
 tapiać się w pracy i nią znękać ducha me-
 go tak czujnego, tak przewidującego, tak
 czułego na nędzę ludzką? Nie! nigdy! Kto
 się duchem karmi, ten duchem żyć powi-
 nien i na żadną materję nie zwracać uwa-

gi, tego nie powinna straszyć obawa, że mu jej zabraknąć może kiedyś.

Tak rozumował, takimi się pysznemi myślami wzbudzał, pod niebiosa wynosił nasz pan Zygmunt, chodząc po pokoju całe dwie godziny, kładąc się czasem na kanapę i ćmiąc najokropniej dobre sygara hiszpańskie.

Ale w tém zatętniała sygnaturka na wieży Kościoła Norbertanek. Pan Zygmunt się zasepił, przypomniał sobie swe święte postanowienia wyrodzone na widok obrazu Matki Boskiej, żal ścisnął mu serce i wstyd oblał go rumieńcem, choć nie miał świadka swych myśli i czynów.

Rozpiął pakunki i wydobył z nich kartony, papier, kredy i ołówki. Z westchnieniem przysiadł do pracy i zaczął kreślić kontury tak wyraźnie wypiętnowane w swém sercu. Za pół godziny jużbyś go

nie był oderwał żadną siłą od tego zatrudnienia. W parę godzin już słońce zapadało za górami Algarwii i w nagłym pomroku pogrążyło Zygmunta. W tém gitarzy i kastaniety zabrzmiały na dziedzińcu oberży de las hermanas mundas. Zygmunt wypada na ganek, i po raz pierwszy widzi fandanga tańczonego in natura na gruncie hiszpańskim. „Niech żyje radość, fandango i Hiszpania!“ Krzyknie Zygmunt, przebiera się w najgustowniejszy strój i wchodzi na dziedziniec.

Właśnie też ładna Donna Inezylla, siostrzenica siostr niemych, wywijala w najlepsze fandanga z księdzem wikarym, nie z dawnym, cuda fabrykującym, ale z nowym młodym i przystojnym.

Onto był lwem tertulii Ayamontskich, najlepszym tancerzem, najweselszym opowiadaczem, śpiewakiem i gitarzystą.

Nie wystawiajmy sobie bowiem żeby Ksiądz hiszpański był zawsze tak ponurym, chytrym i czarnym, jak go tuzinkowe romanse wystawiają. — Bynajmniej. — Ksiądz bierze tutaj często serdeczny udział we wszystkich sprawach familijnych; raz odbywszy swe funkcyje religijne w kościele, miesza się z wszystkimi klassami ludu jako przyjaciel, doradca, lub téż po prostu jako uczestnik.

Wywijał tedy fandanga nasz ksiądz wikary, i to w najlepsze, patrząc się przy-mrużonemi oczyma w bystre źrenice swej tanecznicy i bijąc rzęsiście w kastaniety.

— Ah! do stu tysięcy! Ah niech że cię jasny piorun trzaśnie! — krzyknął don Sigmundo jakimś, dziwnym językiem wcale nie portugalskiego, hiszpańskiego ani téż francuzkiego brzmienia, a to mi ksiądz!

a to mi zuch! mianuję go moim profesorem tańca!

Za kwadrans nasz pan Zygmunt zapomniawszy o doktorze, o Murillu i o swém ważném posłannictwie—brał *stante pede* pierwszą lekcję fandanga na dziedzińcu oberży sióstr głuchoniemych.

ROZDZIAŁ IV.

MUNDZIO.

Czy znamy już bohatera naszej powieści? Czy wiemy już z kąd przychodzi i dokąd dąży don Sigismundo były porucznik wojsk portugalskich?

Dowiedzieliśmy się wprawdzie przypadkiem z rozmów, że pan Zygmunt pochodzi z jakiegoś kraju zimnego, często śniegiem przywalonego, usłyszeliśmy, że

w tym kraju starce i religia są poważane, zdatności i apetyta wielkie, serca dobre, a filozofia nadzwyczaj wygodna dla ludzi nielubiących przykładać się statecznie do jednéj rzeczy;—ale z tém wszystkiém nie wiemy z pewnością kim i czém był bohater, którego losem tak się serdecznie zajmujemy.

Don Sigismundo nazywał się niegdyś po prostu Mundzio, niegdyś kiedy jeszcze pozostawał w kraju rodzinnym, i był synem obywatela wiejskiego posiadającego wcale ładną wioskę i dwa folwarki. Był najstarszym i należycie pieszczonym przez mamę, osobę pięknie wychowaną i doskonale wiedzącą, że romantyczna uczuciowość macierzyńska, szczytne sentymenta i język francuzki są *à la mode du jour*. Według tych wyobrażeń ułożono plan edukacyi kochanego Mundzia i najęto mu

na guwernera francuzkę, wdowę po panu Rataplan dawnym doboszu wielkiej armii, a później profesorze języka i literatury francuzkiej przy szkole wojewódzkiej Sandomierskiej; przytém zakazano Mundziowi wdawać się z dziećmi rządcy, wychodzić na zimno, wiatr i słońce z pokoju, kochać ludzi źle ubranych i niedobrego tonu, i odpowiadać na pytania *czy mama jest w domu?* Wszystko szło jak najwyborniej, Mundzio wzrastał w piękność i w cnoty domowe, parlował niezłe, grymasił dowcipnie, naiwnie się wyłgiwał, matkę swą kochał z elegancją, słowem był dumą i rozkoszą swęj matki. Przytém doszedłszy do dziesiątego roku życia, nie miał jednego zdrowego wyobrażenia o najmniejszej rzeczy — co było źródłem nieprzebranem zachwyceń dla mamy, nielubiącej nic zwyczajnego, pospolitego, gmin-

nością tchnącego. Z uniesieniem patrzała na swego pierworodnego syna, o następne edycye mniej nierównie dbała — bo uroku nowości już nie miały.

Tak tedy rzeczy szły jak najwyborniej, kiedy djabli sprowadzili do domu p. podstolica, brata jego starszego, niejakiego majora jazdy, i zarazem kawalera posiadającego niezłą fortunę. W parę dni zorientował on się doskonale w domu p. podstolica, poznał system wychowania dawanego Mundziowi, nie zasmakował w nim wcale, i wręcz swe zdanie wyjawiał, pomimo wszystkich fochów, szlochów i spazmów pani dobrodziejki.

— Nie! nie! do milion szwadronów! ja nigdy na to nie zezwolę, żeby mężczyzna noszący me nazwisko był kobietą! — krzyczał jak opętany pan major. Dajcie mu publiczne wychowanie — tam się lu-

dzie wyrabiają — tu w domu spieścicie mi Zygmunta na kwaśne jabłko, zrobicie z niego coś do niczego niepodobnego. Poszlijcie go do szkół i to póki jestem w waszym domu, bo się dalibóg ożenie i cały majątek zapiszę mej wdowie, długo bowiem na tym świecie zapewne popasać nie będę.

Ten ostatni argument trafił do przekonania nie tylko jegomości ale i jejmości, któraby niezawodnie była znalazła w swój dobrze wychowanój głowie sposób wykużenia szwagra z domu, gdyby nie był kawalerem dość podeszłym w wieku, podagrycznym i gdyby nie perspektywa spadku.

Koniec końcem ubrano Mundzia w mundur szafirowy i wysłano go wraz z panią Rataplan i z kredenserzem do szkoły wojewódzkiej. Tu zaś zamówiono mu korepetytora, zjednano protekcyą u rektora

i profesorów, i przykazano Ickowi faktorowi jaśnie pana, żeby często doglądał panicza i przez pachciarza dawał znać w Margajowie co się z nim dzieje.

Jejmość zaś zapadła w skutek nieprzewidzianych wstrząśnień i tęsknoty na jakąś bardzo skomplikowaną chorobę, na którą doktor Silberfreund, postępując z duchem czasu, nie widział innego lekarstwa jak wody Karlsbadzkie. Wkraczać w ówczas zaczynała moda wód mineralnych, które dziś stały się koniecznym następstwem wszelkiego życia dobrego tonu.

Naglić Mundzia do pracy i nauki zaraz w pierwszym roku, byłoby istotnie okrucieństwem. Jego zdrowie tak delikatne, przytém musiał przecież aklimatyzować się w miejscu oddalonem o dziesięć ogoniastych mil od Margajowa. Nie naglono go też bardzo. Mundzio jednakże niepośle-

dnie miał zdolności, i wkrótce w grach i spacerach ze spółuczniami nabrał sił i zdrowia, tyle zaś posiadał wrodzonej ambicji, że idąc za popędem własnych zasobów ducha nie dał się wyprzedzić lada komu w naukach i na końcu roku uzyskał uczciwie zasłużoną promocyę.

Wielka była ztąd radość w Margajowie, wielki tryumf dla majora. I pani podstolicowa także widząc syna swego zdrowszym, tęższym i silniejszym, przebaczyła mu, że cokolwiek francuzki język zapomniał, wprowadzie pod jednym tylko warunkiem, żeby Mundzio nie zaglądał nigdy do mieszkania rządcy, do jego synów, a swych szkolnych kolegów. „Bo tam zatracaly mu się dystyngwowane maniery u tego Wasaństwa“ utrzymywała Jaśnie pani.

Na drugi rok jeszcze lepiej poszły rzeczy. Mundzio dostał wydrukowaną w pro-

grammacie szkolnym pochwałę. Wielce się przyczyniła do uzyskania téj pochwały biegłość Mundzia w rysunkach. Na popisie publicznym zwalczył wszystkich współzawodników próbą swego talentu, którą przywiózł z sobą na wieś jako trofeę. Był to arkusz welinowego papieru a na nim narysowane, dwa nosy, trzy uszy z których jedno z kolczykiem, dwie pary ocz, usta śmiejące się, płaczące i jakieś naczynie niby etruskie ale strasznie podejrzanego kształtu, bo z jedném tylko uchem.

Kto opisać zdoła radość rodziców i uniesienie pocziwego majora? Obwoził z sobą po sąsiedztwie Mundzia wraz z owym rysunkiem, na wszystkich jarmarkach, wyżynkach i imieninach oblewano jego nosy, uszy i naczynie, łzami rozkoszy, aż je też nareszcie na pogrzebie jaśnie wielmożnego szambelana oblano tak rzęsiście wę-

grzynek, że się przestać musiały wałęsać po ucztach i zjazdach.

Mundzio został Zygmuśm, i obdarzony srokatym kucem przez majora.

Doszedłszy do czwartej klasy Zygmuś, już nie chciał mieszkać z swym guvernerem, panią Rataplan, która téż uzbierawszy sobie naukę języka francuzkiego i dobrym zarządem gospodarstwa, mały kapitalik, założyła w mieście stołeczném kawiarnię czy téż inny jakiś zakład, i wzięła z sobą kredensera podobno za ogrodnika.

W czwartej klassie Zygmuś przykładł się przedewszystkiém do rysunków, do literatury i historyi, w reszcie przedmiotów wykładanych o tyle tylko postępował, ile konieczném było do otrzymania promocyi.

Później w szóstej klassie zasmakował

bardzo mocno w poezyi i muzyce. Czytał z zapalem wszystko co się nawinęło w swym rodowitym, we francuzkim i niemieckim języku. Czytał wiele książek złych i niejedną dobrą, czytał nawet z pewnem sumienném zastanowieniem książki bardzo trudne do zrozumienia dla tego, który nie ma władz umysłowych do wysokiego, w szkołach niezwykłego stopnia rozwiniętych.

Pan Zygmunt uczył się w wyższych klassach raczėj tego co nie wykładano, jak tego co urzędownie wykładać musiano, i nie zaniedbując jednakże ze wszystkiém łaciny i matematyki, wygórował w sztukach pięknych, w literaturze i historii. Jedném słowem Zygmunt robiąc to, co mu się najstosowniejsem zdawało, a co było istotnie najlżejszem—dał sobie wychowanie więcej uczuciowe jak naukowe.

W szóstej klassie było młodzieniec wcale utalentowany, zdolny i, jak to mówią, wielce wyrobionego ducha;—ale rozwinięcie wszystkich tych talentów i zdolności nie uzdatniło go do niczego poważnego, praktycznego w żadnym względzie. Być może, że poezya bohatérska przyczyniła się do zachowania serca jego w czystości, że znajomość dziejów przyłożyła się do rozwinięcia szlachetności młodzieńca, do wzbudzenia w nim najszczerzego zapалу i gotowości na wszelkie ofiary, — ale téż z drugiej strony zabałamucenie się przedwczesne systematami niektórymi filozofii, miałość zasady czysto-naukowej ujęła téj dobroci serca, téj szlachetności duszy, znaczną część jej prawdziwój wartości, wystawiła je na niebezpieczeństwo i bardzo rychłego odczarowania.

Pan Zygmunt miał lat dziewiętnaście kiedy nagle i niespodzianie zaszły wypadki, które nie jednego młodzieńca powołały przedwcześnie prosto z ławek szkolnych do życia praktycznego, na widownię, na której odgrywały się sceny bardzo ważne i krwawe. Zaciągnął się pod sztandar swego stryja, był świadkiem jego śmierci, i uległ temu losowi, któremu uległo wielu innych; uniósł swe nadzieje do obcego kraju między cudzoziemców, zawsze gotowych do spożytkowania na swą własną korzyść zapалу i żywiołów zagranicznych.

Zostawiony sobie samemu w wieku w którym najwięcej potrzebował rad i współczucia, Zygmunt przez czas niejaki oczekiwał od dnia do dnia urzeczywistnienia tych nadziei, które mu się zdawały

być nieomylnemi, a potem widząc, że postęp nie odbywa się skokami, znękaný nędzą, nudami i tęsknotą, zaczął myśleć o zatrudnieniu i o wydосkonaleniu. Spostrzegł już w ówczas, choć dość jeszcze niewyraźnie, instyktownie prawie, że świat praktycznie postępujący nie cierpi mierności, że wszechstronności mierne mogą tylko znaleźć podziwiaczy i sposób utrzymania się w krajach, w których wyobrażenia o prawdziwój oświacie jeszcze są w kolebce, w których nie masz jeszcze pola rozwoju dla wszystkich sprężyn wchodzących w skład siły ludzkiej.

Był pan Zygmunt wówczas jeszcze w wieku, w którym wszystkie zawody naukowe rozpocząć można było, zwłaszcza w krajach bogatych w najrozmaitsze zakłady, i ułatwiających bardzo chętnie cudzoziemcom czerpanie ze źródeł nauki,

Ale pan Zygmunt pomimo zaprzysiężenia wiary teorycznie pojętym zasadom, a wymagającym w zastosowaniu bardzo wiele cnoty, charakteru i mocy woli,—poszedł za dawnymi szlacheckimi instynktami i wolał chwycić się tego, co mu się zdawało być najłżejszém. Oddał się malarstwu, i przez półtora roku statecznie wytrwał w sławnej bardzo pracowni, do której mu położenie jego tak interesujące wstęp ułatwiło, i wielkie dla swego talentu złąd odniósł korzyści;—ale półtora roku wytrwać w jednym i tym samym torze myśli i działań, to już bardzo wiele ze strony człowieka tak niecierpliwego, tak uczuciowego jak pan Zygmunt. Zjawił się pomiędzy rozproszonemi, stęsknionemi dziećmi dalekiego kraju dostojny jakiś rekrutnik, który zawarł z Don Pedrem kontrakt na dostawę obrońców jago preten-

syi. — Umiano zyskać pana Zygmunta przedstawiając mu, że tam w Portugalii, gdzie tyle jest arcydzieł sztuki malarskiej, gdzie nikt się nie zna na wartości łupów klasztornych, będzie mógł wydobyć z zapomnienia, wydrzeć zagładzie, nie jeden pierwotwór poniewierany na rynkach publicznych, lub w kramach antykwarek.

Ah! jak mu się podobała ta nadzieja, — jak go oczarowała. Zygmunt zapomina że jego talent malarski, że isierka ducha Boskiego powierzona mu, dopiero rozwijać się zaczyna, on już o niczem nie myśli jak o scenach bohaterzkich, których będzie świadkiem i autorem; zachwyca się nadzieją zrobienia sobie imienia głośnego na świat cały, jako wskrzesiciel niepoznanych pierwotworów, zabiera pędzle i kartony, rzuca pana Verneta, nauczyciela szczerze go kochającego i płynie do Oporto, — zaciągnąć się pod obce sztandary.

A tak najszlachetniejsze intencye, najpiękniejsze myśli, musiały nieraz stanąć w usłudze naszych ruchliwych chęci dla tego tylko, żeśmy wytrwać w niczem nigdy nie mogli, że mamy prawdziwy wstręt do zdania sobie sumiennego rachunku z naszych powinności.

Płynie tedy Zygmunt do Oporto i ciąga się z najlepszą wiarą w świecie jako Artysta i Oficer Kawaleryi pod sztandary sprawy obcej, nad której prawami nigdy rzetelnie nie pomyślał.

I bije się jak lew, a maluje gerylasów zabranych do niewoli. Pierwotworów zapomnianych nie odkrywa,—byli tam już Anglicy i Francuzi i wykupili lub wyszachrowali co było lepszego.

Zygmunt miał wielkie szczęście i świetną zrobił karierę. Wystawiając życie swoje przez rok cały na niebezpieczeń-

stwo — posuniętym został na porucznika. A potem po ukończeniu kampanii uzyskał tę samą korzyść, co i oficerowie nieprzyjacielscy, — to jest dymisyą i obietnicę połowy żołdu na lat sześć, wypłacaną bonami. Zygmunt wegetował przez czas niejaki, odmalował, co było godne odmalowania, w kościołach i galeryach obrazów, a potem wyprosił sobie od rządu z wielką biedą tysiąc kruzad odczepnego i poszedł opatrzony niektórymi listami polecającemi przez Algarwiew do Hiszpanii zaciągnąć się do obozu donny Izabelli. Życie bowiem obozowe dość polubił, w niem można było otrząść się od czasu do czasu głębokimi wrażeniami od tęsknoty i wyrzutów zalegających czułe jego sumienie. A tak szlachetny człowiek, dobry kolega, dobry Chrześcianin, stał się awanturnikiem nie wie-

dząc o tém, i myśląc że jest człowiekiem czynu.

Był nim istotnie,—ale czynu u niego nie wyradzały szczytne pojęcia unoszące go w chwilach marzenia — tylko krewkość, żywość mu przyrodzona, chwilowa namietność, przemijająca potrzeba, lub żądza, z której często sobie sprawy zdać nie mógł.

Zygmunt poznał widać tę sprzeczność i oddawna już pracował nad utworzeniem sobie osobistej filozofii, mogącej pojednać szczytność jego myśli z częstą błachością, czasem nawet płochością czynów,—a że był z różnemi systemacikami rozmaitych filozofijek dość obeznanym, przytém genialnym i do marzeń bardzo skłonny, wymyślił sobie na swój własny użytek doskonały systemacik, ktorego tutaj, widząc na świecie bardzo wielu dobrze intencyo-

nowanych, a płocho działających ludzi, nie wyłożę.—Nie chcę bowiem idealizować tego, co mi się wydaje być bardzo szkodliwem dla świata.

Tak tedy pan Zygmunt objechawszy wiele świata, doświadczywszy wiele biedy w młodym już wieku, a nie zdobywszy wprawdzie jeszcze żadnego zagranicznego nałogu, utrzymując się ciągle pomimo burz nim miotających przy świeżości, ujmującej dobroci serca, przyjechał do Ayamonte, i w tej chwili tańczy w Hiszpanii fandanga i bollera z tą samą gracyą i dziarśkością, z jaką niegdyś na swym własnym gruncie tańczył mazurka i krakowiaka.

ROZDZIAŁ V.

W I D M O.

Kilka dni minęło — Zygmunt był już w Ayamonte tak jak we własnej ojczyźnie. Wszyscy go kochają; jedni za to że nabożny, inni za to że utalentowany — jeszcze inni dla tego, że przystojny, i że wesół pomimo jakiegoś smętnego wyrazu twarzy szczególnie dającego urok jego radości.

W kościele Norbertanek, w czasie prze-

gradzającym ostatnią mszę od nieszpórów codziennie odprawianych, siedzi pan Zygmunt na wysokiem rusztowaniu przed ogromnëm tłem opartem na stalugach.

Przed nim obraz Matki Boskiej Niepokalanego poczęcia odsłonięty — wysokie okna kościoła z firanek огоłocone, żeby jak najwięcej światła dziennego padało na cudowny obraz i wyjaśniło nieprzebrane piękności każdego atomu. Ile tu przyrzędu nadzwyczajnego! żeto ksiądz proboszcz, szanujący tak głęboko świętości tego przybytku, zezwolił na to wszystko.

Ale ksiądz proboszcz uznał w Zygmuncie artystę do wielkich nadziei prawo dającego, zezwolił na zdjęcie blasku promienia tego cudnego dzieła, i tak się sam interesuje pracą cudzoziemca, że go na chwilę prawie nie opuści. Siedzi w sta-

lach pod chórem Norbertanek na prawo od ołtarza, modli się na brewiarzu, od czasu do czasu, cichym ostrożnym krokiem zbliży się do artysty, i bystrym znawczym wzrokiem długo śledzi biegu pędzla.— A potem radość jakaś serdeczna rozjaśnia zoraną wiekiem twarz starego kapłana, rumieniec występuje na zwiędniałe lica, często wówczas ręce jego składają się do modlitwy, nieraz nawet łza wystąpi w źrenicę.

— Oh Don Sigismundo! Bóg oczywiście błogosławi twój pracy. Rysunek jest wyborny, wierny, w kolorycie głowy nie mogę odkryć najmniejszego śladu niepoprawności, choć wzrok mój jeszcze wcale dobry—wyraz tych ocz nieporównanych jest ujmujący, głęboki—przyćmij jeszcze cokolwiek blask tych źrenic.—Panna Marya na nikogo nie patrzała w tenczas kie-

dy Duch święty ją ogarnął—bardzo bystrych oczu mieć nie mogła; i on także, mówię Murillo, tak ją pojmował! Tak! istotnie tak! widzisz zaraz lepiej występuje Boska łagodność tej twarzy, tej południowej twarzy—nie trudno bowiem być łagodną limfatycznej córce północy, ale łagodność w namiętnej twarzy córki południa, to mi sztuka! umieć zwalczyć ogniistość temperamentu, to mi zasługa! a taki chciał wystawić tryumf Murillo w twarzy tej Madonny.

Tak, i podobnie przemawiał sędziwy proboszcz do młodego artysty, całkiem zatopionego w swęj pracy, zamiłowanego w nięj do tego stopnia że mu sześć godzin przesiedzianych codziennie w skurczonęj postawie, na chwiejącem się rusztowaniu zdawały się być chwilą tylko. A gdy zakrystyan i dziadek kościelny przybywali i

młodemu oficerowi oznajmiali, że już czas otworzyć kościół i zwołać wiernych na nieszpory; — wówczas błagał Zygmunt jeszcze o chwilę, i jeszcze o chwilę i niechętnie zstępował z rusztowania, które uprzątnąć trzeba było i wraz z ogromnêm tłem schować za wielki ołtarz i zagrodzić niedostępnemi zaporami, aby się do niego nie zakradł jaki psotnik i kolorów świeżych nie zamazał.

Potém zaś pan Zygmunt zostawał najczęściej na nieszpory, wysłuchiwał nabożnie tęsknych głosów Norbertanek, śpiewających na chórze za kratą i prawie zawsze poszedł ze starym kapelanem na obiad raz do plebana, raz do hotelu — czasem nawet popłynął z dobrym księdzem do Villa real de San Antonio, do doktora portugalskiego, lub z nim robił wycieczki w cudnej piękności okolicy miasta.

Mieszkańcy miasta widząc młodego cudzoziemca tak ściśle i przyjacielsko obcu-
jącego z dwoma w całej okolicy nadzwyczajnie poważanymi starcami, nabrali bardzo wysokiego wyobrażenia o wartości jego, i współubiegali się w wyświadczeniu mu grzeczności. — Umiał to cenić nasz pan Zygmunt, bo serce jego czułe jak i bliźnim przyjazne szukało wzajemności, i w atmosferze sympatycznej którą tu znalazł swobodniej biło.

Wieczorem wróciwszy do hotelu Zygmunt znajdował zawsze tertulię (to jest bal improwizowany) w najżywszym ruchu. Obecność pięknego i napozór bogatego cudzoziemca pościągala na tertulię siostr głuchoniemych najpierwsze panny miasta, dziedziniec ich stał się najmodniejszym salonem tego czasu. Całe towarzystwo witało go jak dawnego znajomego z żywą

radością. — Powiedziałbyś, widząc pana Zygmunta śmiejącego się i swywołącego z panienkami, że tu wzrosł z niemi razem. — Dalejże potem do śpiewów i do tańca, do rozmów półgłosem, do westchnień i do ściskania ładnych rączek pokryjomu. — Wszystkie mu się podobały, każdą bałamucił, ani jedna nie czuła się wzgardzoną, wszystkie były uszczęśliwione i mówiły sobie: „kto wie co z tego wyniknie, że don Sigismundo tak lubi ze mną rozmawiać, — że mi tak serdecznie rękę ściska, — że mi tak czule w oczy spogląda—że tak namiętnie zemną tańczy.“

Pan Zygmunt w żadnej się na prawdę nie pokochał, choć tego prawie pragnął—dla odmiany. Ale dusza jego pozostawała ciągle pod urokiem wysokiego piękna, pojętego duchem, choć z martwego płótna wyczytanego. Co wznieść się

nie mogło do szczytności atmosfery w której krążyła dusza Zygmunta—co nie odpowiadało ideałowi dawno w sercu jego pielęgnowanemu, a nigdy jeszcze w ciało przeobrażone niewidzianemu,—to wkraść się nie mogło głęboko w serce młodego idealisty. Ideał przez niego pojęty, widokiem nowych żywiołów piękna świeżo ozdobiony, pilnował jego serca, jak stróż najczujniejszy, choć go nie zawsze ustrzegł od małych błędów młodości. — Młodym był jeszcze bardzo opuszczając kraj swój rodzinny, i uniósł z niego obraz czarujących istot zdolnych zrobić z najzimniejszej ziemi raj żarem pałający. Obrazy te przetrwały lata tęsknoty spędzone nad brzegami Sekwany, i nie dozwoliły mu widzieć w jej powabnych, ułudnych córkach, owych Aniołów, które klęski zadają sercu na całe życie. A jeśli z nich która w krew

się wkradła panu Zygmuntowi, to sobie pan Zygmunt dał radę i nie dopuszczając głębszego wkroczenia, szturmem pozbywał się choroby, a taka taktyka podobno i Aniołom Sekwany najwięcej do smaku przypadła.

Serce tedy pozostało zawsze nie nadwerężone i na brzegach Tagu nie uległo żadnym powabom śniadych syren, tak mało podobnych do swych siostr hiszpańskich.

Tutaj w Ayamonte—nie jedno piękne błyskało oko na białej twarzy i pod jasnym włosiem, i nie jedna postać do Dyanny podobna stąpała na nóżkach małych jak dziecięce, ale w tych ładnych mieszczankach tak wiele było namiętności, tak mało nauki, tyle żywości, tak mało umysłowego ukształcenia, że nasz pan Zygmunt wiedząc z swego kraju, że kobieta może być i piękną

i dowcipną i ukształconą, nie wpadł w żadne sidła na niego zastawione, choć romansował ze wszystkimi — i gotów był zawsze każdą żywszą namiętność należyście uśmierzyć.

Tak przeszło dni z dziesięć w życiu tułacza w Ayamonte.

Głowa Madonny już prawie wykończona, połyskuje na wielkiem tle Zygmunta, jak meteor na jasnym niebie. Proboszcz w zachwyceniu codziennie więcej kocha swego młodego przyjaciela, doktor codziennie prawie przychodzi go podziwiać, dumnym jest z Don Sigismunda jak ojciec z swego syna, dalby mu połowę majątku, choć lubi ścisnąć swe dukaciki.

I Zygmunt jest uszczęśliwiony błogim pokojem duszy od dawna bardzo niedoświadczanym. On tu czasami prawie zapomina swęj tęsknoty w tym pięknym

kraju, między temi pocziwemi ludźmi, którzy się na dobrej duszy przybysza tak prędko poznali, i nigdy mu nie wyrzucają że jest cudzoziemcem, że chleb ich zjada i krajowcom miejsce zabiera.

Biedny tułacz umiał kosztować swego szczęścia, on niem nie popsuty — on jakoś przeczuwał że te szczęsne chwile nie zawsze potrwają, że znów przyjdą i burze i walki—nędza i tęsknota miotać nim, trapić go, zatruwać mu serce, pobudzać go do czynów, których później gorzko żałować będzie.

Ah! nie myliłeś się Zygmuncie, tu w tém małym mieście, w tym zapomnianym zakątku Andaluzyi, chmury czarne ściągały się nad twym losem, tu się miał rozpocząć długi szereg klęsk i zmartwień, którychś rozumem nie zdołał przewidzieć, ani mógł zwalczyć twą wolą.

Było to jednego popołudnia—Zygmunt siedział w kościele przy swęj pracy, samotnym był wówczas, bo i ksiądz proboszcz na chwilę go opuścił zdrzymnąć się w zakrystyi. Zygmunt wykończył głowę Madonny, zszedł z rusztowania i chce z pewnej odległości zmierzyć okiem utwór swego pędzla.

W tém słyzy szmer jakiś ze strony kraty żelaznej przegradzającej chór Norbertanek, drzwiczki się małe w nięj otwierają, ręka z nich mała, jak śnieg biała, w rękaw brunatny zakonny ubrana wychodzi, i rzuca na niego papier w kwadrat złożony, i jakiś ciężki. — Zygmunt chce podnieść papier, schyla się patrząc na kraty!—Ręka niknie i w drzwiczkach ukazuje się twarz dziewicy biała jak alabaster, smutna jak widmo nieboszczki, a piękna jakiej Zygmunt nigdy i nigdzie nie widział,

jakiej marzyć nawet nie śmiał, żeby gdzieś istnieć mogła — gdzieindziej jak w Niebie. Zygmunt jak grotem uderzony pada na kolana. — Twarz zwraca smętne, wielkie oczy ku niemu, otwiera swe anielskie usta, ukazuje dwa rzędy ząbków jak sznurki pereł równe i cichym, srebrnym głosem przemawia: *Maniana!* (*)

Zygmunt myślał że Anioł śmierci przyszedł mu zwiastować zgon jego w tem świętym miejscu. Obłok jakiś nieprzejrzaly sunął się przed oczy jego, krew w żyłach ścierpła — zadrżał — i rzekł do siebie: „już po mnie!“

Twarz zniknęła — drzwiczki się zawarły, ale tego Zygmunt nie widział; on pogrążony w zachwyceniu klęczał ciągle, a gdy wyszedł z niego, rzekł: „to omamienie! to

(*) Jutro.

gra wzburzonej fantazyi! ale nie! wszakże tu dowód, że to było rzeczywistością — ten papier“ — i podniósł papier, drżąc ciągle jak liść bluszczu.

Z po za kurtyny przegradzającej zakrystę wchodzi w tej chwili proboszcz, lecz na szczęście — może też na nieszczęście, nie spostrzega wzruszenia, którego zwalczyć nie mógł Zygmunt.

— Ah to cudne — to wierne! to siostra rodzona oryginału! rzecze proboszcz zatopiwszy wzrok w malowidło — wielkiego dokazałeś dzieła o szczęsny młodzieńcze, Bóg ci widocznie używa pomocy! Ale ty drżysz jakoś, blady jesteś jak trup, co tobie? Znużyłeś się — ja dawno mówiłem że ta ciągła natężona praca da ci się we znaki. Ale Bogu dzięki! przebrnąłeś przez najtrudniejsze, reszta pójdzie sama z siebie — prawda że te twarzyczki Anioł-

ków — ale co tobie mój synu, ty drżysz i masz gorączkę — Chodź, chodź do mnie — natychmiast posyłam po don Pasquala — tyś chory istotnie.

— „Nie, nie, to nic mój dobry ojciec — to przeminie — odpowie Zygmunt — nie obawiaj się, patrząc na me dzieło wzruszyłem się mocno, jestem pewny, że nic w mem życiu lepszego nie zrobię — to jest miara mego talentu wyciągnięta jak najdłużej, jak najsilniej — pójdę się przebiedz po winnicach mój ojciec i za pół godziny jestem z tobą. Zakrystyan i dziadek niech wstawią tym razem sami malowidło za ołtarz.

I nie czekając odpowiedzi Zygmunt odbiegł — a stary kapelan ścigał za nim oczyma i posłał do Villa real po doktora.

Zygmunt miotany uczuciami pobiegł za miasto, na podnóże wysokich gór, na których piętrzyły się winnice poparte mu-

rami jak szmaragdowe schody Tytanów. — Na podnóżu mnóstwo było małych chaetek otoczonych ogródkami, rozsianych tu i owdzie. Żywe płoty splecione z aloesów, kaktusów, bluszczu i granatów, jaśminu i kapryfolii odgraniczały jedno pole od drugiego, i tak się wysoko pięły, tak były nieprzejrzałe, że wszelki widok na miasto przejmowały.

Tu dopiero Zygmunt widział się samotnym, niespostrzegany — wydobył drżącą ręką papier, któremu dano piaskiem pewną wagę, żeby go zdaleka rzucić można było. Czystym, pięknym i pewnym charakterem te były wypisane słowa:

Don Sigismundo!

Od tygodnia spoglądam na ciebie, niewidziana przez ciebie, i z twój szlachetnej twarzy wyczytuję, że ty będziesz mym zbawcą. — Nie jestem zakonnicą, i być

nią nie chcę, nie mogę, — a więżą mnie przecież od lat trzech w tych murach, i od świata, do którego mam prawo należeć, odłączają. Jestem ofiarą niecnój, okrutnej intrygi. Ty mnie zbawić możesz, jeśli zechcesz szczerości mych słów uwierzyć, i zlitować się nad istotą jeszcze bardzo młodą, a tak nieszczęśliwą jak rzadko bywają na świecie. Don Sigismundo! jestem dzieckiem jedyném dobrej, kochającej matki, która od trzech lat nie wie czy żyję! To będzie dosyć dla twego serca, jeśli w niem jest zaufanie w mych słów szczerść. Jest pewien węzeł pomiędzy istotami szlachetnemi, ja nią jestem, i wiem że ty nią jesteś także, inaczéj nie odważyłabym się pisać do ciebie, i prosić po raz pierwszy w życiu móm o litość.

Jutro, kilka chwil przed zaczęciem nie-
szporów, bądź w kościele i spostrzeżesz

nić jedwabiu spadającą z po za krat chóru naszego — przyczep do niej odpowiedź na ten list, w chwili gdy żadnego nie będzie świadka — powiedz mi śmiało i otwarcie czy mogę liczyć na twoje bezwzględne zaufanie. Ważne to pytanie, pomyśl dobrze nad odpowiedzią, — lub też nie odpowiadaj wcale, wówczas zniknie dla mnie na długo — może na wieki — wszelka nadzieja ratunku. Nikogo nie wypytuj się o mnie, nawet siostr głuchoniemych, one jeszcze podejrzliwsze i gadatliwsze jak inne. Don Sigismundo! od chwili gdy cię po pierwszy raz widziałam w kościele, modłę się za ciebie. Ciebie Bóg zesłał na me wybawienie, Bóg niech cię natchnie w powzięciu postanowienia.

F. S.

— Oh! moje postanowienie już powzięte, rzekł do siebie Zygmunt. Nie

wierzyć kobiecie tak anielsko pięknej, takim wyrazem szlachetności nacechowanej, byłoby istotnie głupotą, tchórzostwem — Ah to ona — o której piękności wspominał mi nawiasem doktor, o której mi plotły znakami i migami owe siostry głuchonieme. Gdybym był mógł wiedzieć, że tak jest piękną, byłbym nie miał chwili spokojności, byłbym rozwalił mury klasztoru, aby się do niej przedrzeć. Ah! jak jest piękną! jaki szlachetny, serce przenikający smutek na tej białej, regularnej twarzy rozlany! Kto tę istotę raz zobaczy, ten ma co pamiętać na całe życie — to rzecz pewna, — ani jedna z kobiet mi znanych porównania z nią wytrzymać nie zdoła — ani jedna. — Z takim aniołem być w jakiegokolwiek styczności, takiemu jesteś twu oddać usługę — wszakże to szczęście, roszkosz trwająca całe życie. — Podpisała się

F. S. — Jakież imie, jakież nazwisko dość piękne, żeby służyć mogło za nazwę temu Bóstwu?

Czy tylko figurę ma tak piękną, zgrabną, jak świetne oblicze? pytał siebie Zygmunt zatopiony w myślach, raz biegając prędko jak opętany, drugi raz stawając w miejscu. Oh ma! pewno ma! czyżby Bóg chciał niszczyć, co natura tak doskonałem zrobić zamyślała! jaka w tej osobie musi władać siła piękna nieporównana, kiedy twarz jej przechodzi w świetności wszystko, co mi się dotychczas możebnem zdawało!

Oh! nie lękaj się aniele — wierzę ci we wszystkiem, ani na chwilę o twój dobrej wierze nie powątpiewam. Takie usta kłamać nie mogą. — Nieszczęśliwa! odgadłaś we mnie przyjaciela! Wyczytałaś że będę twym zbawcą, wyczytałaś to z mej szlachetnej twarzy! jak mówisz.

Któżby tobie służyć nie chciał? Któżby ci chętnie krwi i życia nie oddał?”

Tak mówiąc i marząc Zygmunt wrócił we dwie godziny pod klasztor. Zaszedł tam pomimowolnie. Budynek który do tychczas oglądał ze dwadzieścia razy — tlał teraz po pierwszy raz w bengalskiem świetle wyobraźni do najwyższego stopnia wzruszonój. — Zygmunt uczuł w sercu coś niezwykłego, nieznanego. Jakaś szczególna, nerwowa ogarnia go tkliwość i łzą mu oko zalewa. — Uczuł nareszcie w głębi serca że już przestaje należeć do siebie.

Któż kiedy chętnie przestaje być niezależnym? Oto pierwszy jęk duszy szlachetnej, młodzieńczej, którą w 24tėj wiosnie życia po pierwszy raz posiadała kobieta!

ROZDZIAŁ VI.

O F I A R A.

Po obiedzie bez apetytu, po wieczorze bez tertulii, po nocy prawie bezsennéj, tłoczony brzemieniem nowych uczuć, nowych myśli, wstał nasz pan Zygmunt z łóżka, to jest zerwał się równemi nogami, zaraz pobiegł do stolika i bez sadzenia się na myśli i wysłowienia śmiałym, pewnym charakterem następujące skreślił słowa:

Sennora!

Widziałem twarz twoją — widziałem
 jej czarne, smętne oczy, jej usta aniel-
 skie — i słowa tą białą rączką nakreślone
 odbiły się w mej duszy niezatartym rylcem.
 Czy wierzę w szczerść słów twoich? Bo-
 że wielki! nacóżby się przydała cała ma-
 istność, gdybym jeszcze tam powątpiewał,
 gdzie tyle widzę przed sobą doskonałości.
 Nie, do tego stopnia Bóg nigdy nie odstęp-
 puje, ani odstępować nie pozwoli cieniowi
 nawet od światła. Pani! rozporządzaj mną
 w sposób tobie najdogodniejszy i bądź pe-
 wną mej bezwarunkowej gotowości służe-
 nia ci wszystkimi siłami. Dyskrecyi zaś
 mej zaufaj, żaden nazwiska mego człowiek
 nie zdradził.

Te słowa, jak mówię, Zygmunt skreślił
 bez najmniejszego na pozór namysłu, dusz-
 kiem od jednego razu, potem zaś widząc

słońce zaledwie wschodzące pobiegł nad morskie wybrzeże kędy szumiał Ocean i swym monotonnym, poważnym rytmem uspokoił wzburzone zmysły.

Nadumał się dowoli pocziwy Zygmunt o wielu rzeczach, które widok fali na myśl mu przywiodły, i o wielu rzeczach które słońce ze wschodu przybywające w pamięci jego wskrzesiły.

Nigdy poeta nie spojrzy na morze bez uczucia głębokiego, bez wzruszenia i jakiegoś tęsknej radości, podobnej do téj której doznajemy na widok dawno oczekiwanej, kochanej a nigdy nie widzianej osoby.

Przy pracy swéj w kościele Zygmunt był rostargnionym. Z trudnością mu przychodziło skupić myśli i oddać się zupełnie przedmiotowi. I to rostargnienie na czas niejaki zamięłowania dawnego wspomnieniem zwalczane, znów wzrastać zaczęło

gdy się zbliżała chwila, w której nie jedwabna miała stać się pośrednikiem pomiędzy nim, a osobą bujającą ciągle przed oczami jego wyobraźni, proboszcz czuwał ciągle, i wypadało dla zapobieżenia podejrzliwości tak czujnej w Hiszpanii, udawać przynajmniej zajęcie się przedmiotem. Znużony ksiądz poszedł przecież zdrzymnąć się do zakrystyi—w chwil kilka potem nie pocztowa spadła z po za kraty. Zygmunt schodzi z rusztowania i przyczepia swą odpowiedź—która też natychmiast wciągniętą została. — Nie długo potem nowy liścik pada na marmurową posadzkę. Zygmunt myśli że anielska twarz znów się ukaze w okienku, wlepia swe oczy w kraty, składa ręce i w oczekiwaniu prawie na kolana pada — ale nie! niebieskie widmo nie ukazało się tym razem w okienku, tylko dziadek wszedł do kościoła i oznajmił

że już czas zbierać rusztowanie i pakować je za ołtarz.

Zygmunt znów buja w winnicach, w zagrodach, na podnóżu gór i po brzegu morza i następujące po kilkadziesiąt razy wyczytuje słowa.

Sennor don Sigismundo!

Treści odpowiedzi twój tak pewną byłam, że nie tracąc chwili czasu, w nocy kiedy wszystko w naszym klasztorze w śnie pogrążonem było, list ten do ciebie napisałam. Tak, ty odmówić nie zdołasz proszącęj cię o uwolnienie, w więzach jęczącęj istoty — ja ciebie znam, codziennie bowiem o tobie słyszę w tym zakątku do kąd wszystkie dochodzą wieści. — Świat tutaj wsiąka i tu się najczęściej trawi.

Chcesz być mym zbawcą — wierzysz szczerości słów moich. Oh! dzięki ci! ty wiesz doskonale, co to istota młoda z da-

leka od swego kraju, od swych przyjaciół, w bezustannych w cierpieniach tęskniąca. Słuchaj! nie łatwo mnie wyswobodzić z pod władzy ludzi tych zwracających uwagę tylko na najbliższe stosunki, na najbliższe względy i ruchy. Uwaga na mnie ciągle jest napiętą, bo potrzeba trzymania mnie w więzach ciągle jest żywotną. Ja jestem kamieniem węgielnym o który opiera się całość budowy tego klasztoru, a w nim żyje tyle istot tylko do klasztornego życia zdatnych. Opowiem Ci w krótkości szczegóły tyczące się mego losu, potrzeba koniecznie żebyś je znał nim się weźmiesz do dzieła. Mało od Ciebie wymagam — nie poświęcenia, nie ofiar — nie. —

Wiesz już może jak mocno w tym kraju, w którym wre tyle silnych namiętności, na jedną i tę samą rodzinę, oddziaływa ważność opinii publicznej. Bracia dla

niej stają się częstokroć jawnemi na swe życie godzącemi wrogami, rodzice dla niej wyrzekają się dzieci—i nawzajem. Ja znalazłam, nie biorąc żadnego udziału w polityce, najzaciętszego wroga, w mym przyrodnim, prawie o 20 lat odemnie starszym bracie, dla tego tylko że rodzina méj matki, a jego macochy, poszła za sprawą don Carlosa. Do bardzo szczupłego majątku prawo miał brat mój po ojcu przedwcześnie na zdrowiu podupadłym, i do tego stopnia schorzałym, że w sprawach życia najmniejszego nie brał udziału, zdzieciniał nawet zupełnie—ale brat mój przyrodni, służąc od dzieciństwa w gwardyi króla Ferdynanda VII. i wyrzekłszy się już w stopniu kapitana zasad absolutyzmu na korzyść Donny Izabelli, postępował bardzo szybko w rangach i już w 33 roku życia swego został Generałem. — Szybki ten

awans obudził w nim żądze nienasycone; — chciał być o tyle majątniejszym od wielu, o ile był wyższym w stopniu od innych.

Matka moja bardzo była majątna, posiadała wielkie dobra w Arragonii, które wszystkie spaść miały kiedyś na mnie, na jej jedyne dziecko. — Ale brat mój już od dawna przemyślał nad zrobieniem tego z mym majątkiem, co Krystyna zrobiła z koroną don Karlosa. Mówią że przykład z góry pochodzący znajduje wielu zuchwałych naśladowców. Brat mój starał się korzystając z wojny domowej, z niewiary w stan rzeczy politycznych, nakłonić mą matkę do zrobienia testamentu na korzyść swego ojca jeszcze żyjącego, — wmówił w nią, że tym sposobem ujdzie konfiskaty dóbr, która nieraz spadała jak piorun na osoby podejrzane o sprzyjanie don Kar-

losowi. Matka moja strwożona smutnym stanem rzeczy, zrobiła ten testament, ale potajemnie zwała go innym późniejszym.

Nie dość było bratu memu, potworowi jaki tylko czas nasz okropny wyrodzić może, mieć testament, trzeba mu było jeszcze usunąć mnie i matkę moją z liczby żyjących.—Tak zręcznie przy pomocy zakupionych ludzi umiał kierować swemi sposobami, żeśmy mu obie w sidła wpadły. Matkę mą wysłał do jakiegoś odległego klasztoru z groźbą że mnie niechybna śmierć czeka jeśli się do mnie dostać będzie chciała; przysiągł na krzyż, że Matki nie wypuści dopóki nie zostanie zakonnicą, że jej życie odbierze, jeśli nazwisko me lub imię wyjawię przed kimkolwiek bądź i wysłał mnie tutaj z Duenną umyślnie na to ze szpitala głuchoniemych wydobytą. Kobieta ta do tego stopnia z rozumu jest

odartą, że się zdaje być idiotką. Do prawdy że tylko w bardzo niewielu rzeczach porozumieć się możemy—Siostry głuchonieme, u których mieszkasz don Sigismundo, są szczęśliwsze, muszą posiadać jakiś instynkt, jakiś dar przyrodzony, tylko podobnym sobie udzielić się mogący, gdyż wszystkie trzy razem się zeszedłszy, bezustannie gestykują, — a potem młodsza z siostr głuchoniemych umiejąca pisać udziela mi myśli mej duenny i sama znajduje że więcej ona nierównie ma pojęcia niż go mnie wyjawić jest zdolna. Przybyliśmy do Ayamonte trzy lata temu w zamkniętym powozie, w towarzystwie ludzi zupełnie oddanych memu bratu, których część pewna podróżowała konno i zakupowała furaz na muły, i żywność. My bowiem tylko nocą jeździliśmy, a popasali dniem w kniejach i górach. W dwadzieścia

siedm dni po wyjeździe z dóbr mojej matki leżących pomiędzy Saragossą i Lerydą, stanęliśmy nadedniem w Ayamonte pod klasztorem Norbertanek. Jeden z mych stróży przypomniiał mi przysięge mego brata.

— „Brat twój oszczędził ci życie“ rzecze mi ten człowiek — „ale pod warunkiem żebyś odtąd tak dobrze zapomniała twego imienia i nazwiska, jak on dobrze umiał zatrzeć ślady twój istności. Nazywasz się Fernanda Solis, jesteś córką biednego ale dobrze urodzonego szlachcica, któren nie mogąc cię wydać za człowieka godnego twego rodu, a niechcąc oddać za nisko urodzonego, przeznacza cię mimo twój woli na zakonnicę i wysyła na ten ostatni kraniec Andaluzyi, gdzie przez całe życie będziesz oddaloną od świata. Takie rzeczy często się dzieją

i u ksieni wiarę zyskają. Wszystkie papie-
ry i pieniądze potrzebne dla wstąpienia
do klasztoru zawarte są w tym liście któ-
ry wręczę Ksieni. — Najmniejsza opozy-
cja z twój strony, najmniejsza reklamacja
oddziała boleśnie na los twój matki. Bę-
dą Cię i tu pilnowały oczy najęte. Wiesz
że brat twój jest potężnym, że się nicze-
go nie lęka, — że wszędzie dosięgnie.“

Tak się też stało. Wprowadzono mnie
i mą Duennę do rozmownicy, i złożono
rzeczy, — zadzwoniono, oddano nas klu-
cznicy wraz z listem. Potém zawarły się
drzwi, stróże nas opuścili. Byłam w ów-
czas bardzo młodą, zaledwie piętnaście
lat liczyłam. W tym wieku trudno było
nabyć przytomności umysłu i odwagi.
Oslupiała, do automatu podobna, podró-
żą znękana, padłam przed obrazem Matki
Boskiej i rzewnemi zalałam się łzami.

Ksieni tym czasem list przeczytała, surowym na mnie spojrzała wzrokiem i rzekła: „Fernanda Solis idź za mną“ — Duenie zaś mojej znak dała. Bóg wie co list ten zawierał. Bóg wie jak mię tam opisano, za co mnie tam wystawiono!

Ja poddałam się memu losowi nie czynnie jako istota rozumująca, lecz biernie jako stworzenie nawałnicą uczuć zgęsbione. W religii szukałam pociechy, ale nigdy nie przestałam cieszyć się nadzieją uzyskania zemsty. Ileż to nie zniosłam przez pierwszy rok mego pobytu w tych murach! Ksieni listem do niej pisanym, oczywiście przeciw mnie uprzedzona, obchodziła się ze mną z prawdziwie okrutną surowością. Kazała mi zrywać się w nocy do pacierzy, wstawać rano, pościć, biczować się, uczyć się na pamięć długich pacierzy łacińskich, żywotów świętych,

spowiadać, słowem nękać się wszelkimi sposobami. Co miesiąc pytała mnie zimno czy się czuję usposobioną do wykonania przysięgi, i zaręczała mi, że wszystko zaraz zmieni się na moję korzyść po odbyciu takowej.

Ja zawsze odpowiadałam, że nigdy nie wstąpię do klasztoru. Za każdym razem po takiej odpowiedzi położenie moje pogorszało się o cośkolwiek.

Bóg jednak nie dał mi upaść pod brzemieniem tak wielkich katuszy. Duenna moja—ta niemowa—ta idyotka, ta istota dla której oświata ludzka nic nie zrobiła, której zatém i popsuć nie mogła—Duenna moja, świadek głuchy i milezący mych cierpień, mój cierpliwości, pojęła przecież w swym ludzkim instynkcie, że tyle prześladowań wywieranych ciągle na istotę młodą, nie mogły być niczém zasłužo-

ne. Nie tylko uczuła głęboko krzywdę mi wyrządzoną i nie raz rzewnie nade mną płakała, ale nawet poznała że w tym od świata oddzielonym zakątku, w którym bezkarnie włada przemoc i kaprys, niczego dostąpić nie można otwartą drogą. Przemyśliwała tedy nad sposobami ulżenia memu losowi. Bóg jej widać chciał dopomódz. Poznała się, choć nigdy nie przestąpiła krat rozmownicy dla mnie zakazanych, z dwiema siostrami głuchoniememi, u których mieszkasz o don Sigismundo! One to podawały jej pokryjomu różne żywności, któremi biedna istota karmiła mnie wycieńczoną nieraz do tego stopnia z głodu, że o własnych siłach z łoża wstać nie mogła.

Rok prawie cały przeszedł w męczarniach. — Na końcu jego ksieni widząc, że żadne dotychczas użyte tortury zwalczyć

nie zdołają mego wstrętu, widząc mnie ciągle cierpliwą i milczącą, widząc mnie znoszącą wszystko co znieść zdoła tylko istota młoda rozwijająca się: głód, bezsenność, katusze, samotność i wzgardę mych towarzyszek, zaczęła widać wątpić sama o słuszności środków przeciw mnie użytych — zaczęła obchodzić się ze mną łagodniej. Ale jednego razu, po trzech miesięcznym odpoczynku, znów mnie zawołała do siebie, starała się długą rozmową, łagodnością, przymileniami skłonić mię do zrobienia przyrzeczenia. Odmówiłam stanowczo, zaręczając, że wolę umrzeć. „Na tę cię próbę wystawimy o bezbożna istoto, o potworze, któraś winą co na tobie ciąży — zasłużyła na śmierć. Podano ci sposoby okupienia się od niej, wzgardziłaś niemi — gotuj się tedy na śmierć“ — rzekła megera głosem przytłumionym, ale

tak wściekłym, że mi krew w żyłach ścierpła.

Przygotowaną jestem od dawna na wszystko! odpowiedziałam, nic się na tym świecie nie stanie bez woli Boga.

Cztery siostry z niższego chóru już w pogotowiu będące porwały mnie, rozebrały i skępowały, potem oczy mi zawiązawszy uniosły do jakiegoś zimnego, podziemnego sklepienia, gdzie mały promień światła dochodził. Położono mnie ze związaniem nogami na słomie — ręce mi odwiązano i oczy — kawał chleba i dzbanek wody, książkę do modlitwy której dla braku światła nawet czytać nie mogłam, zostawiono mi w tej pieczarze; potem drzwi się za mną zawarły. Codziennie przez okienko drzwi pytała mnie Ksieni czy zezwalam — a ja odpowiadałam „nie!“ chleb mój zjadłam w trzy dni i wodę wypiałam.

Czwartego i piątego nic nie jadłam, gdyż żywności nie podano mi więcej, przywieziona do ostateczności znajdowałam pewną dziką rozkosz w urąganiu zbliżającej się śmierci. Obraz matki mój stał mi przed oczyma — wizye jakieś i delirya zaczęły mnie opanowywać. W tém, razu pewnego słyszę jakiś jęk, jakiś łoskot od strony kraty żelaznej, przez którą wkradło się wysoko nad mą głowę światło; zwracam na nie me oczy i spostrzegam przedmiot drobny spuszcający się z tej kraty ku mnie — wyciągam ku niemu rękę — była to butelka napelniona mlekiem, zawieszona na sznurku. Wszystko odgadłam, to moja biedna, pocziwa niemowa. Ona jedna nie znając mnie kto jestem, nie wiedząc że m niewinna, ulitowała się nademną, i sposobami których nigdy nie odgadnę, wysledziła moje więzienie. — Wypiłam

mleko z łatwą do pojęcia chciwością. — Codziennie mi je przynoszono. Jeszcze cały tydzień trzymano mnie w tej pieczarze, myśląc że się passuję z mękami głodu — codziennie mnie zapytując czy zezwalam. Razu jednego nie odpowiedziałam, umyślnie dla przekonania się czyby mi istotnie z głodu umrzeć pozwolono, gdyby Opatrzność nie była przejęła litością serca biednej niemowy. Nie odpowiadam tedy na zwykłe zapytanie i żadnego nie robię poruszenia. Ksieni powtarza pytanie dwa — trzy razy, ja zawsze milczę.

— „Przecieżś skonała zmijo jadownicta! — rzecze do siebie Ksieni. Bóg niech się nad twą duszą ulituje! grzesznico, jakiej świat nigdy nie widział.“

Odeszła — wkrótce potem cztery siostry z niższego chóru weszły do mej pieczary z motykami i rydlami, i na wskazaném

przez Ksienią miejscu zaczęły mi grób kopać. Worek bardzo wielki wapna niegaszonego, który z sobą przyniosły, miał zapewne służyć na przyspieszenie dzieła zniszczenia.

Boże kochany! mówiłam do siebie, widząc te siostry kopiące mi grób z taką ochotą, Boże, cóż osoba w mym wieku może zawinić, co by do tego stopnia przytępić mogło uczucie litości w sercach tak jeszcze młodych! potem zaś ogarnął mnie strach okropny. Ah! one gotowe pochować mnie żywą, te okrutnice — na tę myśl zerwałam się równemi nogami z taką siłą, że więzy me przegniłe z wilgoci pękły. Grabarki wyjąc i wrzeszcząc uciekły z więzienia. Ja poszłam za niemi w trop; po chwili byłam w celi u mej niemowy. Widząc mnie tak wynędzniałą zaczęła nieboga szlochać i jęczeć w sposób serce roz-

dzierający, — wpadła w okropny paroksyzm nerwowy, myślałam że skona.

— Pani, nie twoja w tém winna że jeszcze żyję! Bóg nie chce żebym umarła! daj mi wypocząć dni kilka, nim mnie znów na tortury weźmiesz!

Tak rzekłam do Ksieni wchodzącęj zdawało mi się spostrzedz na téj zimnej nienawiścią przesiąklęj, głupotą stepionęj twarzy jakiś ślad wzruszenia. Istotnie była wzruszoną.

W skutek głodu, zimna i cierpień moralnych wpadłam w gorączkę, która trwała tygodni kilka, — podczas niej przytomność umysłu tak napięta w czasach ostatnich, odeszła mnie zupełnie; przyszedłszy do siebie ujrzałam się w celi daleko porządniejszēj, i otoczona współczuciem i serdecznemi względami. Wielka w mym losie zaszła odmiana podczas tego uśpie-

nia umysłowego. Dawna Ksieni umarła, nowo wybrana osoba dobra i rozumna uznała niesłuszność prześladowań przeciw mnie wymierzanych. Nadto, w całej organizacyi klaszternej znaczna zaszła zmiana. Edykt Mendyzabala znoszący klasztor został ogłoszonym. Każdej chwili lękało się, żeby mury klasztoru, ogrody i pola wystawione na sprzedaż, nie zostały kupione i zakonnice siedziby swęj pozbawione. Wszystko to wiem od jednej z sióstr usługujących mi.

Młodość i siła natury, bardzo we mnie mocne, tryumfowały. Pod wpływem ludzkiego obejścia się ze mną, lepszéj strawy, i dzięki pomocy udzielonéj mi przez twego przyjaciela, doktora z Villa real, odzyskałam zdrowie i jakiś urok życia nawet. — Nie naglono mnie ani do wykonania przysięgi, ani zmuszano do pacierzy nocnych,

ani do wycieńczających postów, nawet pozwalano mi nieraz, pod dozorem sióstr zakonnic i mej Duenny przechadzać się po ogrodzie klasztornym.

Nikt się nie zjawił coby chciał kupić klasztor — i rząd także gdzieindziej tak sprężysty w przeprowadzeniu rozporządzeń nowych przeciw klasztorom — tutaj w Ayamonte nie wystąpił z żadnem prześladowaniem. Owszem ręka jakaś niewidzialna a silna usuwała trudności. Klasztor Norbertanek w Ayamonte uzyskał uroczyste przyrzeczenie tollerancyi. Mam prawo myśleć, że taż sama osoba, która mnie tu wtrąciła, opiekuje się klasztorem, i że ja jestem węgielnym jego istności kamieniem.

Rok drugi mego pobytu w tych murach zupełnie się różnił od pierwszego w nich spędzonego. Przedtém byłam

przedmiotem nienawiści i wstrętu, teraz stałam się przedmiotem szacunku, a nawet i hołdów, na które umiałam odpowiedzieć wzgardą. — Ksieni nawet, osoba dobra, dość uczuciowa, ale przytém bardzo podejrzliwa i ostrożna, zaczęła powoływać mnie często do swego towarzystwa, — ale ja miałam ciągle na sercu pamięć mąk dawniej doświadczonych, ciągle miałam przed sobą obraz ukochanej matki w więzach jęczącej, z oziębłością i dumą przyjmowałam hołdy osób, które mnie dawniej tak srodze potępiały. — Poczciwy doktor Portugalski, twój wielki przyjaciel, zaczął się mną interessować, przynosił mi książki, a nawet nieraz pokryjomu dawał mi czytać dzienniki.

Położenie moje stało się znośném — wiele czytałam, wiele pisałam, pracowałam z usilnością nad mém wykształceniem.

I kapelana nawet dotychczasowy wstręt przezwyciężyć zdołałam. Znajdywał przyjemność w mem towarzystwie, ale serce jego bezwzględnie oddane duchowi klasztoru, w którego usłudze spędził lat pięćdziesiąt, cierpło i cofało się w siebie na najmniejsze wspomnienie myśli, z mym losem związek mającej.

Nawet i doktor w tym względzie nader jest ostrożnym. Jeden i drugi mają widać powody uważania mej niewoli za konieczny warunek dalszej istności klasztoru.

Tak ubiegł rok drugi i trzeci prawie mej niewoli, kiedy niedawno, dwa miesiące temu, dostał mi się w ręce pomiędzy dziennikami dostarczanemi przez doktora, jeden numer dziennika „el Diario del Gobierno“ w którym wyczytałam z wielkiem dla mnie zadziwieniem, że matka mo-

ja jest na wolnej stopie. Tak jest, nie mylę się. Matka moja miała zaszczyt być przypuszczoną w dniu galowym do ucałowania ręki królowej donny Izabelli. — Wszystkie jej imiona, nazwiska męża i ojca, godności i tytuły najdoskonalej wymienione.

Zadrzałam, osłupiałam! Matka moja na wolności prezentuje się na dworze, a ja jęczę w więzieniu. Od tej chwili wszystkie względy wstrzymujące mnie od przemyśliwania nad uwolnieniem zniknęły od razu. Ale brat mój, wyczytuje to także z gazet, jest ważniejszą i potężniejszą niż kiedykolwiek osobą, zniszczyć potrafi łatwo zamachy do mego uwolnienia dążące, a źle prowadzone. Dlatego też nie wdawałam się dotychczas w żadne korespondencje. Wielokrotnych zdrad ofiara obawiam się jej wszędzie.

Ty tylko, don Sigismundo, wzbudzasz we mnie nieograniczone zaufanie, umiem cenić twój wzniosły umysł, i choć mało znam świat, potrafię jednakże wtajemniczyć się w sprężyny myśli i ducha ludzi rządzących się szlachetnością.

Od chwili kiedy wszystkie moje myśli i uczucia wsiękają w pałającą żądzę wyswobodzenia się z niewoli, od tej chwili, kiedy nie już nakłonić nie może do cierpliwości, zdrowie me znacznie ucierpiało. Widząc ksienię, kapelana, doktora strwożonego tą zmianą, zaczęłam, przyznając się do tego—ale cóż nie robi wzięciń dla stargania pętów — zaczęłam udawać że mam suchoty i to z taką zręcznością że nikt nie wątpi o istnieniu mych suchot— że mnie każdy żałuje, że nawet ksieni do wielkichby się zgodziła ofiar, byleby mnie wyleczyć.

Co chcę zyskać memi suchotami? oto żeby doktor z Villa real, któremu księżni wszystko wierzy, wpadł na myśl, że powietrze w Kadyxie zawsze jednostajne, ciepłe i wilgotne uśmierza kaszel, że zmiana miejsca na czas jakiś, że przejażdżka etc. mogą wpłynąć korzystnie na me zdrowie, mogą mnie ocalić etc. — w Kadyxie znajduje się klasztor Norbertanek także tolerowany, a zostający w przyjaznych stosunkach z naszym. Ten klasztor chętnieby mnie przyjął i przechował z mą głuchoniemą na czas niejaki — w Kadyxie znalazłabym sposoby dostania się do méj matki.

Ale doktor we wszystkich innych rzeczach tak domyślny, w tej nie chce się niczego domyśleć, a odemnie myśl ta wyjść nie może; ja bowiem udaję osobę zniczczoną światem i chętnie go opuszczają-

cą. Im mniej się będę zdawała interesować stanem mego zdrowia i życia, tém łatwiej uzyskam cel mych życzeń.

Ale ktoś, coby znając wszystkie stosunki wpłynąć mogące korzystnie lub niekorzystnie na los mój, chciałby się nim zajmować, i wolę mą utajoną z zręcznością pełnił, tenby mógł ocalić kochającej matce jedyną córkę.

Lecz pod jakim pozorem masz mówić o mnie z Doktorem? masz się mną interesować? Oto pytanie, na które z trudnością odpowiedzieć. Wiem żeś zyskał u Doktora Bomfim wysoki stopień zaufania; — wiem że się często schodzisz z nim, równie jak ze spowiednikiem i rządcą sumienia naszej ksieni — z kapłanem. Nie sposób żeby w tych częstych sposobnościach nie zdarzyło się mówić, lub nie można było naciągnąć rozmowę

o mnie. Myśl jedna zręcznie rzucona, może oddziaływać na mnie. Rzeźwość, twórczość twego umysłu wszyscy podziwiają—racz tylko rzucić raz, ale w stosownej okoliczności myśl,—że zmiana położenia—klimatu i miejsca etc często wpływają nadzwyczaj dobroczynnie na wskrzeszenie zasobów życia dotychczas uśpionych, — a zdolnych zwalczyć najsilniejsze choroby, — nasuń myśl zbawienną doktorowi, on ją powtórzy, a ja widząc że w głowie lub sumieniu ksieni fermentować zaczyna, potrafię zręcznie jak gdyby z niechcenia doprowadzić myśl do postanowienia, — a postanowienie do wykonania.

Oto są długie dzieje mych cierpień—
Oto masz wyłożoną całą budowę, na której opieram nadzieję wydzwignięcia się z tej niewoli ciężaczej tak okropnie na

mym losie.— Wiele użyłam słów i myśli dla przeświadczenia Cię o ważności wpływu, który małą rzeczą wyrzucić możesz na me szczęście. Przejmij się, błagam o to, twą rolą — bądź mym zbawcą. Jutro już czekam odpowiedzi.

ROZDZIAŁ VII.

DYPLOMATA.

Zygmunta przeczytał raz, drugi i piąty list zawierający tyle i takich niespodziewanych rzeczy — blednął, drżał z gniewu, płakał nawet na wspomnienie cierpień tak nazwanéj donny Fernandy — długo chodził po wybrzeżu morskiém, nie uważając nawet na fale oceanu, wkraczające coraz daléj w ląd stały i zanurzające go po ko-

lana w swych wodach. Będę jej zbawcą
 rzecz do siebie: ale jak podrzędną don-
 na Fernanda, daje mi w tém dziele rolę!
 być niczem więcej jak suflerem pomysłów
 lekarskich! na pięknego chce mnie wy-
 kierować zbawcę! Anibym mógł się po-
 chwalić później z dokonanego dzieła, ani
 nawet zaskarbić sobie niem jakątąką
 wdzięczność ze strony wybawionėj ofiary.
 Nie! ta rola nie odpowiada skrzydłom me-
 go ducha, którego wysokiemu polotowi
 przecież sama donna Fernanda sprawie-
 dliwość oddaje. Nie! większą w tej spra-
 wie odegrać muszą rolę, chociażbym ją
 miał umyślnie utrudnić. A potem nasz
 anioł ani wspomina o nagrodzie mnie cze-
 kającej, ani o przyjemności którejby do-
 świadczyła z poznania się bliższego ze mną.
 Przecież nie sposób żeby człowiek, który
 w tak młodem sercu wzbudził tyle zaufa-

nia, nie miał zarazem wzbudzić i innego tkliwszego uczucia. Tylko młoda, od świata odwykła, lękliwa, nie śmie mi tego dać poznać inaczej, jak skromnym wyznaniem, że się od dawna w twarz mą wpatruje, i że ją znajduje bardzo szlachetną.

Z resztą na co się tu przydadzą wszystkie domniemywania. Może taki zachodzi stosunek pomiędzy Fernandą a jej głową, jak pomiędzy tym oto kaktusem a jego kwiatem. — Może ona mała, gruba, a nawet garbata. Przekonajmy się przede wszystkim, dowiedzmy pięknej i miłej Sennorze, żeśmy przebiegli, zręczni i przedsiębiorczy w potrzebie.

Tak do siebie mówił pan Zygmunt przebudzony do życia romantycznego, do którego od dawna tęsknił.

W pośrodku ogrodu, otoczonego z trzech stron wysokim żywym płotem, z czwartej

zaś strony odgraniczonym od ulicy domem o jedném piętrze, stał piękny kiosk; a około niego i na nim pięły się w górę winorośle już w najbogatsze liście wybujałe, już kwitnące. Promienie słońca południowego, jakkolwiek bystre i przejmujące, przebić nie zdołały gęstej warstwy liścia tak silnego, chmury pszczół brzęczały około słodkiego kwiatu, motyle nadstawiały promieniom słonecznym najpiękniejsze barwy swych drgających skrzydelek, podziwiając nawzajem swe nadołne ruchy i świetny koloryt. Ptaszki jakieś smaragdowe, czupurne jak kogutki, a malutkie prawie jak kolibry, gnieźdzą się pomiędzy samym liściem winnym, i tak mądrze swe gospodarstwo urządzają, że się piskłeta wykluwać zaczęła z drobnych jak groch jajek skoro winogrona dobrze dojrzeją, — a jaki przepych krzewów

i kwiatów w tych małych obrębach, jaka woń balsamiczna! Tu pod tém niebem, na tym gruncie, sztuce ogrodniczej małe zostawiono pole rozwoju; natura sama prześcignie swemi niespodziankami wszystkie starania ogrodnika. Tu nie potrzeba sprowadzać z dalekich krajów krzewów, sztubrów i nasienia, — i opłacać je pieniędzmi, których kosztem żyćby mogły całe rodziny nieszczęśliwych, pozbawionych chleba i strzechy. — Tu wszystko rośnie, krzewi się i wybuja samo z siebie, tylko wyplen wrzosy, dławiące nardasze i dzikięj bawełnej korzenie wyrwji z ziemi, i kretów także nie zapomniji wyłapać, i wypielać gąsienice, a będziesz miał na każdym kawałku gruntu, na każdej pędzi ziemi, kościół godny twego Stwórcy.

Ludzie też umieją szanować te Boskie dary. Choć miliony masz krzewów, a mi-

liardy gałęzi, żadna tu ręka nie zerwie jednego listka na próżno z psoty, lub pustą myślą pędzona. — Tu cześć religijną oddają wegetacyi, w niej szanują jakoś instynktownie nadzieję odrodzenia, tak potrzebną rodzajowi ludzkiemu.

Oh! jak tu miło na tej ziemi, jak tu łatwo być cnotliwym, religijnym, szczęśliwym.!

Nie! niestety! Tak trudno na tej ziemi być cnotliwym, religijnym i szczęśliwym, jak w każdym innym kraju ogołoconym z tych cudów — twardym i skalistym. Ta sama siła życia, która się w drzewie i krzewinie objawia trudną do uwierzenia bujnością, ta sama siła objawia się w człowieku nie łatwą do wstrzymania namiętnością. We krwi tętnieją żądze, w nerwie drga wola bardzo mocno, wielkieby potrzeba siły rozumu w mózgu, i dobroci

w sercu, żeby powstrzymać tyle namiętności palających w niższych organach. — Tak gdy gałęzie wybujają zawczasie, pień się nie wzmocni. — Południowca gałęzie dojrzewają kiedy pień jeszczeby potrzebował wzrostu, — a syna północy pień dojrzeje dopiero w ten czas, kiedy gałęzie już rość prawie nie chcą. Jeden działa nim pomyśli, drugi długo myśli i działać chce dopiero w tenczas, kiedy schną gałęzie.

Oto cała filozofia wegetacyi zastosowana do psychologii. — W kiosku tedy, który raczej był altaną, siedzą trzy osoby. Jedna wzrostem poważna, sędziwa wiekiem i wyrazem świętego pokoju na dość rumiannęj wielkiej twarzy. Głowę jej srebrnym ozdobioną włosem pokrywał kapelusz z niskim dnem, a szerokimi skrzydłami, zawiniętymi z boków w górę w sposób tak dziwny, że wszystko razem przed-

stawiało coś bardzo podobnego do łokcia rury od pieca. Długa rewerenda czarna, zapięta z przodu niezliczonym mnóstwem małych guzików, pokrywała szanowną tę osobę od szyi aż do nóg obleczonej w czarne jedwabne pończochy i w trzewiki z wielkimi jak ramy sylwetki sprzączkami. Szeroka jedwabna taśma przepasywała dostojny swym rozwojem brzuch kapłana.

Kapłanem bowiem była ta osoba — zgadujemy zapewne że to kapelan Norbertanek.

Druga osoba także w wieku, ale daleko mniej poważnie ubrana w frak tabaczkowego koloru, bardzo staroświecki, z wielkimi na granatowo szmelcowanymi guzikami, zapłonioną miała twarz, oko bystre, świecące, nogi w krótkich spodniach i wysokich do kolan dochodzących sukiennych kamaszach. W lewej ręce pier-

ścieniami świecącej dzierżyła wysoką trzcinę z szczerozłotą gałką, w drugiej zaś ręce także nieźle klejnotami wysadzanę, kieliszek wina przezroczystego jak kryształ, a koloru opala, i weń bystre oczy zatopiła.

To nasz stary znajomy doktor Portugalski, — ale trzecia osoba zkądże się tu wzięła, pomiędzy temi sędziwemi starcami. Wiekiem, powołaniem, temperamentem, narodowością nawet od dwóch poprzednich zupełnie różna, zdawała się być jednakże w związkach najściślejszej przyjaźni z jedną i drugą. Byłto młodzieniec zaledwie lat 23 liczyć mogący; włosy koloru orzecha laskowego w tył zaczesane i w bogatych, naturalnie spadających kędziorach, odsłaniały czoło śmiałe i roztropne, wyraz oczu jego miernych rozmarów, ale ciemniejszych jak włosy, był pocz-

ciwy a zarazem figlarny, wąsik wymuska-
ny, w górę zadarty, jak go tu nikt nie no-
sił, a twarz biała i rumianna, szlachetna
choć niezupełnie klassyczna, a tak otwar-
ta i szczerą jak lazur południowego nieba.

Na czubku głowy miał ten młodzieniec
czapkę oficerską, zamasyżście nasadzoną,
srebrnemi galonami na sposób francuzki
ozdobioną, — w reszcie stroju jakiś poety-
czny nieład, a w dziurce od guzika wstąż-
kę orderową.

Poznajemy i tego młodzieńca, to pan
Zygmunt, to bohater naszej powieści.

On tu rej wodzi pomiędzy tymi starca-
mi, onto ich rozwesela swym dobrym
humorem, rozśmiesza konceptami — i nie
jednem wykroczeniem przeciw duchowi
gramatyki hiszpańskiej — on teraz mowę
zwraca do doktora i drażni go temi słowy:

— Nie, dalibóg doktorze, nie udawaj

żeś się do tego stopnia pokochał w tém winie — pocziwe to wino; każdy to przyzna, aleć to twój naturalny nieprzyjaciół, to życiodawca, to zdrowia opiekun, ono nas chroni od twych mixtur i infuzyj, któremi jedynie umiesz przywracać zachwianą równowagę zdrowia.

— Szczerze przyznam, że masz zupełnie rację—w naszym kraju wino nie jest nieprzyjacielem rodzaju ludzkiego — ale w twoim — oh! drogi don Sigismundo, tamto lekarze śmieją się i aptekarze w ręce klaszczą, kiedy widzą butelkę wina w rękach szlachcica—nie prawdaż? oh wiedzą oni, że na jednej nie przestaną, że za jedną pójdzie sześć, a często nawet tyle że tam pod stołem nie jeden sługa musi odszukiwać swego pana z pomiędzy innych, i zaprowadzić go z ciężką jak bomba głową na łóżko.— Widziałem ja to nieraz—a do-

chodzą nas tu przecież gazety lekarskie aż z Niemiec; a na jakichto exemplarzach Niemieccy lekarze zbierają swe najlepsze obserwacye o podagrze i innych chorobach—na samych exemplarzach do wód uczęszczających, których nazwiska kończą się na *ski*. —A cóż don Sigismundo, tęgom ci odpowiedział na twe wyzwanie?

— A na kimże Niemcy zbierałiby swe doświadczenia o podagrze? odrzeczcie Zygmunta, na Niemcu? abo go to stać na dobrą podagrę, zkądże ją weźmie? z kartolla i z sznapsa? tak my musimy się zawsze poświęcać dla naszych sąsiadów i służyć im we wszelkim względzie,—a Europa taka niewdzięczna, że tego uznać nawet niechce!

— A tośmi zuch don Sigismundo -- dowieść nam że filantropia was do kieliszka znagła — to nieźle! U nas przyznam, tylko

egoizm do wina prowadzi, dla tego też nigdy go nie nadużywamy, — i jeszcze mniej nadużywać będziemy wkrótce. Któż nam ten nektar sporządzi teraz? rzecze sędziwy proboszcz, obejmując z serdecznością butelkę niemniej sędziwą, grubą warstwą śniedzi pokrytą.

— Kto wino sporządzi? zapyta Zygmunt. — Albo to mało winogron koło Aya-monte?

— Winogron nie zabrakło jeszcze — odpowie proboszcz, ale ich zapewne zabraknie skoro wieśniak spostrzeże, że żadnych z nich wyciągnąć nie może zysków. Cała rzecz, że od czasu jak Ojcowie Kapucyni rozeszli się, księża Dominikanie zaś wygnanymi zostali, zatracił się jakiś sekret przyrządzania i przechowywania lepszych win tej sfery. Wina jest wprawdzie podostkiem, ale to wino nieumiejętnie ro-

bione niezdołnóm jest do przechowania, psuje się. Zakonnicy znali się doskonale na sztuce nadawania wysokiej wartości winu tój okolicy — co to za wina wyborne były u Kapucynów, a szczególnie u Dominikanów! Boże wielki!

— Tak tak — ani słowa rzecze doktor — Dominikanie szczególną, serdeczną cześć oddawali temu darowi Boga; pamięta ksiądz Proboszcz, jak w chwili rozstawania się z murami, gdzie im tak dobrze było, wszyscy zeszli do klasztornej piwnicy, dla napicia się strzemiennego. Pięć dni i pięć nocy pili bezprzestannie swe najlepsze winka, wypielęgowane z taką macierzyńską miłością przez cały zakon. Do dziś dnia byliby może jeszcze pili, gdyby nasz Corregidor, ściśle mając rozkazy, i dbając także cokolwiek o całość resztki piwnicy, nie był sprowadził na wypędze-

nie Dominikanów zgłodniałego garnizonu z San Lucar de Guadiana. Trzeba było widzieć co się wówczas w piwnicach Dominikańskich działo. Nie jedna pękła butelka w żołądkach Dragonów exekwujących rozkazy Corregidora, ale nie jedna też pękła na ich głowie, poświęconą ręką rzucona. Pięciu było rannych Dragonów, a jeden z nich poszedł ad patres zdać ostateczny rapport z wyprawy przeciw dobrym księżom, których nareszcie pół umarłych zaniesiono na statki i wyprowadzono do kanaryjskich wysp, do Fortaventura.

— Poczciwi księża! jak oni szczerze kochali swe wino. A dobrzy ojcowie Kapucyni, czy tak bez ceremonii opuścili swe piwnice? spyta Zygmunt.

— Oho — ojcowie mieli rozum i przewąchali pismo nosem.

Jeszcze za dobrych czasów, kiedy tu panami byli, sprzedali Anglikowi jakiemuś piwnicę — a potem gdy edykt znoszący klasztory ogłoszonym został, kiedy się ojcowie rozproszyć musieli, zastano anglika wraz z kilkoma sługami osadzonego w przybytku Bachusa. — Odpowie proboszcz.

— A Norbertanki? także się trudniły wytłaczaniem winogron? spyta Zygmunt udając zajęcie się wielkie przedmiotem rozmowy.

— Oh nie! Norbertanki trudniły się wychowaniem dzieci miejskich. — Miały tu szkołkę, a wina dostarczały im klasztory męskie w zamian za hafty i kwiaty sztuczne, potrzebne do ubierania ołtarzy.

— Kochane Norbertanki, rzecze z rozczuleniem Zygmunt — umiały się stawiać użytecznemi miastu bardzo pięknem dziełem. Musiały nie mieć dóbr wielkich, kiedy się tak starały o spółczucie miasta.

— Mylisz się don Sigismundo — miały ich podostatkiem wprzód — ale im wszystko odebrano. Ziemię wypuścił rząd w dzierżawę małemi częściami. Budynek nawet klasztorny został wystawionym na sprzedaż. Ale nikt nie śmiał go licytować — tak tedy pozostały w nim dobre panny.

— Ja myślałem że Norbertanki zawsze biedne były — wnosilem to z malowidła przedstawiającego patronkę Norbertanek, Świętą Agnieszkę — malowidła umieszczonego w ołtarzu jednej z pobocznych kaplic naszego kościoła. Smutne to malowidło — nie wcale niewarte — przecież Norbertanki powinny były dbać o obraz Ś. Agnieszki, tak miłej, pięknej, młodej świętej.

— Prawda! patrz, nie myślałem dotąd o tem — prawda! to rzecz rażąca jednakże.

Święta Agnieszka zasługiwała na piękny obraz. Młoda, szlachetnie urodzona, bogata, i kochana przez jednego z najwaleczniejszych książąt Andaluzyi — przytém uczona i pełna talentów, piękności cudnej, wołała przecież zamknąć się w klasztorze, jak żyć w świecie i korzystać z darów natury, przypadku i wychowania. — Prawda don Sigismundo — masz rację. — Oh jak wielbię w tobie to oko młodzieńcze, któremu nic nie ujdzie, co oko starców razićby powinno. Prawda, masz rację! — powie z uniesieniem dobry proboszcz, a doktor dumny zawsze ze swego odkrycia (tak bowiem nazwał don Sigismunda) doktor patrzył się nań z radością, której powściągnąć wcale nie mógł, zacierał ręce i znaczącemi rzutami oka mierzył w proboszcza.

— W naszym szczególnie wieku, kie-

dy już nikt prawie nie wierzy w szczerę, szlachetne wyrzeczenie się tych nędznych rozkoszy ziemskich, dla których tylu ludzi zatracą wszelkie prawo do wieczności— w naszym szczególnie wieku, przykład zostawiony nam przez Ś. Agnieszkę powinienby być wyniesionym, — malowidło ją wyobrażające powinno by przedstawić ją w całej cudnej swej piękności, szlachetną, młodą, smętną, z pogodną rezygnacją na czole, a nie taką papierową i płaską jak wy ją macie wystawioną na waszém malowidle.

— Prawda! święta prawda przez twoje usta przemawia. W naszym szczególnie wieku, gdzie nikt nie wierzy w duchowe rozkosze, tylko w grube, materialne wygody, w naszym szczególnie wieku, o mili bracia! przykład Ś. Agnieszki jakżeby zawstydząć powinien te próżne umysły, te

lalkowate stworzenia, które codzien sto razy duszę zatracają dla dopięcia marnych, krótko trwałych ułudzeń. Ha, jakiebyto kazanie można powiedzieć, przy sposobności odkrycia jakiegoś uczciwego obrazu Ś. Agnieszki — widzę już chmary ludzi padające z jękiem na kolana. Oh don Sigismundo! jeszcze jeden kieliszek — ty, żebyś był Hiszpanem i księdzem, tybyś Hiszpanią całą znów nawrócił do Boga, bo święty masz zapal w twym sercu. Jeszcze jeden kieliszek, mój don Sigismundo, drogi mój przyjacielu.

— Oh szanowny don Fadrique, unosi cię dobre two serce i przyjaźń dla mnie; zanadto mi wyświadczasz zaszczytu. Ale to wiem z pewnością, że wiele można wyświadczyć dobrego światu w ogólności, a miastu Ayamonte w szczególności, dobrym portretem Stej Agnieszki, i gotów

jestem podjąć się téj pracy, *volabene* bez żadnego wynagrodzenia, prosto tylko by się wywdzięczyć księdzu proboszczowi za tyle grzeczności, których byłem z jego strony przedmiotem.

Ksiądz proboszcz chwycił powietrze jak człowiek tonący, tyle był rozczulonym, uradowanym propozycją Zygmunta.

— To będą dwa cuda dokonane za mego życia i za mojem pośrednictwem w Ayamonte, rzecz dobry proboszcz, bo bez cudu jakiegoś zapewne się nie obejdzie przy okoliczności konsekracyi obrazu Ś. Agnieszki. Ah! na miłość Boga wielkiego! dwudziesto-pięć latni Jubileusz jej urodzenia po 14 raz odprawiany zbliża się. — Przy téj sposobności stary, brzydki obraz zniknąć powinien, a nowy, piękny twego pędzla zjawi się jak gdyby z niechcenia, przypadkiem, cudem, i jak się tylko

zjawi, apostrofowanym będzie należycie przez kaznodzieję. Oto już plan, przystąpmy do wykonania.

— Do wykonania przystąpimy natychmiast i przystąpić musimy, bo mój pobyt w Ayamonte nie przeciągnie się już na długo. Ale idzie tu o rzecz ważną. Murillo gdyby nie widział pierwotworów żyjących, bujających przed oczyma jego wyobraźni, nie mógłby był wykonać obrazu tak cudnego, jakim jest jego Niepokalana Dziewica. I ja także znaleźć muszę jaki pierwotwór służyć mi mogący za model; przecież z pomiędzy waszych znajomych wynaleźć możecie jaką donnę szlachetnego, pięknego, bladego oblicza, służyć mi mogącą za model; o don Fadrique — chorowitych piękności znam dosyć w waszém mieście — ale melancholicznęj, szlachetnęj ani jednęj; wynajdźcie mi pierwotwór, będzie-

cie mieli doskonałą kopię, ręczę wam. Radbym zostawić temu dobremu miastu pamiątkę mego pobytu.

— I to znów prawda — oczywista prawda! — rzecze proboszcz — słuchaj don Pasquale — znasz tak dobrze wszystkie me parafianki jak ja sam — tyś leczył ich ciało — ja tylko ich duszę, kogoby tu użyć za model do naszego przedmiotu? ah wiem, donnę Inigę — siostrę Alkadego zamku! ona blada, wysmukła, wysoka, zawsze smutna — ona by się zdała na model.

— Ależ na Boga! — odpowie doktor, ona smutna i wysoka, ale tak głupio wygląda, taki ma wyraz chorowitego znękania w swej twarzy, że służyć nie może za model dla Stój. Agnieszki; prędkiejbyś wykrzesał ogień z poduszki jak z owej Inigi wydobył jaki wyraz natchnienia. — Nie! Nie! prędkiejby donna Ildefonsa, córka ko-

mendanta portu, służyć mogła za model. Ona także blada, wysoka, a twarz ma pełną szlachetności i wyrazu.

— Wyrazu tak złośliwego, przerwie proboszcz, że mleko krzepnie, skoro tylko w nie spojrzy. Nie, aby tylko nie donnę Ildefonsę — córkę hidalga, bladą ze złości, że w tym kraju, w którym nie ma hidalgów bogatych, za mąż pójść nie może. Nie, aby nie tę!

— Wartoby jednakże zobaczyć — rzecze Zygmunt, przebierzmy jedną i drugą w ubior Norbertanki, może zakonna szata nada jednej szlachetność, a drugiej dobroć — wartoby zobaczyć.

— Ah don Sigismundo, krzyknie doktor, toś mi niechcący nasunął doskonały pomysł. Mam nasz model. Na co nam przebierać jakieś Inigi i Ildefonsy w suknie zakonne, kiedy o sto kroków ztąd

znajduje się żyjąca Ś Agnieszka, w stroju Norbertanek. Księżę Proboszczu — uściskaj mnie! moja idea warta dwa kosze tego dobrego wina — Ah Fernanda Solis! Fernanda Solis!

— Ah niech ci Bóg da zdrowie don Pasquale. Twoja idea warta tysiąc butelek! ah jak można było zapomnieć o Fernandzie Solis. Ona może umyślnie stworzona na to, żeby służyła za model do tak wielkiego pięknego dzieła! Piękna jak Anioł, szlachetna jak królowa Kastylji, smętna jak geniusz śmierci. Ah święta Agnieszka stosowniejszą być nie mogła na swój własny pierwotwór!

— Fernanda Solis — Fernanda Solis! rzecze Zygmunt, jak gdyby z niechcenia, może znów jaka córka lub siostra urzędników rządowych, jakaś złośnica lub limfatyczka.

— Cha — cha — cha — Śmieli się doktor i proboszcz — limfatyczka, złośnica, córka urzędnika! Cha — cha! toś mi odgadł. Człowieku nie piękniejszego w życiu nie widziałeś, ręczę ci. — Niech żyje Fernanda de Solis — dalej — jeszcze jeden kieliszek — pij don Sigismundo — żałować nie będziesz tego zdrowia.

— Ale — ale! rzecze proboszcz, nie łatwać to jednakże sprawa; ksieni pilnuje swój Fernandy jak oka w głowie. Wiesz przecie don Pasquale, jak ważna ta osoba. Czy zezwoli tylko? a potem i ona sama, Fernanda, tak smutna i uroczysta, czy zechce służyć za model malarzowi?

— Ah, bah! to moja rzecz. Malarzowi jak don Sigismundo nie potrzeba długich posiedzeń, on będzie umiał zachwycić rzecz w przelocie. Ksieni ani się pytać będziemy. Oto ztąd prosto stantepede udajemy się do

klasztoru wszyscy trzej — Fernanda zostaje w mój kuracyi. Idziemy do rozmownicy zewnętrznej. Don Sigismundo w niej zostaje ukryty w pomroku wieczornym. Poprosimy donnę Fernandę do rozmownicy wewnętrznej, i drzwi pomiędzy jedną a drugą rozmownicą zostawimy otwarte, tak że don Sigismundo doskonale będzie widział co się dzieje w rozmownicy wewnętrznej, oświeconej dobrą lampą, a sam nie będzie spostrzeżonym. Ja potrafię posadzić donnę Fernandę w miejscu stosowném i zabawić ją nieruchomą przez czas niejaki. Don Sigismundo tym czasem wydobędzie swe Album i nakreśli kontury. — I drugie i trzecie posiedzenie tak się odbyć może z zupełną niewiedzą osoby najwięcej potrzebnej do dzieła.

Wszystko prawda — wszystko dobre!

zawoła ksiądz kapelan. Dalej, don Sigismundo, idziemy do klasztoru. Nie obawiaj się tego miejsca — nic ci się złego nie stanie. Diabeł nie tak czarny jak go opisują.

Pana Zygmunta zaprowadzono do klasztoru; utopiono rybę w wodzie!

Tak się udał fortel młodemu dyplomacie.

ROZDZIAŁ VIII.

KLASZTOR.

Drugiego dnia potem list następnej treści poszedł jedwabną pocztą po za kraty klasztorne.

„*Semmora!*“

„Dzień wczorajszy będzie dniem pamiętnym w dziejach życia mego. List twój przeczytałem. — Każde z jego wyrażen spadało na me serce młotem. — Tak mło-

da, tak piękna, tak niewinna — a tyle już doznanych cierpień, tyle niezasłużonych męczarni! Boże wielki! na kogoż spadają ciosy twych srogich wyroków? najczęściej na niewinnych. — Niemi chcesz wyrobić siłą w owych duszach, które służyć ci mają później za dowód twój świętości. Ty donno Fernando, tak cię bowiem nazwać muszę, nie znając twego prawdziwego imienia, ty donno Fernando jesteś jedną z tych wybranych jestestw. — Ale pociesz się, o Sennora! godzina twego uwolnienia, która będzie ostatnią twych cierpień, godzina twego uwolnienia wybije wkrótce.

„Sprawy nie zaspąłem ani na jedną chwilę, przedewszystkiem chciałem sobie dać prawo interessowania się tobą. Jakżeż bowiem mogłem rozmawiać o osobie, o której istności dotąd *officialnie* od mych sę-

dziwych przyjaciół nie nie słyszałem? Wprawdzie, raz czy dwa razy doktor wspomniał mi o osobie znajdującój się w klasztorze, osobie bardzo pięknej i bardzo chorėj, ale to było nawiasem powiedziane, nie mogłem zatém, bez wdzierania się oczywistego w rzecz, uchwycić się kwestyi tak delikatnej, i tyle wymagającój ostrożności. —

„Dla ciebie Sennoro! po raz pierwszy w mem życiu stałem się dyplomata, człowiekiem dążącym sposobami nieszczeremi do dopięcia zamierzonego celu. Ale cóżbym nie uczynił dla ciebie? twoje oblicze przyświeca ciągle widokręgowi mych myśli, atmosferze mych uczuć, mocniej jeszcze jak owe świetne słońce Andaliuzyi przyświeca owej cudnej krainie. Ty jesteś urzeczywistnieniem wszystkich mych od tak dawna pielęgnowanych ideałów. —

To, com ledwie pomyśleć zdołał, Ty przeszłaś w pięknie i nadobności.

„Ah! widziałem ciebie — kilka kroków tylko oddzielało mnie od twój osoby. Niepostrzeżony w pomroku wieczornym, w rozmównicy zewnętrznej ukryty, widziałem ciebie wstępującą do rozmównicy wewnętrznej. Opiszę cię, bo może sama siebie nie znasz, może nie wiesz za ile darów masz dziękować Bogu. Blasku twój twarzy bladej a świecącej jak alabaster w świetle bengalskiem przyćmić nie zdoła kaptur brunatny, który nosisz na głowie, ani twych długich, głębokich oczu ognia bogate rzęsy twych ciemnawych powiek uśmierzyć nie mogą. Boże! ile w tych oczach uczuć i myśli, choć ich poruszenia wolne, szlachetne i nie częste. Skoro przemawiasz, zdaje się że mówisz z tronu do poddanych, a jednakże lubo się uśmie-

chasz i dziewiczej skromności anielskie powaby igrają w ten czas około ust Twoich, szepleniących cokolwiek, tak jak szeplenią u was, o! córki ogrodów Hesperyjskich. — Postaci twój rajskich uroków nie zdoła pokryć suknia zakonna, — istność ich wyjawia się jakimś powiewem nieśmiało akcentowanym, ale tak wydatnym dla oka mego, jak są wydatne gwiazdy na firmamencie. Wysoka, wysmukła, w każdym z twych ruchów wyjawiasz rozum, wolę i tysiączne gracye, dane tylko osobom przesiąkłym pięknem i piękna uczuciem. — Twa rączka jest biała, długa i wymowna. Twa noga dumna i szlachetna, a tak pewna siebie, jak jest pewną siebie wiara i cnota. Wyraz omdlenia, rozlany w twój postawie, przyczynia ci wdzięków. Znękaną byłaś, kaszlałaś, doktor i kapelan błedli, a ty, jak gdyby nie

wiedząc o wrażeniu sprawioném, mówiłaś dalej, uśmiechałaś się, pytałaś czy kwitną kwiatki w ogródkach, czy świegocą ptaszki, czy potrwa długo wiosna tego roku!

„Doktór ci się pytał czy lubisz mleko, czy nie masz gorączki, czy kaszlesz w nocy? Tyś odpowiedziała, że pijesz mleko, że nie miewasz gorączki, tylko że cię ręce palą co wieczór i że spać nie możesz w nocy. Prosiłaś o jakie zaspakajające lekarstwo, a doktor mówił: już tyle ich wyżyłaś, o Sennora, a wszystko na próżno.— Tyś spytała smutna, więc już nie ma lekarstwa dla mnie? Doktor się zasepił, i jękając odpowiedział: „jest, jest — młodość twa, siła twój konstytucyi przetrwają to wszystko — wyzdrowiejesz, nie lękaj się.“ Tyś w niebo spojrzała i nic nie mówiła więcej.

Ja sam struchlałem widząc cię tak om-

dlalą. Może istotnie chorą jesteś? Boże, czy na to się wysiliłeś, żeby zniszczyć najpiękniejsze Twoe dzieło w kwiecie młodości?

„Ale pod jakim pozorem zdołałem wkraść się do klasztoru? spytasz zapewne o donna Fernando.— Oto tak dobrze udala się dyplomacya z doktorem i kapelanem, że oni sami wprowadzali mnie do klasztoru, sami ukryli, ciebie zaś tak posadzili, żebym wygodnie mógł na ciebie patrzeć.— Tak droga Sennoro! sam pasterz wprowadził wilka do owczarni, i najpiękniejszą prezentował mu owieczkę. Świętość celu uświęca środki. Ofiarowałem zrobić klasztorowi obraz przedstawiający jego patronkę Ś. Agnieszkę, ale żądałem żeby mi wynaleziono wzór stosowny.— Poprowadzono mnie do ciebie; pzzyznałem że na kuli ziemskiej nie ma piękniejszego.

„Doktór i kapelan nie przewidzieli jednakże, że zostając w ciemności nie wiele będę mógł korzystać z tego pierwszego posiedzenia dla dobra przedsięwziętego obrazu. Dla tego też zgodzono się na drugie posiedzenie, udać się mogące jedynie, jeżeli przyjdiesz nam w pomoc bardzo dobrą wolą. — Tym razem przyjdziemy w dzień, drzwi pomiędzy zewnętrzną a wewnętrzną rozmównicą zostaną zamknięte, ja usiądę tuż przy kratkach i z po za nich mam patrzeć na ciebie, a ty Sennora masz usiąść profilem do mnie, w postawie natężnionej patrząc się w niebo. Dla spowodowania tej postawy ksiądz proboszcz ma ci przeczytać z nowo wyszłej książki do nabożeństwa bardzo rozczulającą modlitwę.“

Pan Zygmunt zakończył list swój innemi jeszcze w większe szczegóły wcho-

dzącemi radami i protestacyami gotowości do wszystkich usług na lądzie i na morzu, podczas wojny i podczas pokoju, a których treści domyślić się można.

Tydzień cały minął w rozlicznych zatrudnieniach i machinacyach. Kopia obrazu Dziewicy Niepokalanej już prawie na dokończeniu — obraz Ś. Agnieszki już także bardzo posunięty. Kilka było posiedzeń, kilka wymienionych listów, nieraz nawet anioła więzionego oblicze objawiło się w okienku kraty chór przegradzającą i nowe wlało siły w duszę Zygmunta.

Przyjaciele jego codziennie mu więcej oddani, codziennie mu więcej ufają — i wpływowi jego zřecznie wywieranemu zupełnie ulegają.

Tydzień mówię minął z okładem kiedy się w klasztorze, w komnacie ksieni, następująca scena odegrała.

Niegdyś, przeszło trzy wieki temu, jeszcze przed śmiercią Ferdynanda katolickiego, klasztor Norbertanek w Ayamonte założonym został kosztem tegoż samego króla, dla jednéj z jego pobocznych wnuczek, która w młodym już wieku, wychowana w wykwinnościach ówczesnego świata, zniechęcona jakimiś zawiedzionymi nadziejami, wstąpiła do klasztoru, a pragnąc być raczej głową małej rzeczypospolitej jak członkiem wielkiej, wołała być ksienią w nowym klasztorze, jak zakonnicą w starodawnym książącym monasterze w Burgos, w którym każda zakonnica nosiła oznaki prałata, a ksieni insulę arcybiskupią i pastorał.

Komnata przeoryszy niegdyś dla tak dostojnej damy stawiana, dziś jeszcze przedstawiała ślady dawniej świetności. — Dość była obszerną, sklepioną, na filarach dźwi-

ganą i łukami wiązaną. — Freski wprawdzie już po części wypłowiałe, uszkodzone, ozdabiały mury, a złocenia filary. — Okna gotyckie z szybami kolorowemi wychodziły na ogród, który dawniej należał do klasztoru, a od dwóch lat własnością był administracyi tabacznój, i od niej na użytek klasztoru wydzierżawionym. Dwoje było drzwi w tej komnacie, jedno wychodziły do sypialni przeoryszy, drugie zaś na kurytarz. W jednym kącie stał ołtarzyk z obrazem S. Norberta, w drugim kącie szafa ze staroświeckimi księgami. Krzesła gotyckiego kształtu rzezbą ozdobione, ustawione naokoło stołu, przy którym siedziała na fotelu wywyższonym ksieni, osoba w średnim wieku z czerstwą twarzą wyrażającą wiele mocy charakteru, wiele rozumu a razem podejrzliwości. U nóg ksieni na stopniu, na którym stał

jęj tron siedziały dwie małe dziewczynki około sześciu lat mieć mogące i zatrudniały się robótką ręczną.

Ona sama także podobną się pracą dotąd zajmowała, ale biała jęj ręka zatrzymała się z igłą w powietrzu, jak gdyby sparaliżowana jakąś ważną myślą, a usta wyrzekły wolno i z zastanowieniem: „Wiara w osoby mieć powinna swe granice, mówisz mi Wielebny mój ojciec — a obecny oskarżony ma prawo ściągać na siebie więcej uwagi, jak nieobecny oskarżyciel.“ Zdanie to służyłoby na potępienie świętej pamięci poprzedniczki mojej; — ale tu są papiery, dowodzące jasno że oskarżenie było sprawiedliwém, przynajmniej że nosiło na sobie wszystkie pozory sprawiedliwości. Fernanda Solis przyprowadzoną tu została jednego poranku, lat temu przeszło trzy, z Arragonii

z Callatayud, towarzysze jej podróży wręczyli klucznicy list adresowany do Ksieni, w którym don Pablo Solis na łożu śmiertelnem uprasza ksienią, o zniewolenie wszelkimi możliwemi środkami do wstąpienia do klasztoru córki jego jedynej, Fernandy Solis, która do tego stopnia zapomniała swęj religii i dumy szlacheckiej, że z Anglikiem, z heretykiem, służącym jako oficer w legii cudzoziemskiej Krystyńskiej, uciekła z domu i dopiero drugiego dnia dognaną została przez ojca, i odbitą. — Biedny ojciec, wstydem przyciśnięty, spieniężył cały swój majątek bardzo szczupły i wysłał go razem z córką na jej uposażenie. — Wkrótce potem umarł. — Siostra Brigitta, moja poprzedniczka, nie dopuściła się żadnych dotkliwych prześladowań przeciw Fernandzie Solis, nim się nie upewniła korres-

pondencyą z władzami, że don Pablo Solis żył w istocie w Callatayud, że umarł w skutek zmartwienia wynikłego z ucieczki córki jego z domu, że cały swój mająteczek spieniężył przed śmiercią i nim rozporządził niewiadomo w jaki sposób. — Nie wiedziano wprawdzie nic o odbiciu córki heretykowi, o wysłaniu jej do Ayamonte, — ale takie rzeczy zwykły zatrzymywać się w sekrecie i nigdy bez potrzeby nie rozgłaszać. — Otóż działając w duchu tego oskarżenia tak okropnego, ksieni Brygitta obchodziła się z Fernandą jak z osobą na żadne niezasługującą politowanie. Kto się Boga swego i narodu wyrzeczce, ten politowania istotnie nie wart.

— Dobrze! wielebna moja siostro, a wieleż było tych pieniędzy? spyta ksiądz kapelan; onto bowiem z ksienią rozmawiał.

— Było ich dwa tysiące piastrów odpowie ksieni.

— To niezły posażek, bardzo niezwykły w naszym klasztorku, gdzie i procenta trzeciej części téj summy wystarczą na wyżycie — rzecze kapelan trzясąc głową. A siostra Brygitta, świętej pamięci, nie dowiedziałaż się ile wartości mógł mieć mająteczek don Pabla Solis z Callatayud?

— Podobno zaledwie tysiąc dollarów — widać, że stary hidalgo musiał mieć jakieś kosztowności, które na ten cel spieniężył, odpowie ksieni.

— Dość że siostra Brigitta — rzecze don Fadrique, — dbała o dobro klasztoru, starała się wszelkimi sposobami zatrzymać w nim posażek Fernandy, wraz z jej osobą żywą lub umarłą.

— Wielebny Ojciec — ja wierzę, że najlepsze chęci dla dobra ogółu musia-

ły przewodniczyć działaniom mej poprzedniczki.

— Na zaszczyt ludzkości musimy w to wierzyć, ale nie zaniedbujemy dla tego modlić się za jej duszę, bo zdaje mi się, że tego potrzebuje — rzeczy z światem, szczerem namaszczeniem ksiądz proboszcz.

I wielkie sprawiły na ksieni wrażenie te słowa, bo łyzy błysnęły w jej oku, wstała i poszła przed ołtarz, aby uklęknąć i szczerze się modlić. Za dziesięć minut wstała, znów na krześle swem siadła i dalej mówiła:

— Taki był stan rzeczy, kiedy na nas spadł cios okropny, wymierzony z rąk tego zatajonego żyda Mendyzabala. Edykt znoszący klasztory został ogłoszonym. — Wkrótce potem zjawił się list bezimien-ny, adressowany do ksieni i pisany tymże samym, lubo umyślnie maskowanym cha-

rakterem co i list przywieziony przez stróżów Fernandy. W tym liście krótkim, lakonicznym, a który posiadam wraz z innymi papierami, powiedziano, że całość naszego klasztoru zależy od staranności, z jaką pilnować będziemy Fernandę Solis. — „Ręka niewidzialna a potężna zasłaniać was będzie od wszystkich ciosów na klasztory wymierzonych, dopóki Fernanda Solis w waszych murach pozostanie.“ — Oto jedyne słowa tego listu. Ksieni przeczytawszy go, padła paraliżem ruszona, uznała w tej chwili jak potwornej, okropnej intrygi stała się nieubłaganem narzędziem, uznała, że ta sama osoba pisała jeden i drugi list, że biedny nieboszczyk z Callatayud był tąż samą osobą co i żyjący potężny protektor. Życiem przypłaciła swój błąd — my jój wybaczyć winniśmy.

Ksieni znów wstała i przed Ołtarzem klękała.

— Amen! rzecze proboszcz, Amen! ja jej wybaczam, i dawno już wybaczyłem jako kapłan, jako chrześcianin, ale tu żyje w tych murach ofiara tej bezecnej intrygi, ofiara tych okropnych, serce rozdzierających prześladowań, o których dowiedzieliśmy się niedawno, dopiero z ust jednej z grabarek, która w piwnicy zakopać miała ciało tej niebogi. Tu między wami dogorywa ta biedna ofiara, która wszystko cierpi a nigdy się nie żali. Schnie jak owa lilia w ciemności, pozbawiona promieni ożywiających słońca. Oh wierzaj mi wielcba sestro, wielka szkoda tej exystencyi tak płocho zmarnowanej. Tylko wielkie serce umie tak dotkliwej męki znosić w milczeniu, a my przecież patrzeliśmy na to, jak to serce umyślnie szarpano. Okropne wspomnienie!

Ksieni oparła głowę ciężkim żalem kołatana o swe białe, delikatne ręce. Długo milczała, w smutnych, głębokich pograżona myślach, potem łkania konwulsyjne przerwały milczenie i łzy zalały jej oczy.

— Boże drogi! — niestety, wszystko to prawda. Myśmy dla dobra naszego klasztoru poświęciły istność tej szlachetnej osoby. Boże, racz ze względu na nasze cele, odwrócić od nas karę zasłużoną za środki przez nas użyte; Boże! przedłuż, ocal życie biednej Fernandzie. Ojciec wielbny — Don Fadrique, na wszystko zezwalam. Tak! doktor się nie myli. Widok natury, podróż, zmiana miejsca i powietrza, poważanie i czule względy doświadczane od osób nicobciążonych względem niej żadną winą, może przywrócić do zdrowia biedne to dziecko, któreśmy tak niełitościwie męczyli. Może jeszcze nie zapóźno.

— Bóg jest nieskończenie łaskawym, może się da przebłagać. Ale czy tylko Fernanda zezwoli na tę podróż do Kadyxu, ona zdaje się pewna śmierci i uśmiecha się do grobu, jak dziecko do kolebki.

— Oh zezwoli — żebym ją miała na klęczkach o to prosić, będę prosić, będę błagać. Ona tak powolna — jednego znaku niecierpliwości, krnąbrności od swego pobytu w tych murach nie dała. Potem sama poniosę kosztą tej podróży, chociaż doprawdy po stracie dóbr naszych nędza nam dokuczać zaczyna. Ile to osób przywykło żyć w naszym klasztorze i z naszego klasztoru. Od dwóch lat przegospodarowałyśmy wszystkie pozostające nam pieniądze, nawet posag biednej Fernandy. Wielka ztąd paść może na nas odpowiedzialność, jeśli się niewidzialny a czujny protektor dowie, żeśmy z rąk naszych wy-

puściły jego ofiarę, a naszą kotwicę ratunku.

— Bóg i przezorność ludzka czuwać będą nad tą tajemnicą. Ksieni Norbertanek w Kadyxie zostanie przez nas należyście objaśnioną. Szyper Massariba, ojciec dwóch zakonnic z niższego chóru, a zatem człowiek oddany nam ciałem i duszą przewiezie w swej feluce Fernandę i jej duennę do Kadyxu i sam ją zaprowadzi do klasztoru. Przy dobrym wietrze można w ośmnaście godzin stanąć w Kadyxie.

— Ah! wielebny Ojcie, jakaś błoga nadzieja wstępuje w me serce, Bogu i tobie składam za to dzięki. Czy tylko Fernanda zezwoli? Każemy ją przywołać — nie prawdaż Ojcie? zapytała ksieni.

— Dobrze — każmy ją poprosić do nas, odpowie kapelan. Ksieni pociągnęła za sznurek — drzwiami od kurytarza we-

szła siostra służbowa, pozostająca w celi najbliższej od mieszkania ksieni, i ze złożonemi na krzyż rękoma, z oczami na pół zamkniętymi, z głową pochyloną, skłoniła się cokolwiek przyklękając — a potem rzekła: „Co rozkaże wielębna Sennora.“

— Idź i poproś do mnie donnę Fernandę de Solis.

Kilka minut potem weszła do sali wsparta na swój niemiej stariej duennie, młoda osoba znana nam pod tém nazwiskiem. Oh prawdziwie ksiądz proboszcz miał słuszość. To lilia biała, wysmukła, wysoka, a więdnąca w ciemności, opodał od promieni słońca. To królowa pozbawiona swego berła, a niosąca jeszcze na szlachetnej głowie tę koronę, jakiej i śmierć pozbawić nie może kobiety — koronę niewinności. Oczy jej nie były przymrużone, nie! ona patrzyła śmiało i pogodnie jak

dziecko, a zarazem smutno i poważnie jak kobieta w bólach dojrzała, w przewidzeniu rychłego końca cierpień swych jedyną pociechę czerpiąca.

Zostawiwszy przy drzwiach swą duennę — Fernanda przystąpiła wolnym krokiem ku ksieni — kolana swe lekko ugięła, ręce na krzyż złożyła na piersiach swych wydatnych, zaokrąglonych, choć w drobnych tylko zarysach pod suknią klasztorną wystających — a potem rzekła cicho i łagodnie:

— Wielebna Sennora, jestem na twoje rozkazy.

— Siadaj tu przy moim boku, córko moja, odpocznij trochę, i zbierz powoli twe myśli. Jesteś pomiędzy przyjaciółmi, o tem nie wątpisz, nie prawdaż? rzekła z tkliwością ksieni.

Lekki, a gorzki uśmiech przebiegł nie-

znacznie i przez chwilę tylko na ustach Fernandy, usiadła mówiąc srebrnym, dzwięcznym a cichym głosem: moja wielbna matko, byłabym niewdzięczną gdybym o tém wątpiła.

Błada twarz ksieni zadrgała na odgłos téj mowy—serce jęj zadrżało, słysząc młodą pannę kaszlącą i kaszel przyduszającą.

— Słuchaj ma córko—nie twórz się tém co ci powiem—rzecze znów ksieni—ale od pewnego czasu zdrowie tve, zapewne w skutek monotonnego życia, ucierpiało cokolwiek. Dbała o tve dobro radziłam się naszego lekarza, człowieka, jak dotąd sama uznawałaś, bardzo zdolnego, bardzo sumiennego. On radził żebym cię na czas niejaki wysłała do Kadyxu, upewniał że zmiana miejsca, powietrza, oddziała bardzo korzystnie na tve zdrowie. Zgadza się ta rada z mém przekonaniem.

Ksieni Norbertanek w Kadyxie jest moją dobrą znajomą, ona cię przyjmie z radością i pielęgnować będzie z macierzyńską czułością. Powiedz Fernando, zgadzasz się na radę don Pasqualego?

Długo milczała Fernanda, niewzruszona na pozór—wreszcie rzekła: „Ah moja wielebna matko, pomówmy szczerze z sobą, czy to warto? ja czuję że życie moje w samém swém źródle jest osiągnięciem nieubłaganą ręką śmierci.—Wolę tu pomiędzy wami konać, jak iść umierać gdzieś pomiędzy zupełnie obcych ludzi, gdzie może jeszcze walczyć mi wypadnie przeciw niesłusznym podejrzeniom, jak tu niegdyś..... Boże wielki, siły me już nie wystarczą — cud jedynie i szczególna łaska Boża zrzędziły, że mi dotąd wystarczają — lecz kto wie czy mnie od szemrania...”
Donna Fernada znów nie mogła skończyć

swój mowy — kaszel ją porwał konwulsyjny.

Ksieni spojrzała na kapelana, on oczy zwrócił ku niebu i ramionami wzruszył, przeszedł się dwa razy po komnacie i na reszcie stanąwszy przed Fernandą, rzekł z namaszczeniem:

— O córko! nie odpychaj pomocy twych bliźnich dobrze ci życzących. Siły życia twego nie są wyczerpane, tylko uśpione jednostajnością życia, tęsknotą. Nagle zapadłaś, nagle także wrócić możesz do zdrowia; idzie tu tylko o odgadnienie przyczyn tego zachwiania się w równowadze, a mnie się zdaje, że don Pasquale ma słuszość, że powietrze zamknięte, nudy życia klasztornego mogły przyłożyć się do spowodowania twych cierpień.—Zresztą, córko moja, jesteś obdarzoną wyższym duchem, wyższem usposobieniem umysłowem, i sa-

ma wiesz, że stworzeni dla chwały Boga, powinniśmy w każdej chwili życia odpowiadać godnie naszemu zadaniu.

Długo jeszcze nalegano na młodą kobietę, żeby się zgodziła na zrobienie tego, co sobie najwięcej życzyła dokonać. Długo wytrzymywała nalegania swych doradców—ale też ani jedną chwilę za długo—dała się zmiękczyć modłom, i wstając z swego krzesła wycieńczona walką rzekła: „Niechże i tak będzie, kiedy tego żądacie i tak radzicie o wielbna matko, o dobry ojcie —pojadę do Kadyxu—tylko dajcie mi z tydzień czasu na oswojenie się z tą myślą“ — i kaszląc pokłoniwszy się księdzu, zgiąwszy lekko kolano przed księżnią, donna Fernanda jakby złamana opuściła komnatę.

Oh nie! —rzecze kapelan zaraz po jej wyjściu — w tydzień choroba ta przybrać

może większe jeszcze rozmiary — wyprawmy tę niebogę jak najprędzėj, najdalej pojutrze.

— I ja tak mniemam, odrzeczę ksieni, natychmiast wezmę się do uszycia Fernandzie świeckich sukien, bo w zakonnych podróżować w obecnych czasach nie można—toby zwróciło uwagę.

Fernanda wraca do swęj celi powolnym krokiem, opierając się na niemęj duennie, ale zaledwie tu staje, i drzwi przymknąć każe, zdziera z swęj głowy kaptur zakonny, depcze go nogami, przybiera postać groźną jak Minerwa i stłumionym a przejmującym głosem rzecze: „Ha! za dni kilka będę wolną, obrzydliwe te suknie spadną z tego ciała, i biedna Fernanda Solis stanie się znów księżną de Torres Amarillas, a jęj zemsta długo prze-myśliwana działać zacznie! Ha, bracie mój!

poznaś wkrótce ile twa siostra podobna do ciebie; — wyprawia mnie ztąd za trzy dni najdalej, jestem tego pewną, trwoga ich ogarnęła — ha! ten cudzoziemiec doskonale mi usłużył. Wielem mu winna, a jednak opuszczę te mury mimo jego wiedzy, i bez wyświadczenia mu najmniejszej wdzięczności. Nie mogę zrobić inaczej, później może znajdę sposobność uwiadomienia go *komu* istotnie pomógł do ucieczki i do czyjej wdzięczności zdobył sobie prawo — ale nie dzisiaj, nie tak prędko. Zawikłana to rzecz i przykra zarazem, być winną uwolnienie nieprzyjacielowi swjej sprawy politycznej. A może on mnie prawdziwie kocha, ten młodzieniec tak rycerskiego ducha, usposobienia tak artystycznego. Księżna de Torres Amarillas i w sukni zakonnej piękną jest bardzo! niestety! i to mówiąc młoda kobieta sta-

nęła przed zwierciadłem, i badawczem okiem wpatrywała się w swój własny obraz. — „On miał za nadto czasu, aż nadto sposobności wpatrywania się w te rysy. I jakiego fortelu użył. On ma dowcip, to rzecz niezawodna, dar tak wielki a rzadko połączony z naiwnością serca, z wiarą i z taktem, i w tak młodem sercu. Ach! Julio de Torres Amarillas, pilnuj siebie, twa ręka, twój umysł, twa cała istność do innego należą człowieka, do innej sprawy i do innej sfery. — Odrzuć i odepchnij nieubłaganie co do obrębu uczuć, dla których tyle poniosłaś ofiar, dla których tyle cierpiałaś, nie należy. — Jestem Hiszpanką, będę nieubłaganą! będę nią — tak, będę!“

Taki monolog odbył się w celi skromnej, chorowitej zakonnicy, która raz miotana namiętnością, raz żalem zwalczona,

chodziła dumnym krokiem, lub też łzami zalana padała na krzesło, i zdawała się zapominać że miała świadka swych kroków.

Nie! świadek ten był niemym — on porwany instynktowém uczuciem odga-
dywał w téj rzeźwości gestów, że chwila
oswobodzenia zbliża się szybko — i padł
na kolana, nie wiem czy uczuciem wdzię-
czności dla Boga, czy uczuciem zobowią-
zania dla młodej swój pani zwalczony.

— „Oh! moja droga sługo“ — rzecze
Julia de Torres Amarillas: „oh niemy
a czuły świadku mych cierpień!“ i młoda
kobieta podała rękę swój słudze. Ona
oblała ją łzami, łkając z rozczulenia i ra-
dości.

ROZDZIAŁ IX.

ZAWODY I POSTĘPY.

Pan Zygmunt kończył tym czasem swe malowidła, i ani się spodziewał aby jego zabiegi i starania tak prędkie wzięły skutek. Od dni kilku ani widział donny Fernandy, ani miał od niej listu. „Czy tylko na prawdę nie zapadła,“ mówił do siebie, „gdzie się dopytać? nikt mnie już do korespondencyi nie wzywa, nikt o nic nie

pyta, ani prosi.“ — Uczuł boleśnie to milczenie dobry pan Zygmunt i gubił się w domniemywaniach — ale żadném niedyskrytném pytaniem, przed nikim nie wyjawiał swój niespokojności.

Jednego wieczora, z brzemienią od kłopotów i zmartwień głową, pracując do późnego wieczoru w kościele, nieszpórów bowiem tego dnia nie było, i ukończywszy najważniejszą część pracy, pan Zygmunt wstąpił do plebanii, i zbliżając się zamyślony do altany w środku ogrodu stojącej, usłyszał w niej proboszcza i doktora rozmawiających. — Nazwisko Fernandy zostało wymówioném — na odgłos jego Zygmunt zwolnił jeszcze kroku, i murawą a nie ścieżką przybliżył się ostrożnie do altany gąszczem pokrytej, i po pierwszy może raz w swém życiu, nie bez wyrzutów sumienia, podsłuchiwał roz-

mowy, zrobił krok który na całe jego życie stanowczy wpływ wywarł.

— To rzecz pewna, mówił proboszcz, — że osoba ta młoda, tajemnicza, musi być ofiarą jakiejs intrygi knowanej w sferach bardzo wysokich towarzystwa, że nie jest Fernandą Solis, córką biednego hidalga z Callatayud, która uciekła z domu rodzicielskiego z Angielskim oficerem heretykiem;—ona tak szlachetna, tak dumna, nie mogłaby do tego stopnia wyrzec się tego co hiszpanowi i hiszpance jest wrodzone, wstrętu do cudzoziemczyzny i herezyi. List otrzymany właśnie wtenczas, kiedy młoda istota złożona ciężką chorobą pasowała się ze śmiercią, list ten pisany oczywiście tą samą ręką co i pierwszy, mający niby pochodzić od jej umierającego ojca, przeświadczył już dawną ksienię tak zatwardziałą w nienawistnych uczuciach

o niesprawiedliwości jej postępowania względem mniemanej Fernandy. Życiem przypłaciła swą winę.—Niech ją Bóg łaskawie sędzi! Ale co mnie dziwi, że młoda osoba, nosząca imię i nazwisko przybrane, a raczej na się wmuszone, nie wypierała go się wcale, kiedy z postępowania późniejszego względem niej, mogła dorozumieć się zmian zaszłych w przekonaniu naszym. To mnie bardzo dziwi — ty don Pasquale jesteś domyślniejszym jak ja, bystry masz wzrok, czyś nigdy nie dostrzegł, nie dosłyszał, co by cię naprowadzić mogło na domysł jaki do prawdy podobny?

Doktór pochlebiony w tém, co mu najdroższém było, w przekonaniu o swych zdolnościach, odrzekł zażywszy z zastanowieniem tabaki.

— Ja ci się przyznam, Wielebny mój przyjacielu, że nie spuszczałem mło-

dej dziewczyny z oka od pierwszej chwili poznania jój, to jest, od chwili kiedy mnie powołano do nieboszki ksieni Brygitty nagle paralizem ruszonój. Wierzaj, że ofiarniczka i ofiara zarówno choremi były. U jednéj język sparalizowany zupełnie, u drugiej mózg najokropniej zajęty. W majaczeniach, których nieraz świadkiem byłem, słyszałem jak Fernanda mówiła o swój matce, jak narzekała na jakiegoś don Francisco, jak wołała jakiegoś don Alfredo błagając go o pomoc, dwa czy trzy razy także krzyknęła: „pronto! pronto Diana“ (prędko prędko Diana) i z łóżka się zrywała.

— Diana! — rzeknie ze zgorszeniem ksiądz proboszcz — to nadzwyczajnie pogańskie imie, któżby je nosił w naszym kraju? to zapewne jakaś anglica — jakaś sługa angielska.

— Ja myślę raczěj, powie sentencyonalnie doktor drapiąc się w nos: że to musi być nazwisko klaczy—bo czemuż by się Fernanda zrywała z łóżka przy wspomnieniu tego nazwiska.

— Ot masz słuszość pocziwy przyjacielu, zawoła z radością ksiądz Fadrique—jak to dobrze znać świat i chrzestne imiona zwierząt—to jest nazwy zwierząt, coś *caramba* i ja bluźnię. To zapewnie klacz i to angielska klacz, bo naszych pocziwych klaczy jeszczebyśmy nie chcieli krzywdzić temi nazwiskami Olimpem pachnącemi.

— Może być że to angielska klacz — ani słowa, doda doktor.

— Ale cóż z tego wnosić można, jedno to że Fernanda знаła gdzieś angielską klacz — a może to właśnie klacz tego don Alfreda? Alfredo, to także imię co

mi się niekoniecznie podoba, nie wiele
chrzcilem hiszpanów pod tém imieniem—
Nie smakują u nas w tém imieniu.

— Księżę proboszczu dobrodzieju, je-
dnakże S. Alfred, król angielski, był dobrym
świętym, to ten sam który napisał w swym
testamencie, że każdy anglik powinien być
tak wolnym jak są wolnemi jego myśli.

— Mógłby był napisać coś lepszego,
mój dobry doktorze. Patrz co te wolności
angielskie dobrego zrobiły— wyrzekli się
Boga i biblię sprowadzają nam zbrojną
ręką, wraz z bronią dla guerylasów.
Niech ich tam pan Bóg!—Szkoda, za wie-
le było angielszczyzny w tych majacze-
niach donny Fernandy — kto wie? może
ona istotnie ta sama co z anglikiem ucie-
kła, i nie zasługuje na nasze politowanie.

— Jeśli ujechała, to mują dość wcze-
śnie odbito, ręczyć ci mogę za to, powie

znów doktor, dając twarzy swój wyraz bardzo mądry—dowcipny.

Stary proboszcz zarumienił się cokolwiek i lekko kiwnął głową na znak, że rozumiał o co idzie.

— Ha, niech się stanie wola Boga — Jutro rano równo ze świtem Fernanda jedzie do Kadyxu. Ja sam ją odprowadzam do przystani i lokuję na statku. Sta-
je się zadosyć twój radzie.—Warto przywrócić do zdrowia istotę tak młodą, tak piękną, istotę której winni jesteśmy nową ozdobę naszego kościoła — bo przyznać należy, że się malowidło don Sigismunda przedziwnie udało, nad wszystko spodziewanie. Co to za wyraz świętości w tej szlachetnej, bladłej twarzy! Co to będzie za Jubileusz w dniu Ś. Agnieszki, Księżniczki Asturyi. Wielki Boże! zakazałem kościelnemu rozgłaszać, że to pę-

dział człowieka robił to malowidło — tym czasem obmyśle co czynić wypada. Ten sam Massariba szyper, który jutro zawiezie do Kadyxu Fernandę, przywiezie ramy złote do nowego malowidła. Sam wziął miarę. On mnie z sekretu nie wyda, boć on przedewszystkiēm dbały o dobro klasztoru, dwie w nim ma córki — a dochody szczupłe, oj nadzwyczajnie szczupłe; potrzeba koniecznie rozgrzać czēś nowēm gorliwość trzody, przyciągnąć z daleka pielgrzymów i processye. — Słuchaj kochany doktorze! wytłōmacz mi rzecz jednā, bo ty wiesz wszystko, ja bez ciebie dalibóg byłbym mizernā, niewystarczającā sobie istotā — ty mnie uzupełniasz, i chociażeś Portugalczyk, bardzo cię kocham, pięć razy na dzień regularnie dziękuję Bogu za to, żeś młodszy odemnie o lat blisko dwanaście, tak że mi wystar-

czysz na całe me życie, bo bez ciebie żyć nie mógłbym wcale—o poczciwy Doktorzysko Portugalskie!

Starzec się rozrzewnił aż do łez, a portugalski doktor, chociaż głęboko dotknięty lekceważeniem swęj narodowości, jakie się przebijalo w mowie hiszpana, stłumił, poświęcił na oltarzu przyjaźni, swęj dumy narodowęj obrażone uczucie,—podał staremu, dobremu gadule rękę, i rzekł głosem żalonym. — O mój dobry księżu hiszpański, nie wynoś zanedto rozumu portugalczyka, który choć ciągle pracuje, jednak żadnego jeszcze cudu nie zrobił, a samolubem nie bądź i jeśli dziękujesz Bogu za to żeś odemnie starszy, od dziś dnia błagaj go także, żebyśmy nie o długo jeden drugiego przeżyli.

— Oh pojmuje cię, pojmuje, krzyknie zapłakany kapłan, ja stary gaduła, ja cię

przepraszam ot tu na klęczkach — ot widzisz hiszpana przed portugalczykiem na kolanach, wszyscy dobrzy ludzie do jednego należą narodu, nie do bardzo licznego niestety! — Ale gdzie nasz Sigismundo, przypuśćmy i jego do naszej serdecznej unii, on choć młody, ale w towarzystwie starców znajduje przyjemność, nigdy się między nami nie znudził, — oh co to za dobre serce w ludziach tego kraju!

— Pewno! pewno! masz ty wielką słuszość, u nich starca poważają dla tego że starcem, u nich magnat nazywa starego chłopca ojcem i zejdzie mu z drogi. — Ale gdzie Sigismundo? już i mnie tęskno za nim.

Zygmunt był o trzy kroki — miotany uczuciami nigdy niedoznawanemi.

Więc ona mnie opuszcza, ta kobieta, przedmiot mej pierwszej miłości — opuszcza mnie bez jednego słowa pożegnania,

użyła mej łatwowierności w tak niegodny sposób—ona, dla której najchętniejbym był wytoczył ostatnią kroplę krwi mojej — ona! mój ideał — a od tak dawna w angliku rozkochana — nie, nie dam się zrobić pośmiewiskiem własnego mego rozumu — sercu memu pęknąć nie dam— żebym miał skrzyżować losy najmilszej mi osoby. — Tak myślał Zygmunt, a serce jego biło z taką gwałtownością, że je obu rękami w piersiach swych przytrzymywał.

Ale wtém słyszy się tak czule wzywany przez starców tyle go kochających, serce już innym bije tętnem, inną myślą. Zygmunt odbiega na chwilę na bok, łązy ociera, kryje twarzy swój wzruszenie wywarciem mocnej woli, i staje w altanie, gdzie go obaj starce w ramiona chwytają, pytaniami dręczą.

— Wina daj księżu proboszczu—wina

najlepszego i wiele. — Niech dzień ten, w którym ukończyłem najlepszą mą pracę, będzie uczczonym. Cieszcie się zemną czcigodni przyjaciele — patrzcie, otom dokonał wielkiego dzieła, w dziesięć dni odmalować tło wysokie na cztery, szerokie na trzy łokcie, o to pewno nie mała praca. Wszystkie mi téż farby wyszły. — Dano wina — Zygmunt był weselszy, rozmowniejszym niż kiedykolwiek. Sto wynajdował i używał sposobów, aby nakłonić do picia; wnosił coraz nowe toasta, którym nie można było żadnym sposobem nie odpowiedzieć. Starał się spoić Hiszpana i Portugalczyka; nie na łatwe wybrał się rzeczy, bo te narody nieprzezwyćieżoną mają odrazę do pijaństwa. Ale jedna jaskółka wiosny nie stanowi — najtrzeźwieszy człowiek raz jeden przynajmniej pijanym był w swém życiu. — Pan Zygmunt

nie żałował figlów, fortelów, namów, i tak dobrze manewrował, że spoił i księdza i doktora — i nie oddalił się z altany nim jednego i drugiego nie zobaczył w stanie zupełnego odrętwienia, z którego można było z pewnością rokować, że przed dziesięciu godzinami nie wyjdą.

Potem pan Zygmunt dokonawszy trudnego dzieła, zabrał z sobą trzy butelki wina, co tak wielkich dokazało rzeczy, widać że tą bronią obiecywał sobie odnieść i inne jeszcze zwycięztwo. Ksiądz proboszcz zasympiając na kanapie kazał przywołać do siebie zakrystyana i dał mu pocichu jakieś rozkazy. „Niezawodnie posłał go do ksieni z uwiadomieniem, że podagra nie pozwoli mu wstać jutro rano, tegom właśnie sobie życzył.“

Opuszczając altanę pan Zygmunt powlókł smutnem okiem po starcach, któ-

rych tym razem nadużył dobroci. „Ale cóż miałem zrobić? mówił dalej do siebie, oni mi stoją na zawadzie w dopięciu mych celów.“

Zygmunt staje u siebie, pisze list do doktora, probszcza i do siostr głuchoniemych. Bierze ze sobą tylko mały tłumoczek z papierami i z niezbędnie potrzebnemi sukniemi, zostawiając resztę ruchomości. Płaszcz na siebie zarzuca, pistolety w jego kieszenie kładzie, i mając klucz od głównego wejścia, oddala się o 2 godzinie po północy ku przystani, gdzie stał znany mu szyper z swą feluką: *Maria Stella*, już w pogotowiu.

— Patronie Massariba jadę z tobą do Kadyxu — rzecze Zygmunt do surowego szypra.

— A zkąd pan wie, że ja jadę do Kadyxu, — odpowie z nieufnością marszcząc czoło szyper.

— Żadnej nieufności patronie, wiesz że posiadam zupełne zaufanie księdza proboszcza. — Wiem kogo wieziesz i co mu masz przywieść z Kadyxu. Ja właśnie dodany ci jestem do pomocy w kupnie ram do mego obrazu, który wiem na co jest przeznaczony. — Proboszcz sam nie przyprowadzi owych niewiast jak się z tobą był umówił — reumatyzm mu dokucza nie znośnie. A propos! masz gdzie jakie wygodne miejsce dla tych trzech butelek wina? — A dla Boga, rzecz szyper, wszakże to stare Fontaverde księdza proboszcza. — Aż trzy butelki, oho! musi on pana bardzo kochać, kiedy panu najlepsze swe wina daje. Tylko raz w życiu je kosztowałem — caracho!

— Jedna tylko butelka dla mnie, dwie drugie przeznaczone dla tych niewiast, żeby się posiliły w razie gdyby im choroba morską dokuczała. Masz tam jakie poślanie

w głównem wnętrzu twego statku? Kajutę trzeba zostawić dla tych niewiast, nie chciałbym żeby były żenowane, najlepiej—by było żeby mnie nie widziały wcale.

—Rozumie się—możeby się przestraszyły. Jest podostatkiem słomy z kukurydzy w kajucie i pod pomostem. Wiozę jej dwie fury na targ Gadetański. Przykryw—szy ją żaglem, będzie kapitalne posłanie. Ale panie poruczniku, ktośto płaci za pańską podróż, bo pan zapewnie wraca ze mną wnosząc z tego, że nie masz prawie żadnych rzeczy.

—A wracam— rozumie się. Kto płaci za mą podróż?

—Tak — czy to zawsze gratis pro Deo — wieść i zakonnice i oficerów portugalskich?

—Nie obawiaj się. Oficer portugalski ma pieniądze i łaski nie potrzebuje od ciebie.—Ot pięć piastrów za moje przewiezione—czy nie dosyć?

— Brawo! płaci pan jak grand hiszpański! Żyj pan lat tysiąc—kto tak ma luje i tak płaci, ten wart tego choćby był portugalczykiem z saméj Lizbony.

—Zimno tu na pokładzie—zejdźmy do kajuty i napijmy się Fontaverdego.

—I na to się zgadzam, mój najjaśniejszy panie poruczniku—mamy jeszcze dosyć czasu. Jeszcze morze nie odpływa, jak tylko zacznie, wywieszę latarnię na maszt, to sygnał umówiony, zrozumieją mnie w klasztorze.

Zstąpiono do kajuty kapitańskiej, na tyle statku umieszczonej; cały jej obszar pokryty był słomą kukurydzową a przykryty żaglem, wyglądał jak łoże wielkich rozmiarów. Światło skąpo wpadało przez dwie szyby wkitowane w pokład, małe jak ćwiartki papieru, a grube na półtora cala. Światło wpadało kiedy słońce świe-

ciło, ale teraz słońce jeszcze nie zjawiało się nad horyzontem. Ciasny bardzo kurytarzyk oddzielał kajutę od głównego wnętrza. Z jednej strony drzwi z zepsutym zamkiem i z osłabionemi antabami.—Z drugiej strony przepierzenie z desek słabo w ramach swych osadzonych.—Pan Zygmunt użył znów wina hiszpańskiego na zwalczenie nieufności hiszpańskiej,— tęga to broń w rękach syna północy.

Już z poruszeń statku można było miarkować, że się rozpoczął odpływ oceanu. Latarnia na maszcie została wywieszoną, wkrótce głosy kobiece dały się słyszeć w oddaleniu. Zygmunt wypada z kajuty i nurza się pod pomostem w wnętrzu statku. Przybywa całe grono kobiet w towarzystwie zakrystyana; szlochy, płacze, pożegnania, błogosławieństwa.—Kotwica wyciągnięta, promień błysnął od wscho-

du. Odepchnięto statek od bulwaru, żagiel rozwinięto — Zygmunt słyszy donnę Fernandę głośno przemawiającą do siebie w kajucie.

Czy sobie Zygmunt zdawał jasny rachunek z swych myśli, chęci i postanowień? tego nie wiem. Kochał namiętnie, im więcéj ideał w swych eterycznych kształtach zaczął maleć przed oczami jego ducha, tém więcéj występowała w jego rozognionéj wyobraźni postać pełnéj powabów, niezliczonych uroków kobiety.

— Nie chcę się wstydzić wiecznie méj łątowierności, rzecze Zygmunt i pogrążony w myślach udaje że zasypia. Szyper wyprowadziwszy *Maryą Stellę* z wód Guadyany, powierza ją swym ludziom, wchodzi pod pokład na spoczynek i wkrótce usypia zapelniając całe wnętrze okrętu odgłosem chrapliwéj muzyki.

ROZDZIAŁ III.

ZEMSTA NIEPRZEWIDZIANA.

Szyper Massariba chrapaniem swém tak napelnił wszystkie szczeliny wnętrza podpomostowego, tak silnie wezwał do współdziałania wszystkie jego echa, że Zygmunt nie zdoła już dosłyszeć głosu rozmawiającej samej z sobą donny Fernandy, a nie mogąc dla monotonnej, nieznośnej muzyki złożyć ani jednej myśli, wyszedł na pokład

orzeźwić swą głowę w balsamiczném powietrzu, napełnioném wonią, z brzegów kwitnącej Hiszpanii oceanowi posyłaną.

Dzień był pogodny, choć chmur od wschodu rozegnać tym razem nie potrafiły bystre strzały Feba.

Wiatr dał od brzegów ale wolniał — nie można było liczyć na stałość pogody i wiatru. Oko wprawne spostrzegało w atmosferze chwianie się, niepewność. Część promieni słońca, przedarła się w prawdzie po nad grube, wschód zasłaniające obłoki, i roztrącała pomrok nocny rześistém światłem — ale ono padało opodał od kulebki jego.

Wielki żagiel, rozpięty na jednym maszcie, spadał nizko na pokład, dzielił go poprzecznie na dwie równe części — Zygmunt uchylił z boku wyprężone płótno żagla i spojrzał ukradkiem na tył statku.

Tam siedziały dwie niewiasty ubrane od głów do stóp w czarne kolory, w suknie jednego kroju choć nie tej samej materii. Jedna podeszła już, blada, oblicza jakiegoś nadzwyczajnie wzbudzonego a jednakże nie wiele rozumu wyrażającego, trzymała w ręku różaniec, machinalnie posuwała jego paciorki, a oczy miała wlepione w twarz swój towarzyszki. Ta, młoda, świetnej urody i wysoka, blada cokolwiek, lecz tą bladością, która nie jest choroby znamię, spoglądała bystrém a piękném okiem na widokrąg wschodni; twarz swą nad której czołem powiewały kosztowne koronki czarnej mantyli, twarz swą nadstawiała powiewowi wiatru, jak gdyby pytała czy dotrwa.

Nie! nie była zadowoloną z rezultatu swych prób i spostrzeżeń—oko jej zasmętniało, a twarz przybrała wyraz gniewu,

nadzwyczajnie powabny w twarzach młodych niezwykle pięknych.

Starsza niewiasta dostrzegła ten wyraz nieukontentowania w swęj Pani, i tém szybciej zaczęła przebierać paciorkami, a oczy w Niebo wlepiła. — Błagała Boga myślą i giestem, bo słów nie miała. — To duenna Fernandy!

Serce Zygmunta gwałtownie kołatało. „Oh jak jej spieszno do tego Kadyxu!“ powie do siebie, „jak ona spragniona przyszłości, coto za wyraz niecierpliwości na téj twarzy, na której dotąd widziałem tylko słodycz i smętność. — Ależ doprawdy czy mam prawo wkraczać w losy téj kobiety, która mi nic nie obiecywała w zamian za usługi odemnie żądane? wszakżeż sama w swym pierwszym liście powiedziała: „o wdzięczności mój, o nagrodzie wcale nie mówię. Nie ma nagrody jak

w własném sercu dla człowieka wyższego, a że nim jesteś, ręczy mi głos publiczności, i wyraz twój szlachetnej twarzy. — Nie, nie myślę się w Tobie.“

— I ja tutaj mam zniżyć się do roli wierzyciela upominającego się o swój dług? O jak haniebne me położenie. A jednakże wypadało przynajmniej uczcić mnie choć jedném słowem podziękowania za usługi tak ważne, i tak starannemi zabiegami, tak długą, zawikłaną strategią wyświadczonemi. Z resztą co się mam wysilać o zdobywanie przyczyn mego postępowania? ona wznieciła we mnie chcąc czy nie chcąc—to mi zarówno — płomień który pała w mej duszy, i serce mi rozsądza—ona jest mem słońcem—słonecznik nie pyta czy dobrze, czy szlachetnie robi obracając swój kwiat tam gdzie mu słońce przyświeca—i ja tak czynię pę-

dzony mimowolną siłą, nie mogę zrobić inaczej—Tak jest! wystąpię z za téj kurtyny—i już gotował się Zygmunt do odsłonięcia żagla, gdy go nagle myśl nowa przejęła.

— Wystąpię z po za téj kurtyny tak jak diabeł w komedyi, i nowym zakłóćę kłopotem życie téj biednej, tak srodze prześladowanej istoty.—Haniebna rola moja! ha!

Tak się z sobą passował pan Zygmunt, i kto wie czyby lepsza natura nie była zyskała zupełnego zwycięztwa nad gorszą, gdyby nie jedno poruszenie donny Fernandy.

Spojrzała na Ayamonte niktące w oddaleniu i rzekła do siebie, wiedząc że jej niemowa nie zrozumie; „biedny młodzieniec, może mnie istotnie kocha!“

Pan Zygmunt wystąpił z po za kurty-

ny. — Oczy Fernandy na niego padły i zabłysły piorunującym gniewem, twarz się zalała żywym od lat kilku już tu nieosiadłym rumieńcem, usta zadrgały szyderczym uśmiechem, ale nie przemówiły ani słowa.

Zygmunt stanął jak wryty w pokład — i jego czoło zapłonęło się nie gniewem, lecz nigdy w życiu niedoznanem uczuciem wstydu. W głowie swój nie znalazł żadnej myśli, w piersiach żadnego wyrazu. Stał męzny rycerz przed młodą dziewczyną jak winowajca przejęty wskroś uczuciem żalu i wstydu.

Rozkazującym, królewskim gestem donna Fernanda, widząc przed sobą struchlałego wybawcę, kazała mu przystąpić bliżej, i nie spuszczając z niego surowego, nieubłaganego oka, rzekła powoli głosem cichym, ale przejmującym jak głos sumie-

nia: „Ah don Sigismundo, ja dotychczas wierzyłam, że wszystkich krajów szlachejni ludzie jednakie mają wyobrażenie o szlachetności, i dlatego — dlatego nie spieszyłam się z okazaniem ci mój wdzięczności. List ten — i to mówiąc Fernanda z za sukni wydobyla list — chciałam ci przesłać z Kadyxu. — Listu już nie potrzebujesz, bo ci przy tej sposobności ustnie i najserdeczniej za usługi mi wyświadczone dziękuję. — Schowaj tylko w środku tego listu ukryty adres, i jeśli dbały jesteś o los twój wybawioną, zgłoś się za dziesięć miesięcy do bankiera wymienionego tu nazwiska — do Barcellony — dziesięć miesięcy od daty dzisiejszej.

To wymówiwszy donna Fernanda, wyjęła z listu swego papier — list do morza wrzuciła, adres zaś drżącą ręką Zygmunтови podała.

Zygmunt wydarł z ręki Fernandy adres i rzucił go w morze.—Niech i ten adres listu twego nie odstępuje o Sennora, szlachetni ludzie w moim kraju nie zasięgają wiadomości o swych przyjaciółach u bankierów.

Fernanda już była wstała, już miała zstąpić do kajuty, unikając śledzącego oka sternika zdziwionego tą rozmową toczącą się wprawdzie przytłumionym głosem, ale z gestami bardzo sprężystymi—gdy szybkie poruszenie Zygmunta wywołane uczuciem obrażonej dumy, wznieciło w sercu młodej a szlachetnej dziewczicy jakąś iskierkę tkliwości dla swego zbawcy, dla swego tak szczerego wielbiciela.

—Don Sigismundo, nie zrozumiałeś mnie wcale—rzecze Fernanda, obwiniasz mnie o jakieś dziwne myśli, pewna że mnie kiedyś poznasz i ocenić zdołasz le-

pięć; żegnam cię teraz i proszę byś mnie zostawił memu losowi.

Fernanda zstąpiła wraz z swą duenną do kajuty.

Gwiazda przyświecająca exystencji Zygmunta zaszła — on sam drżał jak człowiek przekonany o zbrodnię i na śmierć skazany. Nigdy jeszcze w swém życiu podobnego nie doświadczył upokorzenia. Być w ten sposób wzgardzonym od kobiety, którą z niewoli wybawił, to rzecz okropna! serce rozrywająca. Wstyd, gniew, wypiekał mu ognistym rumieńcem policzki, głowę mózg wezbrany rozsadzał. Podobny więcćj do automatu jak do istoty wolą obdarzonej, zatoczył się aż do wnętrza statku i tam legł na słomie zasłaniając sobie twarz rękoma. Nawet go przytomność umysłu odeszła, nie słyszał szypa chrapiącego obok siebie, nie widział nic przed

sobą prócz Donny Fernandy w czerwone, długie szaty ubranęj, stojącej przed nim z mieczem w ręku i wskazującej na obłok skrwawiony. Jęczał biedny Zygmunt i nareszcie wpadł w jakiś sen letargiczny; nabiegłe krwią naczynia, cisnęły mu mózg i pogrążyły go w zupełne odurzenie.

Godzin kilka leżał w tym stanie, gdy nagle odgłos pioruna silny jak działo nad uchem wypalone zachwiał ocean i firmament, i budzi Zygmunta. Wyskakuje na pokład, jakby procą ciśnięty.—Jaki to widok pyszny, pełen harmonii dla człowieka rozpaczą nękanego! Całe niebo czarnym całunem okryte, —ciemność dla słońca nieprzejrzana ogarnia widokrąg, noc w same południe załala niebo i ziemię, noc przerywana kiedy niekiedy tylko błyskawicami ze wschodu, długimi, szerokimi, stokroć w ostre kąty łamanemi błyskawicami.—Powiedziałbyś że tam piekło

usiłuje się wydrzeć z swych czarnych, okropnych siedzib, i rozsadza je szatańskim prochem. Chorągiewka—to zwieszona na maszcie, jak omdlała,—to się trzepie na wszystkie strony niecierpliwie. Ze szczytu masztów, bugszprytu, i z końca drągów żaglowych tlą jakieś niebieskie światełka, podobne do obłędnic, wylatujących z siedzib nieboszczyków. Majtki stoją w osłupieniu, struchleli,—a szyper, ten człowiek tak mężny i dziki, wzrosły od małego dziecka w tym surowym rzemiośle, szyper wlepione ma oczy w widokrąg wschodni, najeżone włosy, a twarz jego tak straszna, jakby śmierć z niej wyzierała.

Tył okrętu zwrócono ku wschodowi w kierunku w którym jest Kadyx.

— Co to jest? na miłość Boga, czemu ten przestach człowiecze? spyta Zygmunt szypra.

— Co to jest? — krzyknie jak lew rozjuszony szyper — nieszczęśliwy! nie widzisz? to ogień świętego Elma, to uragan mistral, który uderzy na nas za chwilę.

— Ah! Bogu niech będą dzięki — zawoła jak opętany Zygmunt — ha! wysłuchałoś mnie o Niebo! uderz na nas, pograż mnie w otchłaniach tego oceanu, zmyj twemi falami boleść....

— Ha wściekły człowiecze, ty śmiesz wyzywać gniew tych żywiołów? ha bezbożniku utajony, heretyku, niecnoto! — he! uchodź mi ztąd póki jeszcze mój nóż w téj pochwie, toś ty może szatan, który nam sprowadza ten uragan.

Tak wrzeszczał szyper rozjuszony i uderzył w Zygmunta całym swém olbrzymiém ciałem z takim impetem, że ten się na wznak powalił i zleciał pod pomost na słomę. Ona go ocaliła od złamania karku.

— Kłękni^ę bezbożniku i mów pacierz, bo zginiesz razem z nami, i ani dusza twoja nie ujdzie zagłady -- wrzeszczał jeszcze szyper i zabijał drzwi od pokładu szczelnie, aby żadna kropla wody w nią się wkraść nie mogła.

— Ha południowcze! ha fanatyku zabobonny, przecież cię raz widzę w twych prawdziwych barwach! powiedział sobie Zygmunt, chłonąc z jednego gniewu uczuciem drugiego.

Jeszcze kilka minut zdradliwej spokojności — ale na raz wszystkie elektryczności powietrzne i morskie razem zerwały swe pęta, i rozkiełznane, wściekle uderzyły na siebie. — Kto zdoła opisać co się wówczas na Atlantyku działo? pioruny rozrywające odmęty do dna samego, trąby morskie sięgające obłoków, atlas bałwanów ryczących, jak armia lwów wściekłych,

katarakty światła spadające z obłoków — nie! to wszystko oddać nie zdoła tego gniewu natury. Żadne pióro, chyba ręką Boga wiedzione, opisać nie zdoła zapalczywości uraganu, jakiego ofiarą co chwila stać się mogła biedna Marya Stella, i jej osada z tak różnorodnych żywiołów złożona. Przerzucana jak piłka, raz tańczyła wokoło na szczycie trąby morskiej, to znowu spadała w otchłań na milę głęboko i ledwo się nie zgruchotała na dnie morza.

Biedny Zygmunt — on w swém zmartwieniu nie dbał o życie, on miotany z kąta w kąt, zbliżył się ku przepierzeniu odłączającemu go od ukochanej, która nim tak nieubłagane wzgardziła. On rozeznał wycie biednej niemowy, krzyki i płacze Fernandy — porwał głaz służący za ballast, uderzył nim o tarcicę, wyłamał ją z swęj ramy i jeszcze wyraźniej,

prześlizgnąwszy się w kurytarz, słyszał jak płakała Fernanda, jak Boga błagała o litość. — Ah tu mam kończyć, tak blizka celu mych życzeń — wołała nieboga, tu mam skonać, i to młode ciało ma się stać pastwą potworów morskich! ah moja Matko — ah don Alfredo — ah Sigismundo! “

— Jest tu Zygmunt obok ciebie — zawoła wzgardzony młodzieniec — przynoszę ci życie; ale daj mi nadzieję, oh mój jedyny aniele!

— Ah Sigismundo, przystąp bliżej — niech twe kolana uściskam, niech cię przeproszę — ah ja okrutna, ja śmiałam cię obrazić, ciebie mój dobroczyńco. Ah! przy tobie nie zginę — przebacz niewdzięcznej — wybaczyłbyś gdybyś wiedział jaki los na mnie ciąży.

Zygmunt był obok swęj ukochanej i nie drżał choć wył uragan, choć statek we

wszystkich swych spojeniach jęczał i trzeszczał, choć śmierć groziła.

Obok ciebie Fernando jest niebo i w otchłani morskiej, jest wieczność w każdej chwili,—mówi do ucha Zygmunt Fernandezie, a ona milczy, bo i duma i srogość, nawet w sercu Hiszpanki rozplynie się w bojaźni oczywistej śmierci, a bojaźń zatoni w lubej, słodkiej tkliwości kobiecej. — Kobiety wszystkich krajów nadzwyczajnie są do siebie podobne w tém co mają najsłabszego, najmilszego.

A młodzieniec w pełnej sile wieku, nigdy nie uwierzy w możliwość śmierci, kiedy drga w jego ręce dłoń kochanki.

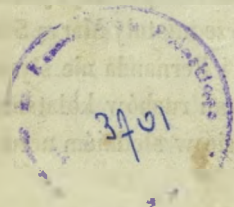
Uragan był jeszcze, pioruny jeszcze biły, bałwany jeszcze miały Maryą Stelłą — ale Zygmunt i Fernanda nie słyszeli uraganu, ani też czuli ruchów kołatanego statku. Wyłamali się w słodkiem uczuciu

niedoświadczanych nigdy rozkoszy z pod władzy żywiołów, światu zgubą zagrażających.

Przestali należeć do ziemi i do wody, uniesieni po nad gwiazdy na skrzydłach młodociannych, nigdy nieprobowanych.

— Precz od nas śmierci, szanuj tych, którzy tobą gardzą—zawoła Zygmunt,—i jest zwycięzcą.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



PAN ZYGMUNT.



PAN ZYGMUNT W HISZPANII.

POWIEŚĆ PRAWDZIWA
w 4ch Tomach,
Z OSTATNIEJ WOJNY DOMOWEJ
HISZPAŃSKIEJ

PRZEZ
Autora wspomnień z podróży
po D. N. A. &

TOM II.



WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Unger.

1852.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

W Warszawie d. 11 (23) Lipca, 1851 r.

Cenzor

P. Dubrowski.

ROZDZIAŁ I.

T E C Z A.

Czasem tylko i to bardzo krótko pan Zygmunt i donna Fernanda spoglądali z eterycznych wysokości, gdzie tak swobodnie bujali, na dawną siedzibę ludzką, na padół zgryzot i płaczu — na ziemię. Tu się na nieszczęście wszystko uspokajać zaczęło. Z nieba pierzchały chmury ku zachodowi—wiatr już nie wył i nie jęczał, ty!

ko czasem jeszcze zamruczał i szeleścił. Słońce już widać zaszło, gdyż sierp księżyca przyświeca, ale także już blado, widać że Febus pędzony burzą już drugą hemisferę obiegł. Istotnie ze wschodu już połyskają w rumianném świetle małe obłoczki.

Ale morze jeszcze rozbałwanione, fale przebiegają ponad pokładem i na nim się przelewają. Cały okręt pod wodą. Majtki przywiązali się linami do pokładu i drżą z zimna.

Ledwo za godzin kilka uspokoi się morze, nie prędko będzie można otworzyć wnijsie do kajuty i do wnętrza podpomostowego, bez wystawienia statku na niebezpieczeństwo zatonięcia, jedna bowiem fala napelniłaby swą wodą całą felukę.

Bujajcież tedy jeszcze o szczęśliwe dzie-

ci godzin kilka w rokosznym błękanie nieba. Nie pozostaniecie wiecznie w tych górnych siedzibach.

Lecz już dalibóg żadna fala nie pluska po pokładzie. Wkrótce otworzą lukę do kajuty. Wróćcie dzieci na ziemię, bo was ten stary barbarzyńiec gotów zastać in flagranti delictu nadpowietrznych podróży.

Halas, łoskot i zgiełk na pokładzie. Odrywają za pomocą drągów i z wielką trudnością zapęczniele drzwi kajuty i podpomostowego wnętrza. Wchodzi do Zygmunta stary Cerber morski, barbarzyński szyper, z latarnią w ręce, z obwiniętą głową, i z twarzą we krwi broczącą. — A gdzież nasz pan Porucznik, przyszedłem go przeprosić za subiekcyę com mu zrobił, rzecze Massariba świecąc po wszystkich kątach latarnią, ale przysięgam na wszystkich świętych żebyś pan nie był

wytrzymał na pokładzie tak tam było okropnie. Dla tego też poprosiłem pana moim kommandantskim sposobem do pozostania pod pomostem. Ale ha! ha! ha! jął się śmiać stary barbarzyńiec, ha! ha! ha! jak to pan wygląda, na miłość Boga, blady pan jak gipsowy święty — aha! otoż mamy zucha który się cieszył gdyby dziecko, z gniewu rozjuszonych żywiołów. Ho! ho! żartować z uraganu Sgo Elma—toś mi się pan wyrwał, za mocna to rzecz na owe cudzoziemskie nerwy. Mój panie! my jesteśmy Katolicy, Apostolscy, Rzymscy, a przytém Hiszpanie, a przecież drżymy widząc nasze maszty i drągi przemienione w świeczki. Drżymy i duszę naszą Bogu polecamy.

— Wierz sobie żem tchórz lub nie wierz, wszystko mi jedno, ale jeść daj stary potworze morski, jeść daj natychmiast

i bardzo wiele, bo po tym poście dwudziesto - cztero godzinnym, po tem kołataniu i kołysaniu Maryi Stelli trapi mnie głód najokropniejszy, i dla tego tak blady jestem—bo mało już krwi we mnie.

— Jeść pan chcesz? panie poruczniku? a cóż łatwiejszego? nie mamyż to dosyć włoszczyzny i ryb cośmy je chcieli na targu w Kadyxie sprzedać. — Tylko mała zachodzi trudność—mój kuzynek Miguelino — ów mały urwis, który służył za kuchcika, przecież go pan znał?

— Co go nie miałem znać—doskonale!

— No wystaw sobie pan! wypowiedział mi kanalia służbę, z kucheika awansował na potrawę i poszedł żywić rekiny — a nawet i kuchnię zabrał z sobą — i wody słodkiej w beczkach nie zapomniał, przypatrzo się pan naszemu pokładowi, czyściutki i golutki jak talerz,

jak dłoń, masztu ani zdziebelka, łodzie i beczki zmyte z pokładu, poręcze poszły do diabła, ster strzaskany. Aż miło, nieprawdaż? ha! ha! ha! podoba się to panu?

— A do tysiąca burz i uraganów, jakie to zniszczenie! Boże wielki! co my poczniemy? a i ty patronie ranny jesteś w głowę i nasz biedny sternik leży jęcząc na pokładzie, — dalibóg ramie ma złamane. Co my tu biedni poczniemy?

— Aha panie poruczniku — aha! a gdzież się podział twój wielki kuraż, a wczoraj o te czasy wyzywałeś Niebo i iść chciałeś z piorunami w zapasy. — My jednak nie rozpaczamy. Bóg się ulituje nad nami.

Tak jest istotnie, w chwili trwogi i w boju syn północy zawsze ma nie-skończenie więcej krwi zimnej i męskiej

odwagi od południowca, — ale klęskę długo trwającą, nieszczęście mogące się ukończyć zagładą po długich cierpieniach, znoje i głód, lepiej znosi południowiec. Ten sam ciepłik krwi, który nam nie pozwala być zimnym w chwilach wielkiej trwogi i przemijającego niebezpieczeństwa, grzeje go i utrzymuje w rzeźwości gdy przyjdzie znieść jaką długotrwałą klęskę, i dodaje mu ducha wówczas nawet, gdy głód morzy, gorąco dniem, a zimno nocą dokucza.

Ileż to razy pan Zygmunt nie doświadczył prawdziwości zdania tego później w kampanii Hiszpańskiej, a nade wszystko w Algieryi.

— Więc źle, rzecz pan Zygmunt, źle bardzo, możemy sobie najniewinniejszym sposobem umrzeć tutaj z głodu na pięknym oceanie, podczas najpyszniejszej pogody.

— Możemy, panie poruczniku! możemy i bardzo, jeśli się pan Bóg nie zlituje nad nami z sposób bardzo wyjątkowy,— odpowie w najzimniejszą krwią w świecie stary szyper, ten sam, który pana Zygmunta chciał przebić wczoraj nożem; ten sam, który uniesiony zapalczywością wściekłą, wtrącił go do wnętrza statku. Zmienił on, jak widzimy, zupełnie sposób swego postępowania, stał się wielomównym, żartobliwym, prawie kokieteryjnie jowialnym.

Tak zawsze robią południowcy skoro ochłoną z niesłusznego gniewu, wyraźnie nigdy nie przeproszą, ale starają się dać zapomnieć krzywdę, skoro na ich sumieniu ciąży, i wtenczas rozwijają bardzo wiele dobroduszości. Wybaczyć, jest w takim razie najlepszą filozofią.— Są to dzieci idące ślepo za popędem chwilowej

namiętności, niewidzące częstokroć nawet, że istnieje w człowieku jakaś wyższa siła, która go powściągać powinna w gniewie. Broń Boże pamiętać im urazy, gdy późniejszym postępowaniem starają się zatrzeć jej pamięć.—Kto nie zapomni szczerze, ten się wystawia na najzawziętszą nienawiść.

— Patronie — zapyta Zygmunt niezapominający swych przyjaciół nawet gdy głód doskwierał — a te biedne kobiety co tam robią, może już umarły ze strachu i wycieńczenia — poślij im cokolwiek wina i ot tej czekolady, którą wiozę z sobą.

— Ah masz słuszość, illustrissimo Senor Teniente, najoświeceńszy panie poruczniku, widzę że serce masz wyborne. Niech ci Bóg to pamięta. Hej! Manolo! Manolo! tyś najzwawszy, my wszyscy znękani, —a ja tak skrwawiony—przestraszyłbym

biedne niewiasty. Oto mówiąc nawiasem, odłam drąga żaglowego tak mnie poczęstował, niech go siarczyste pioruny trzasną! boli mnie, coraz więcej nawet. Héj Manolo! weź no tę butelkę wina i tę czekoladę — zejdź do kajuty, i poczęstuj te biedne kobiety — spytaj się czy żyją i jak się mają. Ta młoda piękna, i tak już chora, kto wie czy ją żywą dowieziemy. Drugą butelką poczęstujemy siebie samych, nie prawdaż don Sigismundo?

— To się rozumie samo z siebie — dalej patronie — i to czém prędzęj, niech djabli biorą, bo głód dokucza — chleba tam nie masz i sera?

— Znajdzie się jedno i drugie, węgla nam zostało cokolwiek, możemy upiec na popiele kilka ryb, i żywić się jako tako póki z głodu nie umrzemy.

— A niech cię jasny piorun trzaśnie

z twém zdychaniem z głodu! krzyknie Zygmunt „a cóż Manuelito, co robią te kobiety, żywe jeszcze?“ zapyta powracającego jungę, jak gdyby nie wiedział co się tam w kajucie dzieje.

— Żyją jeszcze wprawdzie „odpowie Manuelo“ ale jedna już oniemiała ze strachu, ta stara — a druga ta młoda, ładna, płacze i czesze sobie włosy.

— Ah do stu tysięcy! — krzyknie szyper — to jej nic nie będzie. Stara zwyczajnie tak do ryby podobna swą wymową żeby jej może lepiej było w wodzie jak tu na powietrzu.

— I cóż zadowolnione były z wina i czekolady?

— O i jak! rzecze Manoel, jedna z nich pytała się kto im ten prezent przysłał.

— Która? ta stara co nie mówi? spytał szyper.

— Nie, mnie się zdaje że to była ta młoda co mówi — odpowie junga.

— No i cóżeś odpowiedział na to pytanie?

— Odpowiedziałem, że to don Sigismaldo — Sigismundo, czy też jakoś inaczej — ten portugalski oficer, posłał jej tę kolendę.

— A cóż na to ona? spyta dalej nieubłagany szyper.

— Ona na to odpowie Manuelito — ona nic na to, tylko jakoś uśmiechnęła się bardzo miławo, widać, że jej się przyjemnie zrobiło na sercu, — potem mnie spytała jak rzeczy stoją, czy już blisko jesteśmy Kadyxu — a ja odpowiedziałem, że nie wiemy wcale gdzie Kadyx — żeśmy postradali maszt, ster i co najpotrzebniejsze, że nas bałwany pędzą przed sobą gdzie tylko chcą — że zapewne umrzemy z głodu — że...

— Bodajżeś diabła zjadł głupcze, gadulo, potrwożysz mi biedne kobiety, — krzyknie szyper.

— Ale gdzie tam patronie — ta stara ani się zmieszała, a młoda powiedziała z miłym jakimś uśmiechem: Niech i tak będzie, niech się stanie wola Boga.

Szyper westchnął do Nieba i złożył ręce. „Jakaż bogobojna kobieta, jej przytomność na tym statku może nas też i ocali, wydzwignie z biedy. Ale jak mnie piecze rana.“

— Słuchaj Patronie? spytał Zygmunt, gdzie jesteśmy, pod jakim stopniem długości i szerokości geograficznej?

— Albo ja wiem — nie znam się na długościach i szerokościach geograficznych. Zdaje mi się, według mego głupiego rachunku, że jesteśmy na wysokości przyładka Świętego Wincentego, oddaleni od

niego o mil 20 lub 25 przynajmniej—odpowie szyper.

— A zatem mniej więcej pod stopniem 35 szerokości, a 11 długości, oddaleni od Kadyxu o trzy razy tyle, ile byliśmy wczoraj rano, wypływając z Guadiany.

— Doskonale pan wyrachował — tak to będzie mniej więcej. — Ktoż z nas może obrachować z akuratnością prąd fali popychanej uraganem Świętego Elma.

— Jaki mamy wiatr? spyta dalej Zygmunt?

— Wiatr wieje jakoś z południa, ot jego dyrekcyja—odpowie szyper wywieszwszy szarfę swą jedwabną na powietrze i spoglądając na bussolę—szczęście jeszcze żeśmy nie postradali tego gratu.

— A zatem starajmyż się zwrócić statek ile można ku północy. Ztamtąd przebiegają statki, a tu idąc za kierunkiem fali

wzburzonej jeszcze prądem uraganu, zostaniemy uniesieni w wielki ocean, gdzie trudniej daleko będzie spotkać się z jakim okrętem.

— Oho! oho! rzecze Patron, widać żeś pan nie nowicyusz na morzu; oho! do-brój Pan rady człowiek! mam poszanowa-uie dla pana, dalibóg, chociaż pan oficer Portugalski.

— No! stary gaduło morski! rzecze Zygmunt; dalejże mi tedy do pracy. Ten ułamek masztu przyrządzić każ w sposób, żeby mógł służyć na bukszpryt. Zawiesimy na nim żagiel trójgraniasty i biedz będziemy przynajmniej kierunkiem pośrednim pomiędzy wiatrem a falą — a tak zyskamy więcej sposobności wybawienia się, zbliżymy się bowiem do brzegów Algarwii, około których krąży wiele statków — mogących nam dać pomoc. — Potem, wi-

dzisz jasno, że ten wiatr potrwa; przybywa on z brzegów Afryki, jest ciepłym — wiatr to prawie stale w tych wodach i w tej porze wiejący — znam go doskonale z reputacyi. — Wieczorem spotkać możemy jaki parostatek angielski, idący do Malty, lub téż francuzki powracający lub dążący do Lizbony. Wszystkie te statki zatrzymują się w Kadyxie. Widząc nas w nie-szczęściu, zabiorą z sobą i felukę twą przy swych okrętach powleką.

— To jeszcze pytanie! — odrzeknie szypers — to wielkie pytanie. — Statki te pocztowe zawsze się spieszą niesłychanie, czas im jest droгим, a pieniądze pożądaniemi. Na naszym nędznym statku nie odgadną ludzi mogących im wynagrodzić pomoc daną.

— Nie obawiaj się Patronie! to moja rzecz, potrafię ja ich zniewolić podstępem

do wybawienia nas z tego przykrego położenia. Tylko się staraj być jak najprędzej w bliskości brzegów Algarwii; przyczepiaj żagle gdzie możesz, w wnętrzu pod pokładem wieziesz jakieś tyczki i drągi — wszystko to spożytkuj na maszty tymczasowe, a biegnij z wiatrem a nie z falą — bo fala nas zapędzi na ocean głęboki, gdzie rozpacz, głód, i gdzie jeden drugiego zjadać będzie, — a ty już ranny i tłusty najpierwszy dostać się możesz na rożen.

— Ah! panie poruczniku! toś mnie pan nagą ręką złapał w bosc serce. Na Boga miłego — masz pan rację — wielką rację. Dalibóg mogę być zjedzonym — takie rzeczy się przytrafiały — mogę być zjedzonym przez własnych krewnych, a tu wszyscy ci ludzie to moi krewni. — Dalejże do pracy! Manolo! Pablito! Jago! Antonio! dalej do pracy. Przyrządźmy masz-

ty i żagle, pan nam pomoże, nie prawdaż don Sigismundo? Co to za człowiek nieoszacowany, ten cudzoziemiec, a ja go chciałem naśpikować na mój nóż, prosto nie więcej jak heretyka. — Daléj do pracy — niech żyje Hiszpania!

Wzięto się do pracy z wielką ochotą. Każdemu odwagi dodało rezonowanie tak trafne, tak jasne Zygmunta. Spoglądano się na niego z zaufaniem i przyjaźnią, a Manolo od czasu do czasu biegł do kajuty, i opowiadał, że teraz don Sigismundo jest kapitanem okrętu, że on wszystkich ocali że jego słucha sam patron jak Boga.

Serce rosło z radości biednej Fernandzie, na to uczczenie odwagi i rozumu w człowieku, któremu powierzyła więcej jak swe życie, bo honor każdej chwili swój przyszłości.

Jeszcze w jéj dziewiczych nerwach drga-

ły wspomnienia chwil uroczych dopiero co spędzonych, jeszcze oko jej wilgotnóm było łzami doświadczanych rozkoszy. „Oh Julio księżno de Torres Amarillas! — czémże jest dzisiaj twa przyszłość? spytała siebie samą; — ty tak dumna, trzy lata najokropniejszej męczarni wytrzymałaś i nie zachwiałaś się ani chwili. — A tu, wielki Boże, na raz jeden! pobyt na tobie o Maryo Stella będzie pamiętnym dla mnie.

„I płodnym być może w ważne skutki!“ — byłaby wówczas dodała Fernanda, ale istotnie zanadto była niewinną, nie wiedziała jak długą się nie raz boleścią, jak drogo okupują krótkie chwile podróży spędzonych w eterycznym błękiecie tych rozkoszy.

Wtém Junga jawi się znów w kajucie i trzymając czapkę w ręce, jękając się tak przemawia: „Pan admirał Sigismundo

wysłał mnie tutaj życzyć dzień dobry pani starzej i młodej, i kazał powiedzieć że potrójna tęcza najpyszniejszych kolorów na pokład weszła, i że bardzo miło jest w niebie.

— Co ty prawisz Manoelo? Tęcza na pokładzie? i miło w niebie? spyta Fernanda zdziwiona, prawie przestraszona.

— Nie! nie! tęcza na niebie, a miło na pokładzie—to chciałem powiedzieć, tylko mi się jakoś język zabelkotał.

— Podziękuj panu admirałowi, powiedz że za chwilę będziemy na pokładzie.

Zygmunt też, jako kawaler pełen rycerstwa i grzeczności dla dam, kazał na tyle statku, tam gdzie jeszcze pozostała część poręczy, — rozpiąć rodzaj namiotu z żagla i deski zasłać grubą warstwą słomy i pokryć ją innym żaglem.

Fernanda weszła na pokład z swą duenną. Nigdy w swém życiu nie była piękniejszą; wyraz dumy i wzgardy ustąpił wyrazowi jakiegoś pełnej tkliwości melancholii, jakiegoś smętności lubej i uroczej. Oczy jej dotychczas tak rozkazujące — mniej odważnie spoglądały, a na liliowych licach wykwitł różowy rumieniec w chwili, gdy źrenice na don Zygmunta padły.

Ale co robi duenna na widok pysznych tęczy opasujących błękit nieba? padła na kolana, ręce złożyła i serdecznemi jękami Bogu dziękowała. — Jaka radość na jej twarzy — radość nigdy u niej dotąd niewidziana.

I wszyscy klękli na pokładzie tym widokiem wzruszeni aż do głębi serca. Któż powiedział owej głuchoniemiej, że tęcza jest rękojmią pokoju i przebaczenia, zesłaną wprost od Boga?

Nikt — nikt jęj powiedzieć tego nie mógł. Instynktem wrodzonym odgadła tę prawdę religii; patrz jak się cieszy Boską tęczą, jak ją radośnie wskazuje donnie Fernandzie!

ROZDZIAŁ II.

BÓG CZUWA NAD NAMI.

Błyły to słodkie chwile dla Zygmunta — te chwile trwogi i znojów a niepewności losu dla wszystkich. On spoglądał teraz spokojny na swój ideał, na swą boginię tak piękną, tak nadobną, tak pieszczotliwie patrzącą na niego. On cały zatopiony

w doznanego szczęścia wspomnieniach ani przypuszczał wprzód, żeby takiej lubości uczucie przyjąć mogło kiedyś.

Ale dla tego nie przemijały jeszcze chwile niebezpieczeństwa dla osady Maryi Stelli. Żaden się okręt nie pokazywał nawet w oddaleniu, wiatr nie pędził statku szybko ku brzegom, a fala ciągle popychała go ku bezbrzeżnemu oceanowi. — I słońce też zapadać zaczęło. Wspólne niebezpieczeństwo jakoś oswoiło człowieka z człowiekiem; patron żalił się na ból głowy i prosił Zygmunta żeby zobaczył, czy tam drzazgi jakiegś nie ma w skórze.

Spostrzegła to głuchoniema duenna donny Fernandy, i natychmiast przybiegła do szypra. Wnet zdjęła z jego głowy chustkę, nożyczkami które przy sobie nosiła wystrzygła mu włosy, niemi wydobyła ułamki i drzazgi tkwiące w skórze, i

opatrzyła mu należycie ranę. Prawda że na to poświęcił pan Zygmunt jedną z swych koszul z cienkiego płótna zrobionych — wielka to rzadkość w tych krajach, gdzie wszystko przyodziwewa się bawełną.

I sternika także opatrzyła pocziwa głuchoniema. Widać z jej zręczności, że kiedyś w szpitalach jakich musiała pielęgnować rannych. A jak zręcznie, jak ochocho brała się do tych potrzeb. — Powiedziałbyś że to najdoskonalszy chirurg. — Zapewnie była używaną za infirmerkę w Instytucie głuchoniemych Madryckich, który raczej jest szpitalem jak szkołą. Dziś już tam uczą czytać i pisać i do rzemiosł doskonałą.

Pan Zygmunt téż korzystając z wyjątkowego, nieprzewidzianego położenia, to jest ze wspólnéj trwogi, zbliżył się ku donie Fernandzie. Serce jej drżało na widok

tego człowieka, któremu wczoraj rano dała uczuć tak dotkliwie swą dumę. Bardzo się zmieniły stosunki od wczoraj, ale Zygmunt szlachetnym był zwycięzcą i nie mścił się za doświadczone upokorzenie—nie, on tylko miał uczucie tkliwéj, rzewnéj wdzięczności dla tego anioła, tak młodego, pięknego, on patrzył na niego z uniesieniem i pieścił się z jego wdziękami przynajmniej w wyobraźni.

Cała osada Maryi Stelli rozłożoną była na pokładzie i spoglądała w niebo z którego już zeszły pyszne tęczę, z którego już nie długo zejdzie i słońce, wlepiła oczy w widokrąg morski, teraz spokojny, czy tam nie spostrzeże jakiego żagla.

Zygmunt tedy przystąpił do Donny Fernandy czytając od godziny w jakéjsz książce z obrazkami, i następującemi przedstawiał się słowami, umyślnie żeby szyper

nie mógł się dorozumieć istnienia jakichkolwiek stosunków lub styczności. Przy-
 stąpił tedy do donny Fernandy, zdjął czap-
 kę, uklonił się z gracyą etykietalną go-
 dną królewskich podwojów, i rzekł:

— Mi joven Seniorita—pardon Usted
 por Dias mi osanza de hablar a Usted sim
 estar presentado formalmento.

Ale że nie każdy z nas po hiszpańsku
 umie, warto będzie przepolszczyć słowa,
 jakimi się pan Zygmunt przedstawił
 donnie Fernandzie.

— Młoda moja Pani! wybaczyć ra-
 czysz na Boga, że śmiem mieć odwagę
 mówienia do niej, nie będąc jej uroczy-
 ście przedstawionym — ale wspólne nie-
 szczęście —- niebezpieczeństwa zbliżają
 człowieka do człowieka, a szczególnie
 hidalgów do siebie.

Fernanda odpowiedziała z etykietal-

na gracyą, jaką nie każda królowa przy otworzeniu parlamentu rozwija.

Wszczęła się rozmowa — naprzód przedmiotem jej była owa książka, którą Fernanda w ręku trzymała.— Ah! to nie książka do modlitwy, to jakaś Angielska książka! zawoła głosem przytłumionym Zygmunt, to Sterna uczuciowe podróże jak widzę — Boże wielki! donno Fernando, wołałbym mieć sztylet w sercu, jak widzieć ową angielszczyznę w twych rękach — nie mało mnie ona już kosztuje zmartwienia, wskrzesza w méj duszy wspomnienia okropnej męczarni.

— A to zkąd? i jakim sposobem? odpowie nieśmiało Fernanda.

— Ah pani! w drugim liście, w którym mi opisałaś szczegóły dotyczące się twego życia, nie wspomniałaś mi wcale że jakiś anglik wpłynął na twój los bar-

dzo potężnie, — ale ja później podsłuchałem rozmowę toczącą się pomiędzy kapełanem i doktorem, i dowiedziałem się szczegółów bliższych.

— Opowiedz mi, o don Sigismundo, treść tej rozmowy — opowiedz, proszę cię, może to nowa jakaś intryga, nowa zasadzka jaka.

Zygmunt opowiedział co usłyszał o treści listu wręzonego klucznicy przez stróżów Fernandy, opowiedział także co doktor podczas majaczeń chorąg Fernandy dosłyszał.

— Ha! teraz pojmuję jakimi niegodnymi środkami starano się zniewolić ksienie Brigitte do prześladowań tak okrutnych przeciw mnie wymierzonych, a przecież wszystko to jest fałszem. W życiu mém nie widziałam nigdy żadnego anglika, nie wiem nawet jak wyglądają.

Dopiero w klasztorze, nie mając nic lepszego do czynienia, a korzystając z tej książki, przez jakiegoś anglika zapomnianej w hotelu siostr głuchoniemych, a danej mi, przykładałam się do nauki angielskiego języka, ale nie znam wymowy, nikt mnie nie mógł w tém oświecić, grammatyki nawet nie znam; nauczyłam się dzięki słownikowi rozumieć pisane w tym języku książki, czyli raczej książkę; innę bowiem angielskiej nigdy w rękach mych nie miałam. Oto wszystko Sennor mio! czy mi wierzysz?

— Cobym tobie nie wierzył o pani moja? nie masz wcale granic dla méj wiary w ciebie. — Ale powiedz mi kto jest owa donna Diana?

— To istotnie klacz moja, doktor się nie mylił, odrzeczcie Fornanda.

— A kto był ten don Alfredo? raz

jeszeze zapyta Zygmunt — ten don Alfredo, którego nie znając, nienawidzę.

— To źle robisz, mój don Sigismundo — tyś mu więcćj złego wyrządził, niż on jest w stanie tobie zrobić! rzekła donna Fernanda rumieniąc się i spuszczaając powieki, z których potoczyły się dwie łzy, piękne jak młodziuchne perły.

— O jak chętnie pan Zygmunt chciałby był osuszyć te łzy swemi nabrzętkami z rozkoszy ustami! — Ale decorum przedewszystkiem.

— Słuchaj don Sigismundo — nie bądź okrutnym i nie nalegaj. Wierz mi, że nie powinnam z powodów czysto honorowych, wyjawić ci dzisiaj kim jest don Alfredo — i kim jest owa zagadkowa donna Fernanda, która tu przod tobą siedzi. — Kiedy jesteś mężnym jak Cyd! bądź także jak on wspaniałym; nie nalegaj, nie chciej prz-

mocą posiąść duszę kobiety, której posiadłeś....

Donna Fernanda nie skończyła — głos jej zachwiał się i skruszał, upadł nagle. Tym razem już dwa strumienie łez przysły z pomiędzy powiek, a z twarzy ustąpiła krew nagle. Ostatnie promienie słońca zapadały w ocean. „Do pacierza!“ krzyknie rozkazującym tonem stary szypier leżący w gorączce, ale wierny raz przyjętemu na hiszpańskich okrętach zwyczajowi, pilnuje obrządków religijnych, pomimo bólów i gorączki.

Cała załoga Maryi Stelli zbiera się na pokładzie. Nawet sternik z złamanem ramieniem przyczołgał się. — Kobiety także. Wszyscy klękli i w głos zmówili Ojciec nasz — Zdrowaś Marya — Wierzę w Boga, i jeszcze nadzwyczajną jakąś modlitewkę, na ten cel już od dawna w każdym ołtarzyku hiszpańskim znajdującą się.

Potem, gdy się modlitwa skończyła, pan Zygmunt zawołał: Bacność! ja tu kommandę biorę na tym statku podczas choroby patrona Massariby i za jego pozwoleniem! Nie prawdaż stary wilku morski?

— Najprawdziwsza prawda! mianuję pana ober—admiralem całej mojej flotty, na lądzie i na morzu, w pokoju i w wojnie, żartem i serio—rzecze szyper.

— A więc, krzyknie znów Zygmunt, podlegać mi i słuchać! jest nas ze wszystkiem czterech do służby zdolnych, ja wasz kommandant, Jago drugi sternik, Antonio botsman, i Manoelo junga okrętowy. Warta zmienia się co cztery godziny. Na wartę wchodzi połowa załogi. Ja go i Antonio teraz—za cztery godziny ja i Manoelo; Statek utrzymać ciągle w kierunku najwięcej ku północy zbliżonym.

Latarkę zapaloną uwiesić u szczytu drąga służącego nam za maszt. Co kwadrans zapalać wiązkę słomy uczepionęj na szczycie żerdzi. Co pół godziny walić z działka na alarm. Ot tu w tym rogu macie półtora funta najdoskonalszego prochu Angielskiego, to z waszym zapasem prochu wystarczy na 24 nabojów. Czuyność największą zalecam! Srodze mam zwyczaj karcić wszelkie wykroczenia przeciw karności! Dalej Jago i Antonio do służby — za cztery godziny obluz. — Manolo idź spać.

Taki rozkaz dzienny. Patron rzekł że spokojnie sobie usnąć może, bo w godne ręce dostała się kommenda. — Zygmunt przystąpił do dam na tył okrętu, i ostrzegł donnę Fernandę że zimna jakaś rosa spada z nieba, że zapewne wywczasu potrzebuje, że wypada zejść do kajuty, bo tu na pokładzie chałasować będą, etc.

— Tu tak miło na pokładzie — rzecze donna Fernanda. — Księżyc tak pięknie przyświeca — od rosy wieczornéj chroni nas to płótno, chałasu towarzyszka ma nie słyszy, a huk armaty miały jest dla mego ucha; od maleńkiego dziecka słyszałam go zawsze z nadzwyczajną przyjemnością — wolimy więc, o dobry don Sigismundo, przepędzić tu na pokładzie noc tę.

Wszystkie przedstawienia Zygmunta nic nie pomogły. — Kobiety chcą przepędzić noc na pokładzie.

— Ah przyjacielu Eolu! zawoła don Sigismundo — wypuść jeszcze raz twe niesforne uragany na zwierciadło oceanów — niech przewracają aż do dna jego wody — mi, nie szczędź wściekłości twéj o kochany piorunie! miłe grzmoty rozrywajcie niebo i ziemię zagłuszającym odgłosem,

lejcie się na nas bezdenne potoki, grady
bijcie jak kartacze, rozkielznajcie się
wszystkie żywioły,... i zapędźcie Fernan-
dę do swęj kajuty.

Księżyc nie przestawał przyświecać
najpogodniejszemu niebu!

Biedny Zygmunt!

ROZDZIAŁ III.

RULE BRITTANNIA.

Duenna śpi i chrapie jak najwymowniejsza kobieta—donna Fernanda śpi, ale nie chrapie, albo też może tylko udaje że śpi—i nie da się przebudzać sygnałem walącym z armatki co pół godziny—regularnie jak Bóg i pan admirał przykazał—a pan Zygmunt czuwa za siebie i za innych, daje rozkazy, przygryza paznogie,

i stłumionym głosem przyzywa Eola, uragany i pioruny.

Już świtać miało — już jakieś małe światełka w nieforemnych kształtach przyświecać zaczęły od wschodu.

— Ha to ty Febusie! nieprzyjacielu nocy, wrogu intryzek miłosnych, zaczynasz zwiastować twe przybycie! ha! burzo! czemu nie trwasz wiecznie, pod twe-
mi warczącemi skrzydłami rozwinęły się mej młodości myśli i pojęcia, żądze i namiętności—tyś ukołysała w twych potężnych rękach ową dumną lwicę—tyś mi ją oddała w objęcia te silne i nerwem drżące, a teraz, teraz — już mi nie chcesz sprzyjać — nie chcesz już otworzyć bram znanego mi raju. Oh, otwórz je raz jeszcze jeden!

Tak jęczał biedny Zygmunt — i jednej nie spoczął chwili, tylko pozostał na po-

kładzie, wzrokiem swym pokrywał, otulał tę szlachetną postać, której wdzięki tak młode, a tak wydatne, której twarz blada, smętna, czasem połyskiwała czarnem światelkiem wystrzelajacem z pomiędzy powiek, jak blask czarnych dyamentów, której nóżka wązka tak rozkosznie wyglądała zpod długiej fałdzistej sukni.

— I to wszystko! oh! i wiele więcej do mnie należało kiedyś! ten cały raj w mojem był posiadaniu! nie uwierzę memu własnemu szczęściu, uwierzę dopiero gdy znów go doświadczę!

— Sennor amirante — Sennor amirante!

— Panie admirale! patrz! patrz! to światło jakieś, dalibóg to światło od północy! krzyknie Manolo stojący na widecie na przedzie statku.

— Ha, to światło istotnie! zawoła Jago i Antonio przybyli na ten odgłos z wnętrza podpomostowego.

— Bóg się litował nad nami.

— Dalej grzmij z armatki co masz siły! rozkaże Zygmunt — pal snopki słomy na żerdziach, starajmy zwrócić na się uwagę tego światła — to zapewne latarnia na szczycie jakiego masztu.

Grzmią z armatki — palą wiązki. Chwile tęsknego oczekiwania wolno, ciężko mijają. Nareszcie błysnął płomień jak snop ognisty z daleka od północy — i we dwie minut potem zadrżało powietrze odgłosem silnego huku armatniego.

— Postrzegli nas — Bogu niech będą dzięki! — odezwała się donna Fernanda i ręce do pacierza złożyła.

W sercu rozkochaném Zygmunta smutnëm zabrzmiało echem to „*Bogu dzięki*“ Fernandy. Onby był wolał usłyszeć jakieś tęskne, namiętne *niestety*.

Światło migające zbliżało się od pół-

nocy, od wschodu zaś słońce jeszcze z pod horyzontu zaczęło rozsyłać swe promienie na cały firmament oryentu, zalewać go purpurą i odbłyśkiem oświeślać zielone wody oceanu. Światło latarni zgasło w strumieniach światła słonecznego, ale natomiast na końcu widokręgu północnego, na samém tle nieba cień jakiś subtelny, wysmukły, ukazał się oku, cień ten rośł i grubiał w rozlewającym się szybko świetle—ukazał się na firmamencie jakiś tuman dymu, potem wysokie szczyty masztów, a pomiędzy niemi czarny komin wyziewający te kłęby dymu,—potem i korpus samego okrętu wyrzał nad widokrąg i coraz wyżej wyzierał. — Jak wysokie te maszty zdają się sięgać Nieba! jak ten dym wzbi-ja się w obłoki! Ale nagle maleje znów korpus, maszty gdzieś grzęzną w odmętach, coraz mniejsze, i mniejsze, już i dy-

mu nie widać. — Ah to złudzenie, ah to nie był okręt, tylko jakiś cień mamiący, — ah my nieszczęśliwe — narzekała donna Fernanda.

— Oh nie obawiaj się Sennora! okręt na twój ratunek spieszący właśnie przebiegał krańce widokręgu i dla tego tak wyraźnie we wszystkich swych kształtach malował się na tle nieba. — Teraz jest bliżej nas, ale rozróżnić go nie można od tła wody. Wkrótce znów się ukaże, skoro mniejsza przestrzeń oddzielać go od nas będzie. Dalej Manolo — wal jeszcze raz z armatki — oni nas nie widzą, bośmy drobni jak łupina orzecha, niech nas przynajmniej słyszą i biegną ku nam w kierunku odgłosu.

— O jak jesteś wprawnym na morzu don Sigismondo! — rzecze Fernanda, — ale wyrzekłszy zaledwie te słowa, zapłonęła

się purpurą prawie tak żywą, jak purpura na niebie igrająca z gazowemi obłoczkami.

Zygmunt spojrział w jej czarne, a namiętne oczy, i także się zapłonił, może nie rumieńcem wstydu, może płomieniem innego uczucia.

— Donna Fernando! — rzecze nie śmiało a błagając Zygmunt, — rosa bardzo zimna spada z nieba, może twemu zdrowiu zaszkodzić, zejdz na chwilę do kajuty, spocznij sobie; jeszcze kilka potrwa godzin nim statek ratujący do nas się zbliży.

— Sigismundo! na Boga litości! — odpowie w tonie wyrzutu Fernanda, wraca pod swój namiot, klęka i modli się.

A widząc to załoga Maryi Stelli, klęka także i wita wstające słońce gorącemi modły. Nawet stary szyper obolały, prawie bez przytomności, odmawia pacierz

lecz mu już i na niego pamięci nie stać,
bo mózg zapalony.

Jeszcze raz czy dwa razy strzelono z moździerza, na wysokiej tyczce zawieszono wielkie prześcieradło dla ściągnięcia uwagi.

Ogromny parostatek zbliża się do biednej Maryi Stelli z masztów odartej.

„Help — help — help“; krzyczy Zygmunt przez tubę językiem angielskim — pomocy — pomocy — pomocy!

— Help for a shipwrecked krowd! help! — pomocy dla rozbitków.

Zbliża się parostatek, choć nic nie odpowiada. Już potężne koła tumanią około siebie spokojne zwierciadło oceanu, już wzruszone wody pluszczą po bokach Maryi Stelli, parostatek łódź wysadza, łódź bieży ku Maryi popychana dwunastu wiosłami, już na jej pokład wskakuje młody Midszipman marynarki królewskiej, i pię-

kny jak panna, dumny jak księżniczka, opryskliwy jak paź, rozważny jak marynarz angielski, pyta się kto tu dowodzi.

— Ja dowodzę w zastępstwie patrona który ranny w głowę dostał zapalenia mózgu.

— Opowiedz pan cały tok przygody, ale w krótkich słowach.

— Taki jest tok sprawy. Przedwczoraj dążymy z Ayamonte do Kadyxu, uragan S. Elma napada nas na wysokości miejsca zwanego Barra de Rodrigo, łamie maszt, ster, bugszpryt i balustradę, zmywa kucharza z kuchnią, wodę do picia i łodziami, łamie sternikowi ramie, patrona rani w głowę. Przytém statek zaczyna pić wodę — ot pompy zawsze pełne — przybyliście wczas na nasz ratunek. — Kto jesteście?

— Kto pan jesteś powiedz mi racz éj?

— Dawny oficer, natif of Poland.

Midszipman uchylił cokolwiek czapki,
—a te sennory kto są—kto ta młoda tak
piękna?

Midszipman przystąpił blisko do niewiast, i zaczął na nie spojrzeć dość impertynentsko,—ale jeden rzut oka młodej kobiety skarał zuchwałość midszipmana. Młodzieniec uszanował oczy które go skarały i głęboko skłonił się przed hiszpanką.

— Czegóż potrzebujecie od nas? spyta dalej midszipman pana Zygmunta.

— Naprzód wiedzieć kto jesteście? odpowie Zygmunt—warto przecież wiedzieć od kogo się przyjmuje dobrodziejstwo.

Midszipman spojrzał bystro na Zygmunta, i wyczytawszy mu z oczu że jest gentelmanem, rzekł.—Masz pan rację, jesteśmy Rule Britania, fregata o sześćdziesięciu ośmiu, jedziemy bombardować Beyrut,

w powietrzu wysadzić Ptolomaidę, zatrzymujemy się na godzin kilka w Golfie Gadetańskim. Dalej czego potrzebujecie?

— Lekarza dla rannych — żywności dla zdrowych — cieśli dla statku — liny do ciągnięcia naszego statku za wami.

— Lekarza, żywność i cieślę dostaniecie. — Statek wasz nie wytrzymałby w tym stanie gwałtowności biegu Ruli Brytanii. Każ go pan wprzód otoczyć, scisnąć liną kotwiczną szczelnie na około, do téj liny dopiero przytwierdzimy pociągowy powróż. Te damy mogą płynąć ze mną na pokład Brytanii.

— Te damy nie opuszczą statku bezemnie, a ja tymczasowy komendant Maryi Stelli nie opuszczę jej nim wszystko będzie w porządku i bezpieczeństwie.

— Służyłeś pan widzę w marynarce? spyta znów prawie szyderczo midszipman.

— Nie służyłem, ale jestem gentlemanem, i znam doskonale powinności człowieka honoru.

Midszipman podał przyjacielsko rękę Zygmuntowi, skłonił się grzecznie damom, i wskoczył na swą łódź, a tu stanawszy, zakommenderował: Go on — on board! i w oka mgnieniu dwanaście wiosła padło razem w wodę i uniosło łódź ku Rule Brytanii.

ROZDZIAŁ IV.

PADRE DOMENICO.

Ściśnięto biedną Maryą Stellę okropnie grubą liną za pomocą windy kotwicznej, aż jęczała w swych spojeniach, skołatana, rozbita razami tak potężnemi fali.—Podczas tej pracy, której przewodził pan Zygmunt, zniknęły niewiasty z pokładu, zeszyły do kajuty i przebrały się w świeże suknie, wyczesaly i wymuskały.

Zygmunt tego nie postrzegł aż wrócił na pokład. „Masz tedy! już ją zaleciał powietrze angielskie — już znów kontent. Ah Boże! czemuż nie mogę posiąść tej duszy, tego serca — jak niegdyś posiadałem to....“

Będz! zarykło działo na Rule Brytanii wleciał na jej maszt sztandar królewski, bębny ozwały się na pokładzie — wkrótce potem zatętniała muzyka wojskowa hymnem: „God save the king!“ obchodzono na Brytanii w pośrodku wód oceanu uroczystą dziny następczyni tronu.

— Wywieś co masz płótna, szarfiki kolorowych chustek na szczyt wszystkie drągów, żerdzi i lasek — wal z armatki do upadłego — cześć potężnemu narodowi angielskiemu. Hurrah! niech żyje Anglia! krzyknie Zygmunt. — Jedna, dwie, — trzeci łódzie zbliżyły się ku Maryi Stelli z fregatą

ty. — Na pierwszój tronuje nasz midszipman ubrany w galowe suknie, w spancer granatowy ozdobiony złotemi axelbantami, w spodnie kaźmierkowe białe z szerokim złotym lampasem, w furażerkę także złotym galonem ozdobioną. Zbrojnym był w krótki pysznój roboty pałasz, wiszący na złotym pendencie. Jakiś ksiądz katolicki siedzi obok niego, a kosze przykryte białemi obrusami świecą z daleka na ławkach.

W drugiej łodzi siedział chirurg okrętowy z felczerem.

W trzeciej największej wieziono drągi, tarcice i postronki, cieśle i pomocników.

Wskakuje midszipman na pokład, wesół tym razem i uprzejmy.

Kolego, dzięki ci składam w imieniu kommandanta Brytanii za holdy oddane proporcowi Jego Królewskiej Mości, kto

dla jej uczczenia wystrzela ostatnie swe naboje, ten wart naszego spółczucia i naszej wdzięczności.

Kolego racz mnie przedstawić téj nadobnej sennorze. Piękności tak świetnej każdy syn Albionu chętnie składa hołdy. Jestem Edgard Hargrave, trzeci syn wielce zaszczytnego (right honourable) lorda Hargrave, kapitana stojącej przed wami fregaty Rule Britannia.

— Bardzo chętnie, odpowie Zygmunt z najgrzeczniejszą twarzą w świecie, ale w głębi duszy pomyślał sobie!—Bogdajś djabła zjadł z twemi grzecznościami.

— Donna Fernanda de Solis, pozwól Sennora abym jej przedstawił Mister Edgarda Hargrave, syna trzeciego wielce zaszczytnego Lorda Hargrave, kapitana fregaty stojącej przed nami.

To przedstawienie odbyło się w hiszpańskim języku, młody midszipman znał go wcale dobrze.

— Miło mi powitać w panu syna tak czułego na niedolę ludzką człowieka, jak Lord Hargrave — rzecze Fernanda z prawdziwie pańskim taktem.

— Sennora! mój Ojciec będzie uszczęśliwionym podziękować ci za ten komplement, który mu sumiennie złożył. Racz mi pozwolić przedstawić ci, o donna Fernanda, duchownego twój religii, don Domenico das Silvas, który umyślnie tu przybył dlatego, żeby panią dyspensować od postu, bo dziś piątek, a nam na naszej Brytanii łatwiej o młode kurczęta jak o świeże ryby.

Don Domenico das Silvas, właściwie portugalczyk rodem, znał wszystkie języki i należał do wszystkich narodów, bo był

członkiem owego potężnego bractwa które swe czarne skrzydła umie roztoczyć po nad świat cały i wszystkie owe trwożliwe, łatwowierne dusze, z których się po największej części składają jego mieszkańcy.

Mały, stary, brzydki, z kołącemi i jak igły oczami, z stereotypowym uśmiechem, z żółtą zmarszczoną jak kapciuszek twarzą, z nosem cienkim, długim, spiczastym jak strączek, łączył potulność owczą, talent wyrażania się miłemi frazesikami,— a czelność, czelność, Boże drogi! prawdziwie Talleyrandowską.

Zbliża się tedy pocziwa księżyna do donny Fernandy, i daje jej słodkim głosem wszystkie możliwe dyspense i błogosławieństwa.—Ale rzecz szczególna! młoda osoba widać nie bardzo oczarowana temi grzecznościami, pyta go się naiwnie:—

co ksiądz tam robi na tym statku wojennym pomiędzy różnowiercami? czy i ksiądz także puszcza się na bombardowanie Beyrutu, na wysadzenie w powietrze Ptolemaidy?

— O pani moja—ja nic nie burzę i nigdy burzyć nie pomagam; budować i wznosić jest zadaniem życia mego — rzecze z namaszczeniem ksiądz Domenico, a przytłumionym głosem dodał.—I tu na okręcie mam ważną od wyższej władzy duchownej powierzoną mi missyą, chociaż niby tylko jako passażer zabrany do Malty podróżuję — i jeszcze ciszej mówiąc dodał: Jest do pięciuset Irlandczyków pomiędzy załogą Brytanii. — A nakoniec zupełnie cichym głosem i podnosząc oczy ku niebu rzekł: — Światło Boga tam gdzie spadać nie może jak rosa, niech się przynajmniej

wkrada jak promyk słońca pomiędzy kraty więzienne.

— Amen — rzeknie donna Fernanda, udobruchana cokolwiek. — Potem Jezuita zaraz się wziął do rozmowy, do pytań, wywiadywań.

Zygmunt zatrudniony obowiązkami swęj kommendy około masztu, który właśnie naprawiano, wrzał ze złości widząc ojca Domenico rozmawiającego cicho i długo z Fernanda.

— Jakby go tu odciągnąć od niej? Ale doskonały sposób, właśnie krzyczą ranni w wnętrzu podpomostowém, widać że są w opiekuńczych rękach lekarzy, pošlijmy do nich jezuitę — i dalejże do niego: ho! he! wielebny ojcze! tam w wnętrzu pod pomostem znajdziesz pyszne pole do rozwijania twych świątobliwości! tam jęczą chrześciance rzymsko-katolicko-apo-

stolscy ranni i oboleli. Dalej Manolo! pokaz pocziwemu księdzu drogę. Ksiądz naturalnie nie mógł udać głuchego na to wezwanie, ale też nie zdołał ukryć widocznej niechęci, i oddalając się od donny Fernandy rzucił na Zygmunta jedno z tych kołących spojrzeń, któremi pocziwe braterstwo obiecuje swym ofiarom wieczną, czułą, nieubłaganą nienawiść.

— Ha! ha! ha! ha! śmieje się widząc to młody midszipman; — oh kolego portugalski będziesz się miał z pyszna, wołałbym był Cobra Capelli udeptać na ogon, jak wzniecić nienawiść wielebnego ojca! ha! ha! jakie słodkie rzucił spojrzenie! nie dostałżeś jeszcze cholery? wyciągnij twój puginał zobacz czy ci owe oczy nie stępiły ostrza, tak jak piorun padający na paratonner! — Ale otóż nakryto i stół nasz. Proszę do śniadania.

Istotnie lokaje Lorda Hargrave nakryli stół składany, przywieziony z sobą, czystym obrusem, talerzami srebrnemi, serwisem najpyszniejszym, doskonałemi potrawami, i zastawili go winem Porto, Xeresem, i Szampańskiem.

— To nasz stół ratunkowy, umyślnie dla przyjmowania rozbitków chowany,— rzecze młody Hargrave,— czy mnie państwo przypuszczą do swego towarzystwa? jestem jeszcze naczczu dalibóg, pytał się figlarnie młody midszipman.

— Musiałeś sobie zrobić jakieś kolosalne wyobrażenie o apetycie rozbitków okrętowych, kiedy się obawiasz się z nami do stołu panie Edgardzie Hargrave! — rzecze donna Fernanda.— Do tego znów stopnia nie jesteśmy wycieńczeni— chyba et Sennor amirante, który prawdziwie swą czynnością zastanowił nas wszyst-

kich. — I znów się zapłoniła donna Fernanda, zapewne z obawy, żeby Zygmunt nie znalazł dwóznaczności w tych słowach.

I pan Zygmunt także zaplonił się i głębokiem, tęsknieniem spojrzeniem popieścił się z całą osobą Fernandy — ale nareszcie sam posadził Fernandę, duennę, midszipmana, przywitał serdecznym uściśnieniem ręki doktora Wallace, powracającego z dokonanej pracy na pokład, i napełniwszy kieliszki wstał, odkrył głowę i rzekł z godnością.

— Panowie i panie, cała załoga Maryi Stelli, i wy wszyscy tu przytomni żeglarze Brytanii! przy téj uroczystej sposobności, widząc się wybawionemi przez anglików, pierwszą kroplę wina wypić winniśmy za zdrowie króla potężnego anglików narodu. — Viva el rey Guillermo quarto! Dalej Manolo, flagę angielską na szczyt masztu, wal z armatki.

Wszyscy krzyknęli zwracając się do Rule Brytanii „niech żyje król Wilhelm IV!“ i wypili z serdecznością toast na zaszczyt wybawicieli.

Młody midszipman, ujęty do żywego tem rycerskiem objawieniem wdzięczności, wyjął chustkę białą, dał nią znak Brytanii, kazał napęłnić puhary, i zbliżając się do kranca pokładu Maryi Stelli, potężnym głosem zawolał:

— Z wdzięczności za wypite, i z taką serdecznością wzniesione zdrowie, ja Edgard Hargrave, reprezentujący tutaj marynarkę króla Wilhelma IV, wznoszę następujący toast: „niech żyje donna Isabel młoda, niewinna królowa Hiszpanii.“

I to zdrowie wypito z uniesieniem, odgłos hurrah! dał się słyszeć z pokładu Rule Brytanii, złoty lew Kastylji wzniosł się na szczyt jéj masztu, bębny uderzyły, potę-

żne działa ryknęły salwą królewską i orkiestra wojskowa na Brytanii zagrała hymn ulubiony Hiszpanii, marsz generała Riego.

„Well served Britanniah!“ rzecze do siebie Edgard zadowolony z prędkości z jaką cała jego fregata usłuchiwała głosu reprezentanta marynarki angielskiej.

Ale jedna, na pozór mała, zaszła okoliczność, niestety, dość dobrze niezauważana, nieoceniona przez pana Zygmunta. Donna Fernanda zamiast pić zdrowie donny Isabel, rzuciła swój kieliszek w morze. Donna Fernanda była karlistką, zaciętą karlistką, a w Hiszpanii wiara polityczna nie jest modą, tylko religią. Midszipmana serce rosło na odgłos dział i puzonów, najlepszego był humoru, wywierał oczywiste starania na zdobycie względów donny Fernandy, która też nie odpłacała zu-

pełną nieczułością młodemu, grzecznemu oficerowi marynarki; — często doń zwracała mowę, i nieraz serdecznie się uśmieśla z conceptów jego.

Wszystko to odbierało znów Zygmuntowi część jego spokojności, zazdrość zakradała mu się w serce.

Wtém wszedł felczer z wnętrza podpomostowego. Midszipman spytał się co robią ranni i ksiądz Domenico „Ranny w głowę po opatrzeniu odzyskał część swęj przytomności i powierzył księdzu jakiś list pisany do ksieni Norbertanek w Kadyxie, a ksiądz widząc że pieczętka opłatkowa listu odlepiła się w wilgoci, otworzył list i słuchając spowiedzi sternika najspokojniej w świecie czyta treść powierzonego mu pisma“ — rzecze bardzo kategorycznie felczer.

— Senora — czy pozwolisz odebrać list jezuicie i jego samego powiesić na maszcie? spyta wstając od stołu Zygmunt z płonąca od gniewu twarzą.

— List sama odbiorę, a z powieszeniem zatrzymamy się do jutra, odpowie śmiejąc się donna Fernanda.

— Admirale don Sigismundo! — rzecze znów w proszącym tonie młody midshipman — błagam cię o życie naszego jezuity, bądź łaskawym komendantem i nie zacieraj przyjemnych dzisiejszego dnia wrażeń żadnym wyrokiem śmierci.

Całe towarzystwo śmiało się serdecznie z ochoczości Zygmunta do wieszai, ale zbuntowany postępkiem jezuity ledwo się dał nakłonić do wybaczenia mu.

— Zreflektuj się don Sigismundo — list ten był odpieczętowany, a zresztą zapewne bardzo obojętnej treści, — rzecze

dalej Fernanda łagodząc gniew Zygmunta, choć w sercu sama potępiała księdza za postępek niezgadający się wcale z jej wyobrażeniami o nietykalności tajemnicy listowej.

— Zygmunt rzekł: — ludziom z taką skonfiskowaną fizyonomią nie wierzę nigdy, żeby Bóg wie jaką suknią nosili.

— W tém masz słuszość, i ja w miejscu mego ojca nie byłbym puścił tego ptaka na pokład — zawoła Edgard Hargrave „dla takich ludzi, podstęp, intryga i zdrada są żywiołami tak potrzebnymi do życia, jak dla mnie huk dział lub wycie uraganu. — Mam ja go z resztą na oku, i posądzam go o coś, co go może na maszt zaprowadzić — ale z tém wszystkiém zatrzymajmy się jeszcze dzisiaj — co tam robi ten kruk tak długo?

— Ho Sennorito! sternik całe życie lubił się spowiadać i kontent z gratki, robi

spowiedź ogólną z całego życia — teraz jest dopiero przy grzechach wieku niemowlęctwa — potrwa to jeszcze parę godzin nim skończy — odpowie Manolo.

— A ty urwisie — z kądze wiesz o tem?

— Przecież to mój wuj ten sternik, znam go dobrze.

— I zapewnień nie bardzo podobny do niego w tym względzie?

— Tiempos passados Sennor Alferez! Czasy to przeszłe, panie chorąży — odpowie Junga.

— Patrzcie państwo, jak cywilizacya postępuje w tym kraju! — krzyknie midszipman.

— Wkrada się razem z angielską kontrabandą do niego! — rzecze Manolo.

— No, masz piastra za ten głupi koncept Manolo „powie midszipman“ ale mi

go nie powtarzaj, bo cię każę wychłostać na pokładzie.

Podano kawę, śniadanie skończone.

— Moja missya kończy się niestety — rzekł znów pan Edgard. — Chorzy opatrzeni — zdrowi nasyceni — statek naprawiony! Pozostaje mi tylko ofiarować paniom i panu porucznikowi w imieniu lorda Hargrave miejsce na Rule Britanii, najdalej jutro raniuteńko wysadzimy ich w Kadyxie, — Maryę Stellę zaś zawlecziemy aż do ujścia Guadyany, około którego nas prowadzi droga. Zgadzaście się państwo przepędzić dzień jeden na deskach angielskich?

Zygmunt rzucił pytający wzrok na Fernandę, a ona nie spoglądając na niego, lecz idąc za własnem natchnieniem, przystaje na propozycją. Przyjmuje tedy i Zygmunt ofiarowaną sposobność dostania się do Kadyxu. Każda chwila strawiona

w towarzystwie donny Fernandy była dla niego źródłem niewyczerpaném szczęścia. Wolałby był pozostać z nią na Maryi Stelli zdaleka od zgiełku, ale jęj widać spieszo do Kadyxu „Boże! pocóż? pyta sam siebie Zygmunt — żeby się zamknąć w murach klasztornych? nie z tego nie pojmuję! ani też wiem co się ze mną stanie, całe me szczęście, ma przyszłość zależy od Fernandy. Bez nięj nie masz dla mnie życia. A ona? ona? co z sobą myśli postanowić. Po tém co zaszło czy zdoła pojąć możliwość szczęścia i przyszłości bezemnie — bez osoby — która tak ważne miejsce w jęj istności opanowała?”

Tak myślał Zygmunt, obejrzał statek, znalazł go dobrze naprawionym, i chciał się pożegnać z patronem, ale ten tak silną ogarnięty gorączką, że go nie poznaje. Sternikowi nie przerywa spowiedzi, księdzu zaś nie powiada że się oddala. Lu-

dziom załogi dał po piastrze, kazał zanieść swój tłumoczek i tłumoki niewiast na łódź midszipmana, sam zaś zbliża się do niego i mówi: „Zostawmy tu jezuitę z sternikiem, a sami płynmy na okręt, przyczepmy do niego Maryą Stellę na jak najdłuższej linie, żeby ją wody wzburzone kołami Brytannii nie zalewały, przy ujściu Guadyany pošlemy po Jezuitę. Będzie to dla niego kara zasłużona za zgwałcenie tajemnicy listu.

Bravo! i owszem! thats quite right! zasłużył on na to. — Dalej moje damy — proszę.

Fernanda lekka jak antylopa wskoczyła na łódź opierając się o rękę midszipmana, — a duenna ciężka jak moździerz, jakoś napuchła i schorzała, z wielką biedą doń się dostała. Windować ją musiał Zygmunt jak działo.

— A ksiądz Domenico? spyta młoda dama.

— Jeszcze pozostaje na statku, jeszcze nie skończył spowiedzi. Nabożny to ksiądz, lubi pełnić obowiązki swego stanu! odpowie midszypman, i rozkazuje: dalej odbijaj.

— Adios—adios Commandante! krzyczą Antonio, Jago i Manolo. „Adios buenos muchachos—adios a la gente de Ayamonte.

— Stop! stop! —ariesten se — Warten Sie! Sennores — stójcie! wrzeszczy padre Domenico, który tym czasem spostrzegł co się dzieje i dostał się na pokład.

Ale łódź już o 60 kroków—ani sposób zatrzymać ją tak rozpędzoną.

— Nie zapomniemy księdza dobrodzieja, krzyczy midszypman, nie chcieliśmy go odrywać od jego obowiązków—może

tam jeszcze jest jaki list do przeczytania.

Don Domenikowi wyrzało z każdego oka ze sto żmij i jaszczurek.

— Czy się pani bardzo litujesz nad ludźmi z takimi oczami? spyta midshipman.

— Więcej jak nad ludźmi z pięknymi oczami, odpowie uśmiechając się Fernanda, ukradkiem spojrzała w oczy Zygmunta — i znów się zapłoniła.

Biedny Zygmunt zbladł ze strachu.

— Ona mnie nie kocha! rzekł do siebie ze smutkiem.

ROZDZIAŁ V.

FIGIEL ZA FIGIEL.

Wszyscy młodzi oficerowie Brytanii w galowych sukniach marynarki angielskiej, skromnych a nadzwyczaj ozdobnych, oczekiwali łodzi przy schodach okrętowych, spuszczonej aż na zwierciadło oceanu, a pokrytych kobiercami.

Móldź to piękna! Każdy anglik wzrasta w dumnym uczuciu wielkości swego

narodu, a każdy marynarz wie, że jest jej twórcą. Oh błogie to uczucie — w niem człowiek rozwija się swobodnie i łatwo dojrzewa do doskonałości.

Przyjęto rozbitków z uszanowaniem.

— Ah! nie mylił się młody Edgard, nie przechwalił jej! — rzekli młodzi oficerowie ona jest bóstwem piękności. Córki Albionu nie są piękniejszymi.

Oh jak serce rosło Zygmunтови, gdy usłyszał te słowa i widział wrażenie sprawione wdziękami Fernandy! serce mu rosło potężniej, niż przed chwilą Edgardowi, gdy sto i ieden dział jękło na odgłos jego toastu.

W tym tryumfie piękności jakież dla jego odwagi tryumf!

Edgard prosił damy i Zygmunta na tylny kastel, to jest na kapitański pokład, i tam ich prezentował wielce zaszczytne-

mu lordowi Hargrave, kommandantowi Rule Britannii. Dostojnyto pan, wysoki, poważny i z miłą wyrazistą twarzą. Mógł mieć zaledwie czterdzieści kilka lat.

Przywitał donnę Fernandę tak, jak człowiek świata, umiejący cenić piękność i gracyę, wita kobietę — Zygmunta zaś przyjął z ujmującą grzecznością. „Winiszuję panu, młody mój kolego — twa przytomność umysłu ocaliła felukę od pewnej zagłady. Twe rozporządzenia były klassycznie dobre. — Musiałeś pan służyć w marynarce“.

— Całe życie byłem kawalerzystą milordzie, ale podróżując wiele na morzu, oswoiłem się z kaprysami tego pocziwego żywiołu, który miło i wygodnie mieć za sąsiada, rzecze Zygmunt.

— Wielką pan wyrzekłeś prawdę — bardzo wielką, rzecze milord Hargrave,

ale powiedz mi kolego czemu wołając o pomoc, użyłeś języka angielskiego?

— Kogóż łatwiej mogłem spotkać na tych wodach jeśli nie anglika lub francuza — anglik nie opuszcza nigdy swoich w potrzebie, a francuz chętnie anglików wspomóż, choćby tylko dla tego, żeby w swych dziennikach mógł chlępić się, że jeszcze raz wybawił synów *de la perfide Albion*.

Trafnie, bardzo trafnie rozumowałeś, masz i serce i odwagę i rozum — podaj mi jeszcze raz rękę młody mój kolego. — Każdy anglik szanuje ludzi tobie podobnych. — Nie prawdaż moi panowie, doda milord odwracając się do młodych oficerów.

Oficerowie potwierdzili zdanie kapitana ściskając rękę Zygmuuta.

Teraz Fernandzie rosło serce, widząc

człowieka który posiadał jej honor tak cenionym, czczonym. — Nie rozumiała o co rzecz idzie, bo istotnie od kilku godzin po pierwszy raz w swém życiu słyszała mowę angielską, ale przenikliwe serce kobiety odgadło duch tej rzeczy.

A czuwające bystre oczy Zygmunta dostrzegły wyraz dumy i ukontentowania Fernandy, i łzami zaszły; „ah! ona mnie kocha może, ona może pojmie że ja bez niej żyć nie mogę.

Milord wskazał Zygmuntowi swe mieszkanie i zaprosił go do siebie na obiad na trzeci dzwon, to jest na czwartą godzinę popołudniową. — Fernandę zaś, podawszy jej ramie, zaprowadził do kajuty honorowej rezerwowanej dla osób dostojnych, gdzie przepych Wschodu współubiegał się o pierwszeństwo z komfortem Anglii.

— Teraz wywczasuj się kolego, rzecze do Zygmunta Edgard, masz tego potrzebę, zdobywaj siły, bośmy tędzy na morzu ale i silni na winie, a ucztę u lorda Hargrave, to nie bagatela, ręczę ci.

— Dobrze, przyjacielu Edgardzie — odpowie Zygmunt — tylko mnie każ obudzić w chwili, gdy posyłać będziecie po ojca Domenica. Chciałbym przesłać feluką mały liścik do Ayamonte.

— I zabawić się fizyonomią ojca Domenika. Dobrze, będziesz obudzonym, tylko liścik przygotuj, a w siły się sposób, bo i pić i śpiewać i tańczyć musisz — Hurrah!

Nigdy jeszcze Zygmunt nie mieszkał w tak ozdobnej stancyi jak w kajucie oficerskiej Brytanii. — Obicia, kobierce, landszafty jedne piękniejsze od drugich, przytém książek i cygar hawańskich bez

liku. Napisał do portugalskiego doktora mały liścik na biórku, na którym znalazł papier wszystkich kolorów, atrament wszystkich barw, piasek wszystkich odcieni i pióra wszystkich ptaków. A potem rozebrawszy się od dni czterech po raz pierwszy, legł na wygodnej pościeli, polecił Bogu i Fernandzie swą duszę, i ululany wspomnieniami piękniejszemi jak najpiękniejsze sny swej młodości usnął i spał istotnie tak dobrze, jak niegdyś po imieninach majora, lub też sąsiada jakiego w Margajowie.

Spał sześć godzin — i midszipman już do niego wpada.

— Pół do czwartej godziny — jesteście przy ujściu Guadyany, ot daj mi list i ubieraj się — za kwan drans ujrzymy jezuitę rozjątrzonego jak jędrę.

Raz — dwa — trzy — Zygmunt ubrany

z największą starannością w ubior stosowny do okoliczności, to jest w frak czarny, adoptowany na całym świecie za suknią ceremonialną.

Jedzie i ojciec Domeniko, siedzi sobie, na pozór najspokojniej w świecie, na łodzi, i udaje że zatopiony w czytaniu brewiarza.

— Oh źle! nie chce nas uraczyć żadnem przedstawieniem paroxyzmu gniewu—oh źle! — widać że już sobie wymyślił jakiś projeceik zemsty i woli cieszyć się jej nadzieją jak rozstrzeliwać na wiatr złość swoją.

Istotnie ksiądz Domeniko wrócił na pokład w najlepszym na pozór usposobieniu, i choć mu młodzi ludzie umyślnie w drogę wlażili, udał, że nic nie widzi.

Na ten tryumf nie mógł zezwolić midshipman i spytał go się wręcz. — Cóż

mój wielebny ojcie — wieleś dusz wyprawił do nieba?

— Spowiadałem tych dobrych ludzi aż do téj prawie chwili. Jeden spowiadał się za drugim, korzystając ze sposobności — odpowie zawsze najłagodniej ksiądz Domenico.

— I zapewnie nie mając nic lepszego do robienia — dodał midszipman.

— Ej figle — figle! mój Boże! pięknie to jest być młodym, i zgrabnie młodemu pofiglować — to i ubawi i nie boli, bo pójdzie plazem. — Ale jak stary zafigluje, to jakoś niezgrabnie i okrutnie boli. Wszystko w głąb serca idzie. — Tak się wyjęzyczył ksiądz Domenico i pokazał kilka jaszczurek w oku.

— Przyjmuję wyzwanie, o dobry ojcie Domenico — tylko przedewszyskiém zwróć mi list pisany w interesie donny Fer-

nandy przez ksienią Brigitte z Ayamonte do ksieni Gertrudy w Kadyxie.

— List ten powierzonym mi został przez człowieka umierającego pod warunkiem, żebym go przeczytał, i nim według własnego mego sądu rozporządził.

— I umierający nawet nie ma prawa przypuszczania kogokolwiek bądź do nie-swojej tajemnicy, rzecz do żywego obruszony Zygmunt.

— *Anima morituri nunquam errat*, dusza umierająca nigdy się nie myli, powiedział Ś Jan Złotousty już na początku IV wieku, rzecz z namaszczeniem ksiądz Domenico.

— Mógł to powiedzieć, ale pewno w innym sensie, jak à propos wdzierania się do cudzych tajemnic. I wiem ja jak w waszych rękach prawdy najświętsze, stają się giętymi. Znam ja was dobrze o czar-ni ojcowie!

— Wiem jak ich pan znasz, kiedy tak ochoczo skazujesz ich na maszty, a zapominasz że kto mieczem wojuje, ten od miecza zginie, kto masztem szafuje ten na gałęzi skończyć może, — to rzekłszy półgłosem don Domenico das Silvas, nie czekał odpowiedzi, chyżo się zawinął i dał nurka w wnętrzu statku.

— No cóż? kategorycznie się wytłumaczył, nie prawdaż, spyta Edgard. Niech ci to nie psuje humoru don Sigismundo — chodź, zapoznam cię z memi siostrami, i ich guwernantkami.

Dwie panienczki nadobne, wesołe jak Atalanty, przechadzały się po pokładzie kapitańskim z donną Fernandą, i w najlepsze rozmawiały z nią po francuzku. Dwie guwernantki, jedna młodsza, druga starsza, towarzyszyły panienkom.

— Miss Jenny Hargrave — Miss Ara-

bella Hargrave—Signora Damiani—Mademoiselle de Montmirail — mam zaszczyt przedstawić paniom don Sigismunda mego przyjaciela. Don Sigismundo mam zaszczyt przedstawićci me siostry Miss Jen-ny Hargrave — Miss Arabelle Hargrave, Signore Damiani, i Mille Montmirail. Takim etykietalnym sposobem nastąpiły przedstawienia wzajemne, i zapoznania się zobopólne.

Pan Zygmunt do tych po angielsku, do téj po włosku, do téj po francuzku, a zawsze dobrze, stosownie i dowcipnie. — Nasz pan Zygmunt doskonale władał kilkoma językami.

— Pani tak pięknie mówi po francuzku — coraz nowe talenta, coraz nowe skarby odkrywam w pani — rzeczy Zygmunt do donny Fernandy, która na chwil

kę usiadła na kanapie i spoglądała smętnie, prawie tęskno, na Maryę Stellę zawiązającą do ujścia Guadyany.

— Jesteś pan jak owe dziecko swawolne, które kamieniem roztłucze dyament a potem delektuje się blaskiem drobnych ulamków, odpowie Fernanda. „Ale sza o tём i sza na zawsze. — Honor kochasz nad wszystko, jestem tego pewną — zdrady nie pojmujesz. Ale! powiedz! czemu drażnisz owego don Domenico? widziałam cię bardzo żywo z nim rozmawiającego.“

— Chciałem od niego wydostać ów list, który może ci być potrzebnym — rzecze Zygmunt.

— Nie lękaj się, ten człowiek wszystko zrobi, co ja każę — nie lękaj się o mnie, ale sam nie wchódź z nim w żadne zatargi, proszę cię o to don Sigismundo. — Co on dla mnie zrobi chętnie, to dla najlep-

szego z mych przyjaciół, nie dzielącego
mój wiary, nie robi za żadne pieniądze
— Przyjdzie czas kiedy lepiej zdołasz pojąć
mich słów znaczenie.

— Będę ci posłusznym — odpowie Zygmunt, ty wiedzieć powinnaś, że woli nie mam innej jak twoją, sto razy poświęciłbym ci życie — i to z rozkoszą — wszakże jego najpiękniejsze chwile tobie winienem. — Tylko na Boga, daj mi choć cokolwiek nadziei — co myślisz robić z sobą — czy pokładasz wiarę w jaką siłę mogącą rozłączyć mą istność od twojej? Nie myl się Fernando, tej siły nie masz na świecie, nie wierz w nią, bo ona wcale nie istnieje.

Donna Fernanda nic nie odpowiedziała, choć jej brwi piękne zbliżyły się do siebie i świadczyły, że pod temi łukami kryją się głębokie odmęty smutnych my-

śli. — Nic nie odpowiadała, choć oczy jęj wilgocią zaszły a twarz zbladła. W daleki widokrąg morski wzrok zatopiła, jak gdyby w nim śledziła nowych myśli, nadziei i zasobów dla tego życia, którego dawne myśli, nadzieje i zasoby wyschły pod żarem nieprzewidzianych uczuć.

— Oh ty zabójco! myślała Fernanda, co dla ciebie stało się kolebką, to jest dla mnie grobem. Czemuż ciebie nie mogę nienawidzić tak, jak niegdyś nienawidziłam mych nieprzyjaciół. Trzy lata mego życia strawiłam na obmyślaniu środków zemsty tak mi potrzebnej, a prawnie mi się należącój niegdyś! a teraz gdzież się podziła ma dawna nienawiść, to uczucie dla którego tak cierpliwie znosiłam naj-sroższe prześladowania — gdzież się podziła? zatoneęła gdzieś w nurtach oceanu!

i jakiego Oceanu? rzecze do siebie dalej Fernanda, zwracając tym razem wzrok swój w niebo, topiąc go w nieskończoności miłego lazuru, i przymrużając czule powieki, — w oceanie stokroć głębszym, stokroć zdradliwszym od tych otchłaiń kołyszących się pod memi stopami. Ah Boże! a ja o istności tego morza wyobrażenia nie miałam, jakżem go miała unikać? Co teraz z tej toni wyratować mnie zdoła? pyta siebie Fernanda. „Duma!“ odpowiedziało serce Hiszpanki.

Trzeci dzwon uderzył. Proszą do obiadu — Mylord jawi się i podaje Fernandezie ramię. Zygmunt przedstawia swoje młodej Miss Jennie.

Znów toasty — wiwaty — salwy i fanfary. Rule Britannia suwając wielkimi krokami po morzu przystraja się jak panna w dzień ślubu w swe najpiękniejsze barwy.

Po obiedzie przechadzki, rozmowy, muzyka, śpiewy i tańce na pokładzie kapitańskim. — Żaden wiatr nie wzruszał atmosfery, bieg kół kazano zwolnić by wstrząśnienie statku nie przeszkadzało tańczącym. Bawi się Brytannia, idąc na boje i bombardamenta, ale wie, że stanie na czas — i że nie wróci chyba zwyciężką — bawi się tedy z całego serca.

Wesołości! — jak czarujący — jak zarażający jest twój urok! Znikły nawet chmurki owe małe, osiadłe na świetnym czole pięknej Fernandy, i na twarzy bladej wykwitł rumieniec — na koralowych ustach uczuciem rozkoszy nabrzękłych błysnął uśmiech tak słodki jak u dziecięcia, małe ząbki uszykowane w dwa rzędy wyglądały czasem z po za tych słodkich, koralowych usteczek. — Ah, jak była piękną w ten czas! — młodzi oficerowie współ-

ubiegali się o jeden jej uśmiech — a starsi — stare psy morskie jak się sami nazywali, zdumieli patrząc na to arcydzieło natury i gniewali się, że nie pod niebem Albionu zrodzone.

— Kto tę fregatę zmusi do zdjęcia flagi, ten sobie powiedzieć może, że walne odniósł zwycięstwo — rzekł stary porucznik O! Brien, do kolegi swego, kapitana korwety pełniącego obowiązki 1go porucznika na statku.

— Tysiąc bomb i koronad! chciałbym żeby to był jaki anglik, dałbym wiele za to — żaden inny tego niegodzien, odrzekł kapitan Bullock.

Zygmunt widział to wszystko i słyszał wszystko. Nawałnica rozkoszy i smutków padła na niego, jak tumany harpij rozdzierających serce. Oparł się o bae-

lustradę, — obłok nieprzejrzały zakrył mu całe towarzystwo, ją tylko widział w świetle bengalskim jaśniejącą wszystkimi wdziękami.

Słońca zatrzymać w biegu nie mogła Brytania, ale zajaśniały od jednego razu tysiąc różnobarwnych chińskich latarni na szczytach masztów, na linach bujających w powietrzu, na drągach żaglowych, galeryach i balustradach.

Bawi się Brytania i w dzień i w nocy. Ostatnie działo wieczorne zajękło, ale teraz rozpoczyna się ogień rotowy z ręcznej broni — z butelek szampana.

Zdrowia i toasty! Damy jakoś nieznacznie zniknęły z pokładu. Ostatnia rozpoczyna się próba tęgości, jak ją pojmują anglicy. I w tej próbie Zygmunt byłby może przetrwał wszystkich innych; — już

kilku anglików pokonał, ale jakiś obłok czarny zjawił się na pokładzie, wyciągnął zdradliwą rękę ku kieliszкови Zygmunta. „niech żyje przyjaźń zawołał głos jakiś!“ — „niech żyje na zawsze“ odpowie Zygmunt, nie pytając z kąd głos ten wychodzi i kielich spełnia. — Wkrótce poczuł działanie tajemnej ręki, i widząc że mu język zaczyna chodzić w pantoflach, potoczył się do swój kajuty — i legł na łożu nierozzebrany.

Spał godzin kilka — słońce było weszło od godziny lub półtóry. Midszipman budzi go jeszcze niewytrzeźwionego, przynajmniej jeszcze niewyszłego z odurzenia.

— Kolego! chcesz z nami jechać na wypędzenie wpływów francuzkich ze wschodu?

— Nie jestem kotem — nie chcę! a potem tam w St. Jean d' Acre, w Ptolomaidzie, jak ją nazywacie, kommanderuje je-

den z moich blizkich znajomych. Nie chcę mu robić subiekcyi, doprawdy.—Zresztą gotów wam dobrze wylatać skórę, bo wiarus zawołany.

— Ho! ho! kolego, sławnego na to trzebaby szewca—nie bój się — A zatem jeżeli nie chcesz pójść z nami, to płyn sobie do Kadyxu — jesteśmy w jego zatoce od trzech godzin.

— A do tysiąca bomb. Dalej! patrz, jestem całkiem ubrany jak na wesele, nie-wiedziałem o tém. Dalej do donny Fernandy, zawiozę ją do Kadyxu.

— Ho! ho! panie bracie! na to trzeba było być czujniejszym i nie spoić się panią Cliquot, jakieś się spoił. — Donna Fernanda od dwóch godzin z niemą kobietą i z wymownym Jezuitą płynie na statku pocztowym Marsylskim ku morzu Śródziemnemu. Ot masz list od nięj — zawarła go

w liściku pisanym do mnie, w którym mi dziękuje w wyrażeniach bar....

Biedny Zygmunt padł na łóżko jak martwa massa.

— Co tobie? — Ah jak on zbladł okropnie. — Co tobie? on ją kocha! biedny Zygmuncie! to lwica Arragońska! Nie! téj nie zmiękczy twe dobre, pocziwe, proste serce. Téj trzeba wystawności, gwałtownych wstrząśnień i władzy. Dalej — powracaj do życia; — alboż to jedna kobieta na świecie?

— Pójdę za nią w pogoń — krzyczy Zygmunt.

— I to nie łatwo przyjacielu — nasz okręt zatrzymuje się dopiero w Malcie dla wrzucenia w Citta Valetta naszych kobiet — a później dąży prosto do Bejrut. Ich zaś statek stawa w Maladze — w Adra — Al-

meria — w Kartagenie — w Alikante —
 Walencyi — Tortosie — Taragonie —
 Barcelonie, — w Port Vendres, nim stanie
 w Marsylii. Musiałbyś wysłać pogoń do
 każdego z portów po dziesięciu tobie po-
 dobnych nieszczęśliwych kochanków, że-
 byś ją chciał odbić temu Domenico. —
 Szkoda! żem ci go wczoraj nie dał po-
 wiesić — nie byłby ci wypłatał tego figla;
 figielto boleśny dalibóg. Dotrzymał słowa
 chytry Jezuita.

ROZDZIAŁ VI.

PRZYJAŹŃ DOBRYCH LUDZI.

W jednym z hotelów pysznego miasta Kadyx, przy ulicy Sopranis, przebiegał szybkim krokiem obszerną stancją don Sigismundo, jęczał, płakał, szlochał i narzekał — bywało nawet czasem że kłął w niebogłósy, skoro mu pamięć starego kruka z czarną ręką na myśl przywiodła.

— Ha! on mi wydarł ten raj oddany

w me ręce przez samego Eola, Neptuna i Trytonów, on, to nędzne chuchro, którego bym mógł zgnieść jednym ściśnięciem dłoni.—Cóż ja teraz pocznę dla Boga? cel mego życia stracony, ziemia mi się usuwa z pod nóg, sklepienie nieba załamało się nad moją głową. O Fernando! odbiegłaś mnie, porwałaś mi wartość życia mego, i nie zostawiłaś żadnej nadziei, żadnej pociechy, prócz tych słów kilku:—
 „Czekaj w Kadyxie dni dziesięć listu ode mnie, przyjdzie on pocztą *poste restante*. Przeczytawszy go nie będziesz mnie obwiniał, może się nawet ulitujesz nad osobą znaną ci tylko pod przyjętym nazwiskiem Fernandy Solis.“

— A zatem niemam nawet przyjemności znać jej imienia, to musiał Jezuita podyktować jej ten lakoniczny bilet. Przytrzymać mnie tu chcą całe dni dziesięć

jak wróbla na nitce, zapewnie umyślnie
 żebym ich nie ścigał. Ale gdzież ich ścigać
 będę? Jezuici mają tyle kryjówek w świecie
 ile jest jam, pieczar, lasów, kominów, ba
 i domów, do łatwowiernych ludzi należą-
 cych. Wkradną się pod wszystkiemi posta-
 ciami—wszędzie. Nic mi tedy z niej nie
 pozostało, ani nawet jéj imię.—Co wtém,
 to już cokolwiek moja wina! miałem do-
 brą sposobność dowiedzenia się i o imie-
 niu, i wielu innych rzeczach. Wówczas
 trwogą śmierci zwalczona, całkiem mi od-
 dana, móm życiem żyjąca, móm tchnie-
 niem dysząca, byłaby mi nic nie odmówi-
 ła. To pewno! Ale któż, dla Boga, będąc
 w Edenie ma czas pytać się o jego na-
 zwisko? Tysiąc, milion—tysiąc milionów
 innych nasuwa się pytań! Nie, wówczas
 nie ma czasu ciągnąć indagacye.

— Nic mi tedy z niej nie pozostało,

tylko świat cały wspomnień uroczych, jak kwiaty, jak anioły śpiewających! Boże wielki! — życie me całe nie wystarczy na spożycie tych wspomnień, one mnie rozsadzą, zabiją, zameczą, jeżeli ich podobnemi nie będę mógł hamować — a gdzież szukać podobnych? tylko u niej, w tym samym Edenie. Któż jemu wyrówna w piękności?

Teraz pojmuje śmierć już za życia. Ah Boże! może ja sam siebie durzę, może ja już nie żyję, może ja tylko cieniem, widmem na tej ziemi.

Własną myślą strwożony Zygmunt porwał za pugiuał i zadał sobie ranę, nie wielką wprawdzie — w ramie.

— Nie — boli jednakże — widać że żyję, i po kolorze krwi widać nawet że zdrow bardzo. Ah! tą krwią list do niej

napiszę, może ją to zmiękczy. — Ale gdzież ją list szukać będzie!

Żeby też tak zniknąć i żadnego po sobie nie zostawić śladu!

Ha! ja niewdzięczny — mam przecież jej portret, mam malowidło tak starannie wykonane. Boże! dzięki ci składam rzeźwne, ah! jak jestem niewdzięczny!

Zygmunt padł na kolana z taką rzeźwnością, z taką siłą, że aż posługacz hotelu wbiegł do jego pokoju, ale widząc Zygmunta zatopionego w zachwyceniu, przeżegnał się i wzruszony, rzekł „es un santo hombre!” i cofnął się dyskretnie.

Ale mam jej portret, niestety! on już nie w moich rękach. Jednakże dostać go muszę żebym nawet miał wracać do Ayamonte. — Nie, lepiej będzie nie wracać, starajmy się sprowadzić go tutaj wraz z don Fadrykiem i z memi rzeczami. To idea doskonała! wyborna. Wysadźmy

się tylko na list jaki stosowny do okoliczności.

Lecz w jakim go mam napisać stylu? W patetycznym, tragicznym, lub melancholicznym — odpowiadającym memu położeniu? Nie — to zły sposób. Wyznać tak bez ogródki żeś zblądził, że jestem ofiarą nienawistnego losu, że żałuję za grzechy jak żak jaki? — Ojciec Fadrique nic nie postanowi bez zasięgnięcia rady u doktora, a ten poznał mnie z bliska w mą skruchę nie uwierzy, a fałszem się brzydzi, choć Portugalczyk.

Rzecz zacznijmy z mańki — jak to mówią u nas — napiszmy list dobroduszny, erudycyjny a krotochwilny, taki list lepiej trafi do przekonania.

Zygmunt wziął się natychmiast do pracy, concept mu płynął jako tako, i w krótko następujący list stanął jak dąb na pół-rkuszu papieru!

Wielebny mój Ojcze!

Pater peccavi — wyznaję to odważnie i w mej odwadze czerpię jakąś nadzieję uzyskania u was względów, drodzy moi i wielce szanowni przyjaciele. Zostawiłem wam kopię, a sam pobiegłem za oryginałem. — Ale któż mnie z oryginałem zapoznał? Wy—o drodzy przyjaciele, wy sami. — Coby była warta kopia, gdyby oryginał nie był oczarował malarza? — przyznajcież— nic wcale— albo bardzo mało, a wy przecież chcieliście mieć coś bardzo pięknego, godnego wytrzymać porównanie z obrazem Murilla. — Twórca de la Virgen concebida sin peccado przebiegł całą Andaluzję, Murcyę, Walencyę i Kastylię ścigając za swym pierwotworem, który był mężatką,— a ja pozostać miałem na miejscu, gdyście mi pokryjomu wyprawiali pierwotwór mój na morze.? — Nie,

takiego odstąpienia od raz przyjętych zwyczajów nie byłbym się ważył dopuścić, a z resztą, takie rzeczy wybaczą się w kraju, w którym don Juan, ów wielki balamut znalazł pyszny grobowiec pod chórem zakonnic. — Wino, jakie się najlepsze znalazło w Ayamonte przykuło was do kanapy, i wstrzymało od towarzyszenia pierwotworowi. Wasze własne wino było mym spółnikiem — oto rzecz cała; — i w tém tak wielkiego nie widzę grzechu. Trzeba było go nie pić tak wiele — oto rzecz cała wyjaśniona. — Szyper Massariba, jeśli tylko żyje, musiał was uwiadomić, że Eol zesłał nam wszystkie *luctantes ventos tempestatesque sonoras* razem *cum fulminibus coeli i ignibus Sancti Elmi* na Maryą Stellę i na Ocean. I to nie moja wina, spodziewam się przynajmniej, że nie podzielacie zdania Massa-

riby, który mnie posądził o autorstwo tak wielkich katastrof. Neptun zamiast wystąpić z swém *quos ego* i pogrozić Eolowi, jak niegdyś w Eneidzie, pomagał mu wraz z niezliczonym poczem Trytonów i Najad tumanić morze, jak jaki parobek najęty do młócenia. Zapomniał już swęj roli szanowny Neptun — starzeje się wi- dać— a co najgorsze, odmówił nam kuch- cika; ten uciekł z bronią i bagażami do nieprzyjaciela i zapewne nigdy nie wróci.

Póki żyć będę, nie zapomnę strachu ja- kiegom doznał; szyper znalazł mnie pra- wie umarłego, i ledwie mnie się dotrze- zwił wyborną Costaverdą, którą z prze- zorności zabrałem z sobą z altany na po- kład. Wino przewielebnego ojca winien jestem życie, niczemu innemu.—Więcie zapewne co się potem stało. Britannia

wydobyła nas tonących z połamanemi rękoma i masztami. Ale w zdradzieckim Albionie kryła się zjadliwa zmija pod postacią ojca Domenico das Silvas S. J. Ona to mnie odurzyła jakimiś czartowskiemi figlami, i uniosła z pokładu Britannii na pokład parostatku Marsylskiego mój pierwotwór wraz z jej sfinksem. Stało się to dziś rano o godzinie czwartej. Mało miałem sposobności przypatrzenia się memu pierwotworowi, bo strach, wycieńczenie, niebezpieczeństwo odebrały mi prawie całkiem wiedzę mego stanu i natchnienie malarskie; takie katastrofy pędzla nie zaostrzają.— Jednakże dostrzegłem w pierwotworze około ust, oczu, i tu i owdzie pewne drobne a ujmujące wdzięki, które dotychczas z po za kraty rozmownicy wzroku mego ujść zdołały.— Wartoby obdarzyć niemi mój obraz, wieleby się

przyczyniły do piękności jego, do wywyższenia efektu ogólnego, przytém wiem że miałeś zamiar przewielebny ojciec uczcić obraz połączanemi ramami, nawet i promieniami złotemi około głowy. Dobra to myśl bardzo — ale ja mam jeszcze lepszą. Za pomocą galwano-elektryczności można tak urządzić owe promienie, że na znak dany za pociągnięciem sznurka świecić będą jak wierutne promienie słońca, ogniem prawdziwym, a tła nie spalą, broń Boże. Oh znamy się teraz na figlach Prometeusza tak dobrze jak na fortelach Inkassów Peruwiańskich. Tylko wyobraź sobie szanowy don Fadrique efekt sprawiony takimi promieniami w części najpatetyczniejszej twego kazania. Ha niedowiarki! cudu wam jeszcze potrzeba? — fiat lux, ecce lux!

Ale na to trzeba żebyś tu sam zjechał

z malowidłem, bo przyrządów nie mało. Rozumie się że wszystko przyrządzimy w mej stancyi dość obszernej, pomieści się w niej i Madonna i S^{ta}. Agnieszka — i wy i ja. Madonny proszę jednak nie zapomnieć.

Zapewne bez tego wszystkiego byłbyś tu zjechał, wielebny don Fadrique, dla sprawdzenia ucieczki naszego pierwotworu. Teraz możesz jednym kamieniem zabić kilka wróbli na raz, sprawdzić ucieczkę pierwotworu, ozdobić kopię i pocieszyć wier-
nego przyjaciela. Post tot discrimina rerum, ja nie tak prędko puszczę się na morze; mam go po uszy, znienawidziłem sobie ocean, zbrzydziłem Trytonów, a Syreny niewidzę nawet gotowane w winie. Lądem zapewne wrócę ad rives paternos, jeżeli Bóg da wrócić. Dziwna to rzecz owa *odwaga*, na morzu jej nie mam

za trzy *maravedis*, a przecież na lądzie nigdy nie byłem tchórzem. Jeden ma odwagę wojskową, drugi cywilną — jeden morską, drugi lądową — jeden czynną, drugi bierną. Są wprawdzie ludzie, którzy posiadają wszystkie razem, ale tych kładę pomiędzy uprzywilejowane osoby, zazdrozczę im, będąc jednakże przedewszystkiem fanatycznym przyjacielem prawdy, wyznać muszę z prawdziwą boleścią serca, że do tych wyjątków nie należę.

Chciałbym, opuszczając piękny kraj hiszpański, módz sobie powiedzieć: *exegi monumentum aere perennius*, dlatego też tyle dbam o to malowidło przedstawiające S. Agnieszkę i chciałbym je wam pozostawić wykończone, *sine umbra*, a potem dopiero powiem: „*non omnis moriar, multaue pars mei vitabit Ayamontiam, usque ego postera scandem laude recens.*“

Tym czasem oczekując was obu, wielce mi szanowni przyjaciele z trudną do opisania niecierpliwością; i życząc wam szczęśliwej podróży, polecam siebie mołom waszym, a patrona i sternika opiece tak umiejętnej doktora. Oczekuję was u siebie w hotelu pana Isquierdo przy ulicy Sopranis.— Beso las manos a ustedes.

Zygmunt.

à Propos posyłam papier woskowany na pokrycie malowideł i zalecam największą staranność w ich opakowaniu.

à Propos posyłam także piękny obraz S. Antoniego dla siostr głuchoniemych. — Ryhy świętego Antoniego słuchały, będzie ten obraz dla nich dobrym kaznodzieją — rzeczy me niech mi raczą przesłać.

Trzecie à propos. W tej właśnie chwili nadchodzi wiadomość, że Jenerał Karlistowski Gomez nadciąga pod Madryt, i że

wielka w nim trwoga. Zwalono Ministerium Zea Bermudes, i powołano hrabiego Torreno na prezydenta rady ministrów. Torreno wotował w kortezach za utrzymaniem istniejących jeszcze klasztorów, teraz naturalnie mając władzę będzie mógł przeprowadzić swe życzenia. — Norbertanki zatem mogą być spokojne, i podziękować mi modłami za tę dobrą nowinę.“

Wraz z odesłaniem tego listu i paczki wielki ciężar spadł z serca pana Zygmunta, jednocześnie dał adres swój na pocztę. — Mając na co czekać, cierpliwiej znosił przykre chwile odosobnienia w mieście, w którym żadnych nie miał znajomych. Ale prawdziwa radość nie zawitała ani na chwilę w duszę jego, i już na zawsze wyschły w sercu Zygmunta błogie źródła tej naiwniej, prawie dziecinniej uciechy, która w człowieku dobrym i uczciwym nieraz

przetrwają wielkie bardzo katastrofy, wielkie straty — ale nigdy nie przetrwają głębokiego bólu razami miłości zadanego. — Szczególną to jest i bardzo zastanawiającą rzeczą, że im zdrowsza, jędrniejsza, czystsza przyroda, tém większe sprawia cierpienie ból z tego źródła pochodzący. Wątle tylko, słabe, w nic nie wierzące, a zatem niezupełne istoty nie znają go nigdy. Niestety! w naszym wieku i kraju, gdzie umysłowe niewykształcenie i zbytki zaszczepiają zepsucie w jeszcze niedorosłych młodzieńcach, żadne uczucie przyjsć nie może do swego pełnego, doskonałego rozwoju, i tym idąc torem jeszcze lat kilkanaście, nie będzie już nawet w społeczności naszej najmniejszej wiary w szczerść jakiegokolwiek uczucia szlachetnego. Są i dziś już w pewnych krajach ludzie do tego stopnia z uczuć wzniosłych wyzuci, że

całą moc, całą siłę dyalektyki wywierają na oczernienie swych bliźnich nie hołdujących jeszcze materji, — chcieliby ich widzieć zawsze potępionych i wyśmianych, za szarlatanów, lub szalbierzy uważanych. Ludzie nieprzezorni! jakżeż teorye zgułbne które rozsiewacie, ostać się mogą z dążeniem za przywilejami o które tyle dbacie? Gdyby wszyscy ludzie zarówno ubiegali się za materją, czyby kiedyś wystarczyła ziemia na ich pomieszczenie, a jej płody na zbytki? Pewno nie, spostrzeżcież się tedy na waszém zaślepieniu, umiejcież ocenić w bliźnim, czego w was już niema i przynajmniej dzieciom waszym udzielcie większe prawo do szacunku stworzeń Boga, niewyrzekających się spólnego pochodzenia, nie marnujących płochy tego, co jest najświętszém na tej ziemi.

Jednego poranku Zygmunt przecha-

dzał się smutny i zamyślony po dziedzińcu hotelu Isquierdo, i czoło swe posępne a rozgrzane nadstawiał kroplom wody, które wietrzyk poranny słał mu z wysokiej fontanny, wytryskującej w środku dziedzińca.

W tém otwierają się bramy dziedzińca i wchodzią dobrzy starzy przyjaciele z Ayamonte. — Byłato pierwsza chwila serdecznój radości dla Zygmunta; rozczulony rzucił się w objęcia starców. Łzy nawet, już od tak dawna wstrzymywane wielkiem wysileniem, rzuciły się teraz rzęście z oczów Zygmunta. Tego już dawno ci dobrzy starcy nie doświadczyli, żeby ktoś dla nich płakał; bo rzewności serca mało jest w południowcach; oni się pozbywają swych uczuć natychmiastowém ich wywarciem i nie wielkie ich chowają zasoby w sercu.

— Przepraszam was! oh wybaczcie dobrzy moi panowie, obraziłem tak dobrych ludzi, nie! nigdy sobie tego nie wybaczę. —

Dobry ksiądz szlochał i nie nie mógł mówić, ale doktor przyzwyczajony więcej do panowania nad sobą, oczy wlepił w wybladłą twarz Zygmunta i rzekł drżącym głosem: — Don Sigismundo! nie ty nas powinienes przepraszać za to żeś nas istotnie cokolwiek obraził, ale my ciebie błagać o przebaczenie za krzywdę tobie wyrządzoną. Cała wina na nas spada. — Tyś był spokojny między nami starymi jak owieczka, bawiłeś się jak dobre dziecko, — a my starzy ludzie, zapominając żeśmy przecież także kiedyś byli młodymi, pędzeni chciwością posiadania obrazu, wprowadzamy cię jak nieszczęśliwą ofiarę, gdzie? do klasztoru, gdzie żyje najpiękniejsza dziewczica Hiszpańska; każemy ci ją malować i tak nadsta-

wiamy zręcznie, żeś się koniecznie w niej musiał pokochać. — Tak pokochać — ani słowa nie mów że nie, bo ci nie uwierzymy. Pokochałeś się i to mocno nawet, może najpierwszy raz w twym życiu. Widzę ślady twych cierpień na twojej twarzy — świeży twój, tak nadobny rumieniec ustąpił z niej, może na zawsze — a my temu winni. — I oto nas masz przed sobą żałujących za grzechy i gotowych do poniesienia wszelkich ofiar dla przywrócenia cię do normalnego stanu.

— Oto nas masz, — przerywa szlochając ksiądz Fadrique — biedny, rozkochany Zygmuncie, żałujących za grzechy. — Ah ta Dalila! obrała cię z siłą jak niegdyś Samsona. Istotnie postąpiliśmy z tobą jak dwie stare gapy — wpuszczając biedną owieczkę do wilczej jamy! Boże drogi! ja otrzymawszy twój list śmiałem się do rozpuku — tak

mi się zdawał być wesołym i zabawnym. Ale doktor przeczytawszy go, potrząsał głową jak gipsowy chińczyk, i rzekł sentymentalnie: Ho! ho! ho! ho! wszystko to pachnie miłością jak kwiat kasztana — ho! ho! źleśmy się sprawili. Mądry to człowiek, nasz doktor. Wystaw sobie: szypra wyleczył, sternika wyleczył, trzy sennority, które po twoim wyjeździe zapadły na ból serca — wyleczył.

— Oddaj cesarzowi co cesarskiego — te ostatnie ksiądz wikary wyleczył, — przerwie doktor.

— Ale twemi butelkami, doda proboszcz.

— Nie potrzebował on mych butelek, — mać on....

— To nie, a siostry głuchonieme kto wyleczył? Kto? czy nie ty? Dostały serdecznego śmiechu po twym nagłym wy-

jeździe, o mało co nie przemówiły, dali-
 bóg — z podarunku twego bardzo ucieszo-
 ne, sprawiły mu lampę, i raz w tydzień,
 właśnie w dzień twego przybycia świe-
 cić mu będą od rana do późnej nocy.
 W zamian za S. Antoniego posyłają ci
 dwie ogromne marynowane ryby. — Ha!
 ha! ha! święty Antoni kaznodzieja głucho-
 niemych! ha! ha! ha! że to taka myśl do-
 tychczas innemu do głowy nie przyszła!
 Człowiek z dowcipem — to wielki dar
 Boży.

— A Norbertanki? księżę kapelanie,
 gniewają się jeszcze? spyta Zygmunt oca-
 rowany gadatliwością dobrego starca.

— Tak się gniewają, że ci pięć szkaplerzy
 wyhaftowały; dla ciebie, dla twych sióstr
 i dla twój matki i ojca, — że ci rozmarynu
 snop cały przezemnie posyłają, żeby od
 ciebie czarta odstraszył, a placuszków co
 niemiara.

— Oh! ty nie wiesz jak ciebie kochamy w Ayamonte, szczególnież od czasu jak zacząłeś głupstwa płać.

Łzy znów wystąpiły z oczu Zygmunta na te szczytną prostotą tchnące słowa.

— Oh wy dobre chrześcijańskie dusze, w litości dla błędzącego czerpiecie powody do braterskiej miłości. — Boże, nie zatrzej nigdy w mej pamięci chwili téj wspomnienia. Niech ono mnie broni na przyszłość, jeśli kiedyś świat potępiać mnie będzie niewinnego—Boże, czemuż nie jestem zrodzony w tym raju pomiędzy tak prostymi a dobrymi ludźmi! rzecze Zygmunt ściskając starców.

— Urodź się w nim! urodź Zygmuncie odpowie ksiądz Fadrique znów do rzewnych łez rozczulony. My ci wszystko ułatwiemy, a ty masz rozum, masz wolę. masz serce tak czułe i dobre.

— Ah to właśnie! jakżeż z tē m sercem można odstąpić rodziców, przyjaciół i kraju rodzinnego głosu zapomnieć.

Spojrzeli po sobie starcy, i mocno się zasępiłi. Uroczystą była ta minuta strawiona w milczeniu.

Ale w tē m otworzyły się znów bramy dziedzińca.

— Otóż nasze paki! — krzyknie don Fadrique, otoż i Madonna, i Ś. Agnieszka i rozmaryn, i ryby, i placki, i Costaverde, dobre wino starego twego przyjaciela, którym go spoileś Zygmuncie we własnej jego altanie. — Ha! ha ha! oj bałamucie. Zemszczę się i spoję cię dziś w twē m domu — Dalej na górę do twē j stancyj!

ROZDZIAŁ VII.

NOWY TOWARZYSZ.

Nasz pan Zygmunt już od tygodnia w Sewilli. Już go nic nie wstrzymywało w Kadyxie. Nowemi wdziękami ozdobił świętą Agnieszkę — w ramy ją galwanicznie pozłacane i sprychy złote oprowił — kopią swego obrazu wymalował i list oczekiwany z taką niecierpliwością otrzymał. Nakoniec i przyjaciół starych a tak dobrych rzucił. — Już od tygodnia jest znów tułaczem, wcalem znaczeniu tego

słowa, niewiedząc z pewnością za czém ściga, do czego dąży, dla czego żyje na świecie, — pędzony tęsknotą jakąś niewyraźną, smutny prawie zawsze, niby wesoły kiedy niekiedy, gdy bujną fantazyę zagrzeją jakieś wspomnienia, jakaś nadzieja, jakaś żądza przelotna.

Biedny Zygmunt! jemu życie ludzkie zdawało się być rzeczą tak łatwą do przebrnięcia, jak jego dziadowi, który na krok jeden nie oddalił się z Województwa, lub jak jego ojcu, który siejąc hreczkę, o świecie Bożym nie wiedział, a na sejmie zawsze negatywe wotował. — I tak żył dalej — idąc ślepo za popędem chwilowego natchnienia, ani chwili nie powątpiewając o tém, że gdy siły ustaną, i gdy tylko zechce wówczas bankocetle rość mu zacząć na dłoni, a stosy dukatów piętrzyć się będą w kieszeni.

Pocziwy Zygmunt — on póki był młodym i pięknym, szczęśliwym i silnym, — ani wiedział, że żyje w obecnym wieku — że życie jest zadaniem bardzo trudnem do rozwiązania, — że wkrainach zamieszkałych przez ludzi pracowitych, rezydentów nie masz.

Daléjże tedy w świat nie znany szukać nowych wrażeń, nowych przyjaciół. Ledwo się pokrzepił w ramionach starych przyjaciół już mu tęskno było za nowymi.

A w Sewilli takie pyszne muzeum malarzkie, a tyle Murillów, Velasquezów i Zurbaranów, — a warto się wydoskonalić kiedy Bóg dał talent.

— Prawda — prawda! rzekli dobrzy przyjaciele i najlepszą wiarą w świecie puścili artystę do Sewilli, prosząc go żeby pisywał i wrócił do Ayamonte na zimę, bo zima jest wszędzie — nawet wkrainach najhojniej obdarzonych przez Boga

Don Sigismundo istotnie podziwia Murille, Velasquezy i Zurbarany w Muzeum Sewilskiem zawarte; w tém malowidle podziwia oczy, w owém usta, w tamtém postawę, w inném jeszcze giest — swego ulubionego pierwotworu, swego ideału, swój Fernandy.— Inaczéj ją nazwać nie mógł,— ona mu nieubłaganie listem swym powiedziała: nazwiska mego nie znasz, ani téż imienia, mężem mym być nie możesz—rozdziela nas otchłań myśli, uczuć i stosunków,— ale o tobie myśleć będę, chociażbym nie chciała, i z oka cię nie spuszczę, chociażbyś się chciał ukrywać przedemną. Potęgę mam wielką, hoć lubo me własne siły, słabe niestety! Za dziesięć miesięcy upomnijsię o list do ciebie adresowany u mego bankiera, u Margrabiego de las Marismas w Barcellonie.

„Rozdziela nas otchłań myśli, uczući
stosunków! otchłań nas rozdziela — a ja
mniemałem, że na otchłaniach począł się
nasz nierozdzielny wieczny związek!“

Miłość własna i duma pana Zygmunta
wiele bardzo ucierpiały. On był pewnym
że się niezatartymi literami, głębokim ryl-
cem wpisał w pamięć dziewiczą młodej
kobiety, — a ona mu tu wręcz powiada:
„mężem mym być nie możesz, bo nas roz-
dzielają otchłanie, a wyrzekłeś się samo-
wolnie prawa być kochanym jako brat, —
nie goń za mną, bo tćm nic nie zyskas,
a możesz i mnie i siebie zgubić. Z resztą
nie znasz ani nazwiska, ani imienia me-
go. — Prowadź się dobrze, bo me oko cią-
gle na ciebie zwrócone, sprawuj się do-
brze, żebym się ciebie nigdy nie wstydzi-
ła. Zgłoś się do mego bankiera za dzie-
sięć miesięcy“. — „Nie! to są okropne sło-

wa—zimne jak śniegi sierry Nevady!“ zawoła Zygmunt jęcząc i wzdychając.

„Młode, a jednak nieubłagane sro-
gie, okrutne stworzenie, imponujące la-
konicznością — z kąd bierzesz tyle zimne-
go rozumu, tyle woli? Zagadkowa to rzecz
doprawdy — Panienka siedemnastolet-
nia nie powinna mieć tyle doświadcze-
nia—i żebym nie był pewnym jednej rze-
czy, zwątpiłbym dalibóg.“

Tak rozumował Zygmunt i codziennie
kilka godzin strawił w Muzeum kopijując
najpiękniejsze Murille, Valdes Lealy, Ve-
lasquezy i Zurbarany.

Zwiedzał także pyszną katedrę Sewil-
ską, jedną z najśliczniejszych pomników
gotyckich i w niej kształcił swe pojęcia
artystyczne, na maurytańskiej Giraldzie
czytał dzieje dawniej Sewilli, mając ją całą
pod nogami swemi rozesłaną, na gruzach

pałacu Iukwizycyi w Italice, z tamtej strony Guadalquiviru czerpał nadzieję, że kiedyś znikną wszystkie zapory sprzeciwiające się swobodnemu rozwojowi umysłu i serca ludzkiego, — a w klasztorku de la Caridad patrząc na pyszny pomnik wystawiony swemu zubustwionemu don Juanowi — znów marzył o swój Fernandzie, o swym pięknym, słabym a okrutnym ideale.

W tych zatrudnieniach ubiegło tygodni kilka. Tygodni kilka w życiu młodzieńca pełnego ognia i wyobraźni, to prawie wiek. Czas dla takich ludzi szybko bieży, wiele zaciera pamiątek, wiele ran goi, wiele także nowych wznieca myśli, życzeń i potrzeb.

Zygmunt nie wiedząc o tém i pominowolnie znów zatęsknił do nowych wrażeń. Oglądał się na prawo i lewo po no-

we świeże zasoby dla swęj ciągle czującej wrażliwości.

Nie długo czekał.

Zjawił się w hotelu, w którym mieszkał, młodzieniec równy jemu wiekiem, bardzo do niego podobny zewnętrznym ustrojem, a wewnętrzném usposobieniem w wielu bardzo punktach doń zbliżony.

Sir Walter Elliot, drugi syn sławnego Generala Lorda Elliot, typem był doskonałym téj młodzieży angielskiej, która urodzona w bogactwie i w klasykach wychowana, występuje dopiero w życie praktyczne po ukończeniu edukacyi uniwersyteckiej. I jak występuje w życie praktyczne? nie nękana potrzebą stworzenia sobie zawodu, lab majątku, nie nagłona do płochych zabaw długo przyduszaniem chęciami i żądzami, — lecz pędzona w świat daleki jakąś nieprzezwyćzioną

potrzebą sprawdzenia tego w świecie, co z tak wielkiem wysileniem, tak wielkim mazołem zdobytem zostało w szkołach i na ławach uniwersyteckich.

Sir Walter Elliot przykładając się zarówno do klasyków, do filozofii, do matematyki i nauk przyrodzonych, zasmakował przedewszystkiem—w historyi i literaturze romantycznój wieków ubiegłych. Sam będąc szlachetnym w sercu, rycerskim w swych popędach, zaszczerpił swe pojęcia na żyznym jeszcze choć nieuprawianym już gruncie czasów, w których honor, nieustraszoność, bohaterstwo, dawały człowiekowi prawo do szczęścia i znaczenia. W głębi serca wiedział bardzo dobrze Walter, że już minęły dla świata wieki rycerskie, że umysłowi człowieka potrzeba teraźniejszości; inne trudniejsze zakresły pole działań i rozwoju.

Ale on nie był nękany żadną materyalną potrzebą, on mógł bezkarnie poświęcić lat kilka życia swego na ubieganie się za swemi idealnemi myślami, a potem wrócić do Anglii, dać się obrać na członka Parlamentu i resztę życia strawić w usłudze swego kraju.

Tak też i zrobił. „Gdzież łatwiej znajdę sposobność dogodzenia mym „whimsical ideas“ mym dziwacznyim ideom, jak w Hiszpanii? „rzekł do siebie młody Walter, znudzony jednostajnością życia potocznego w Anglii,“ tam wszystkie rozkiełznane namiętności walczą z sobą wściekle i nieubłagane, w tym chaosie myśli i działań, pod tém boskiem niebem, pomiędzy tymi ludźmi tak żywo czującymi, tak prędko działającymi, cnota gdy się gdzie zjawi, w świetnych niezawodnie występuje barwach,—bo tam gdzie cienia

jest tyle, tam światło musi być skupione, blaskiem swym rażące.“ — I tak wyrozumowawszy sobie bardzo loicznie swe chęci i nadzieje Sir Walter, napisał list do ojca, powiedział słuzącemu swemu, staremu Lionel, że jutro z nim jedzie do Hiszpanii, żeby wszystko trzymał w pogotowiu do podróży i puścił się parostatkem pocztowym z Londynu do Kadix, z Kadix do Sewilli. I tu zapoznał Pana Zygmunta.

Szczególna rzecz! dwaj młodzieńcy spotkawszy się po raz pierwszy w galeryi obrazów w Sewilli spojrzeli na siebie, i wraz uznali zdziwionym i przyjacielskim uśmiechem, że Pan Bóg rzadko stworzył dwóch ludzi podobniejszych do siebie.

Tenże sam wzrost, górujący pomiędzy średnim, też same oczy pocziwe i śmiałe, tylko Zygmunta wyrażały więcej by-

strości, Waltera więcej rozwagi, tenże sam kolor włosów, ale Zygmunt nosił je dłuższe w bogatych spadające kłębach, a Walter je miał skromnie przycięte. — Zygmunt nosił wąsiki i starannie dbał o ich utrzymanie w postawie groźnej, — Walter wąsików nie nosił, tylko młodzieńcze faworyty ani brzytwą ani nożyczkami nie hamowane krzewiły się swobodnie około łagodnej melancholicznej twarzy jego.

Spojrzeli po sobie dwaj młodzieńcy, oczy jednego szukały w oczach drugiego sympaty i przyjaźni i znalazły ją. O piękny wieku, w którym serce niezatrute żadnym zawodem ufa sobie i w zaufaniu drugiego wiarę pokłada! — Walter zbliżył się do sztalugi Zygmunta na której oparta była jego praca. — Kopijował właśnie obraz sławny Murilla wyobrażający Świętego Józefa i dzieciątko Jezus z tuberosą w ręczce

i z tém głębokiém przyszłość swą przepowiadajacém spojrzeniem, które temu dziecku tak zdrowemu, tak lubemu dają urok zachwycający.

— Czy wolno? zapytał Walter po hiszpańsku.

— Wolno! odpowie Zygmunt po angielsku, ale bądź pan łaskawym w sądzie, pędzel kopisty nie czerpie swego natchnienia w wiecznóm źródle kolebki pierwotworu.

— Zkąd pan wiesz, że jestem anglikiem, zapyta Walter.

— Łatwo na to odpowiedzieć. — Jak widzę młodzieńca zdrowego, wyrosłego, z wyrazem młodocianej niewinności, a zarazem męskiego zastanowienia na twarzy, — wówczas jestem pewnym, że to Anglik, — choć nie wszyscy Anglicy tém się znamionują.

Zarumienił się Walter jak dziewczica.

Wielkie to szczęście mieć Anglika przyjacielem — on świętym uczuciem przyjaźni nie szafuje, przyjaźń u Anglika, to więcej jak ślub u innych.

Tydzień po tém spotkaniu w Muzeum malarskiem w Sewilli pan Zygmunt z Sir Walterem puścił się konno w towarzystwie Lionela giermka, kilku mułów noszących pakunki, przewodnika dobrze obznajmionego z miejscowością ku pasmowi gór zwanych Sierra Morena, w celu zwiedzenia jam i jaskiń rozbójniczych i natrzenia się życiu bandytów hiszpańskich tak godnych poznania, interesujących i pełnych poezji.

Kto podał tę myśl? tego doprawdy i dziś jeszcze nie wiem — czy to zimno entuzjastyczny Walter, czy też gorąco —

znudzony Zygmunt. To wiem tylko, że najmniejszego nie było wahania pomiędzy obu przyjaciółmi, że się najlepiej zgodzili na wszystkie przyrzędy, że jeden wiozł z sobą sztalugi, kartony, pędzle i pastelle dla malowania bandytów, a drugi biblie, ewangelje i traktaty religijne dla zbudowania ich.

Już tedy w drodze nasi dwaj przyjaciele, w drodze ku Sierra Morena, klasycznym gruncie rozbójników. Tam w ówczas panował i w najlepsze rozbijał sławny Navarro.

Rycerskim był rozbójnikiem Navarro, sam zawsze na czele swego hufcu, na dzielnym Andaluzy, naciera na dyliżanse i na karawany i to w pełnym ubiorze bandyty, w złotem wyszywanym мереżowym lejbi-ku, w spodniach aksamitnych, w haftowanych kamaszach.— Na głowie zaś nosił wy-

soki sombrero z piórem czerwonym powiewającym. Sam w własnej osobie naciera, nie lęka się ani escopetów furmańskich, ani karabinów dragońskich eskorty wojskowej.

Navarro jest Caballero, hidalgo i dawnym oficerem króla Ferdynanda VII.

Forma rządu mu się nie podoba — ani ta, za którą walczą Karliści, ani też konstytucyjna. Mając zaledwie lat ośmnaście służył jako oficer milicyi w wojsku liniowym Ferdynanda. Wsławił się walecznością w powstaniu czerwcowym roku 1822 w chwili, kiedy gwardye chciały zważyć konstytucyę, i zrobiły wsteczną rewolucyę. Milicye wówczas wystąpiły przeciw gwardyom i pokonały je, a król *wywdzięczając się za wierność* ozdobił przewódców orderem nowego wynalazku, później zaś wydał milicyę częstka-

mi do prowincyi i rozkazał zwolennikom swych tajemnych zamiarów prześladować oficerów ozdobionych nowym krzyżem. Navarro szykanowany przez swego zwierzchnika uniósł się wściekłym gniewem, zabił go i uciekł w góry Sierra Morena. Tutaj wkrótce został przytrzymanym przez bandytów, i zmuszonym do brania udziału w ich wyprawach, do radzenia im i do przewodniczenia.

Wystąpiwszy raz po za obręby prawa, już w nie powrócić nie mógł. Odtąd żyje w górach od lat blisko siedmnastu, — panem jest Sierry Moreny, jeszcze mu się noga ani razu nie zachwiała, łagodnie obchodzi się ze zwyciężonymi a nadzwyczajnie surowo z podwładnymi.

W całej Andaluzyi, ba nawet w całej Hiszpanii don Fortunato de Navarro ulu-

bionym był przedmiotem rozmów, anegdot i podziwian.

Tak tedy nasi dwaj przyjaciele słysząc tak często pochwały entuzyastyczne, oddawane bohaterstwu i dowcipowi don Fortunata de Navarro, postanowili go odwiedzić. Ofiarą pieniężną zjednali sobie zaufanie konduktora dyliżausów, dostarczającego bandzie Navarra proch i amunicję. Przezeń Sir Walter Elliot i pan Zygmunt napisali do pana Sierry Moreny prosząc go o posłuchanie. W tydzień potem otrzymują list pisany niewprawną ręką kobiety a treści następującój:

Sennores!

Tatka właśnie siadał na koń, i wyruszał w pole, kiedy go list państwa doszedł; polecił mi więc odpisać do panów i podziękować im bardzo serdecznie za zaszczyt, który zamierzacie domowi naszemu wyświadczyć. Tatka opuszcza z całą swą ro-

dziną na miesiący kilka Sierre Morenę i bawić będzie przez całe lato w górach swego królestwa Grenady, a mianowicie: w Elwirach, Jaranach, Alpucharrach, Newadzie a nawet w Antequerrach, tuż pod Archidona, ulubioném swém letniém siedlisku. — Puszczaj się tedy pan ku Grenadzie na Lucenę i Archidonę i na Antequerrę. W pobliżności tych miejsc zdarzy się coś, co was zawiedzie do naszego domu, gdzie z niecierpliwością jesteście wyglądani i przyjacielskiego doznacie przyjęcia. — Przepraszam za kalligrafię tego listu, ale poczta nasza właśnie odchodzi.

Polecam panów Bogu miłościwemu.

Żyćcie lat tysiąc.

Wasza życzliwa,

Jldefonsa de Navarro.

Córka króla gór i dolin Grenady
i Murcyi.

— Ha! ha! — ha! — ha! ah to wyśmieni-

te — wyborne! parsknie ze śmiechu i krzyknie pan Zygmunt — list przeczytawszy. Ha! ha! ha! Oh próżności ludzka! — ah dumo bandytowska! — córka króla gór i dolin. Donno Ildefonso! jesteś przedziwną nad wszystkie wyobrażenia. Kochany Tata opuszcza z całą swą rodziną Sierre Morenę i idzie przepędzić lato w swém ulubioném siedlisku letniém, w dobrém swém królestwie Grenady, — aby tam w najlepsze rozbijać swych poddanych. — Ale cóż ty Sir Walterze, siedzisz jak skamieniały i nawet się nie uśmiechniesz?

— Przyznam ci się szczerze, od dawnam takiego nie doświadczał zadziwienia jak doświadczam teraz, w tej chwili; — ale jako prawdziwy anglik, nie objawiam mego zadziwienia, bo *nil admirari* jest naszym godłem, rzeknie Sir Walter, nie zmieniając wcale postawy

— Nie tyle nawet zdziwiony jestem, doda po jakimś czasie, ile zgorszony. — Tyle bezczelności w tak młodej dziewczynie. To prawdziwe zgorszenie. Ona przemawia do nas jak osoba, która chwili jednej nie powątpiewała o legalności swego położenia. Rzadki to fenomen! bardzo jestem zgorszony! prawdziwie gotówem....

— Coś gotów — co? może odstąpić od wyprawy? spyta Zygmunt przełknięty.

— Oh nie! nie to — wyprawa nasza raz postanowiona przyjąć musi do skutku, — to darmo, — choćbym miał iść spotkać się z samym diablem — z resztą więcej niż kiedykolwiek ciekawość ma jest zaostrzoną. Ale gotówem namówić jakiego dobrego księdza do towarzyszenia nam, żeby im przecież otworzył oczy, tym za-

twardziałym grzesznikom. Ale wiesz, co? Mister George Borrow, missyonarz angielski, właśnie bawi nieopodal od Sewilli—w Medina Sidonia, —człowiek to świętobliwy, wymowny, wielceby mi był przydatnym w wielkiem dziele nawrócenia tych grzeszników.

— Ale daj pokój nawracaniu tym sposobem — ręczę, że Navarro jest doskonałym chrześcianinem, że ma zakupionych absolucyj na lat tysiąc i na najśmiertelniejsze grzechy.

— Biblij przynajmniej i traktatów religijnych nabiorę ze sobą mnóstwo—rzecze Sir Walter.

— Tego zabierz—ile ci się podoba—mniej nam będą zawadzać jak missyonarze i kaznodzieje. Ale kiedyż wyruszamy?

— Za trzy dni—odpowie Sir Walter

— Dobrze — krzyknie Zygmunt, ty nawracaj a ja będę malował,—i pobiegł zbierać swe pędzle, kartony i pastele.

„Co to za płochość w téj głowie, rzecze do siebie sir Walter po długim namyśle.—Co to za płochość! otoż włazi w ręce bandytów—idzie się wystawić na możliwość śmierci—i dla czego? żeby malować tych wyrzutków społeczeństwa. I ja idę w tę samą drogę — to prawda — ale zamiar mam inny, wcale inny; ja idę nawracać tych ludzi, dać im poznać ile grzeszą pozostając w swém rzemiośle.“

Tak dwaj młodzieńcy poszli jedną i tą samą drogą do tegoż samego celu; jeden wiedziony płochością, drugi przyciągany ważnym zamiarem. Tak często bywa na tym świecie niestety. Też same niedorzeczności różnemi chrzcimy nazwiskami—

często łączymy się w celach a nie w sposobach,—często też odwrotnie robimy.

Płochy Zygmunt i rozważny sir Walter działali jak dzieci.

ROZDZIAŁ VIII.

B A N D Y C I.

Z Sewilli do Luceny tylko mil ośmnaście, ale już od dni czterech pozostają w drodze nasi młodzi ludzie. Wolno podróżują—nie chcą męczyć koni, bo piękne i silne, najlepsze jakie znaleźć można było w Sewilli. Pan Zygmunt wydał połowę swego całego majątku na konia, ale też za to siedząc na nim, dumnym jest jak

Pollux, i ani chwili nie pomyśli żeby kiedyś wyschły złote źródła uncyi i moirorów.

A propos Polluxa — obaj przyjaciele spostrzegli sami, że rzadko pan Bóg stworzył dwóch ludzi podobniejszych sobie ustrojem zewnętrznym, jak Walter był do Zygmunta, — kochając się wzajemnie, a mając przytém kare ogiery bardzo do siebie podobne, i z jednego wychodzące stada, wpadli na myśl ścieśnienia jeszcze więcej węzła przyjaźni sposobami dającemi im większe jeszcze podobieństwo.

Zygmunta głowa płodniejszą była w myśli, on też pierwszy był pojął rzecz w doskonałości i zaraz w trzecim, czy czwartym dniu po zapoznaniu się z Walterem rzekł do niego:

— Słuchaj Walterze — Kastor i Pollux

byli dwaj bracia i bardzo do siebie podobni, i my także bardzo do siebie jesteśmy podobni choć z daleka od siebie rodzeni.

— To prawda, odpowie sir Walter po chwili namysłu to mnie — dziwi nie mało, do prawdy, bo mój ojciec nigdy nie był w twoim kraju.

Ale mój ojciec mógł widzieć twą matkę u wód w Niemczech. Zresztą nie zgłębiajmy tajemnic, których nie mogliśmy być świadkami. Dość, że jesteśmy bardzo do siebie podobni, na czem ty dobrze wychodzisz u sennory Punnetta, naszej gospodyni, a ja bardzo źle u sennora Punno, naszego gospodarza. Nie prawda? — Sir Walter zarumienił się jak panna, uśmiechnął bardzo mile i rzekł: pfe! panie Zygmuncie! — No! no! nie wstydz się jak lis w kurniku, mój purytanie, — ja wiem, że gadać nie lubicie o wszystkich rzeczach

jakie wam się zdarzy robić. — Ale słuchaj! ponieważ natura chciała nas stworzyć tak podobnymi do siebie, niech tedy sztuka poda jój ręce — i stańmy się jeszcze więcej do siebie podobnymi, — będziemy jak Kastor i Pollux, dwaj bliźniacy.

— Zgoda! masz rację, to myśl doskonała, nie będę potrzebował patrzeć w zwierciadło dla zobaczenia jak wyglądam — to będzie dla mnie dalibóg rzecz bardzo wygodna. Dobrze tedy, ogól wąsy, spuść włosy i będziemy sobie równi.

— Ho! panie samolubie! nie tak pojmuję fabrykację podobieństw — nie tak. Gól, strzyż! patrzaj mi. Ani golić, ani strzydz nie będę — tylko ty daj rość włosom i wąsy zapuść. Spodziewam się, że za czasów Kastora i Polluxa fryzjerów i cyrulików jeszcze nie było, — trzeba pozostać wiernym naturze. Z resztą i ja za-

puszczę faworyty dla twój przyjaźni, a tak i wilk będzie syt i owca cała—*passe moi la rhubarbe je te passerai le senné* — jak mówił Hufeland do Hippokratesa.

— Ale zlituj się! co za anachronizm! Hippokrates żył cztery wieki przed narodzeniem Chrystusa, a Hufeland żyje podobno jeszcze w Berlinie—rzecze sir Walter reflektując Zygmunta.

— To nic! przystaję na to, bylebyś nie strzygł włosów a zapuścił wąsy. — Zrób to, chociażby tylko ze wstrętu dla anachronizmów, -- i z miłości dla Sennory Punnetta. Zobaczysz, większe jeszcze będziesz miał szczęście u Sennorek.

Od téj chwili sir Walter z najpoważniejszą miną w świecie zapuszczał wąsy a Zygmunt przystrzygał je sobie, żeby nie długo na równi stanąć mogły, za co wdzięczając się sir Walter, przystrzygał

swe faworyty, nie spiesźnie rosnące u Zygmunta. I ubiorem pomimowolnie jakoś sir Walter naśladować zaczął Zygmunta; wkrótce dwaj młodzi ludzie tak do siebie stali się podobnymi, że pies wybity przez Zygmunta z zemsty napadł na Waltera i ugryzł go w nogę. Nie był z tego kontent Lionel i powiedział, że to zła przepowiednia. W jak okropny sposób miała się ziścić później!

Kastor i Pollux podróżują tedy do Luceny już od dni czterech, a podróżują wolno nie męcząc pięknych koni, przyglądając się wszystkiemu, co 20 wieków różnorodnych cywilizacyi pozostawiło na pięknej ziemi Andaluzyjskiej. Tu ruiny — tam zamki — kościoły, — żadnych jeszcze fabryk, ziemia wystarcza tu jeszcze mieszkańcom. I czemuż nie ma dziś wystarczyć, kiedy trzy wieki temu piętnaście razy większa

ludność znalazła w niej wyżywienie i sposoby przyozdobienia tego kraju do dzisiaj trwającymi zabytkami.

Stoją w Lucenie i dni kilka odpoczywają w tém piękném miasteczku. Dopytują się tutaj zřęcznie, dyskrtenie o bandę Navarry, o jego samego. — Wszyscy wielbią sprawiedliwość i ludzkość bandolera, a pod niebiosa wynoszą jego bahaterstwo — ale zresztą nikt nie wie, gdzie się teraz obraca, wątpią czyby był w bliskości, bo wszystko najciszej, najspokojniej w kraju, a gdy Navarro w nim przebywa, co dziennie nowe krążą wieści o figlach wyrządzonych bogatym i urzędnikom, o bójkach zaszłych pomiędzy bandą a wojskiem, kończących się zawsze niekorzyścią dla ostatnich. — „Wesoło u nas, gdy Navarro przebywa w okolicy, wszyscy jesteśmy uradowani, kiedy tu zje-

dzie na letnią rezydencję do gór Granadeńskich“ rzecze do naszych młodzieńców towarzyszy ich podróży, Sennor Tabarro Corregidor, sprawujący obowiązki sędziego pierwszłej instancji, i drugiego Alcaldego w mieście Luceny.

— Jakto panie Corregidorze, odpowie Sir Walter pomimowolnie zdziwiony.— Pan, osoba urzędowa i tak dostojna, cieszyć się możesz z bliskości bandyty? pojmuję, że lud niemający nic do stracenia, że księża zyskujący z łupów, dość chętnem spoglądają okiem na potężnego i dowcipnego herszta, który krwi nie lubi przelewać swawolnie, tylko naglony największą potrzebą, — ale pan, który jesteś urzędnikiem sądowym a zarazem municypalnym, niewiem jak się pogodzić zdołasz z ideą, że człowiek wykraczać może w wa-

szym kraju tak długo przeciw prawom i nie być osiągniętym.

— Panie angliku — Mylordzie i gentelmanie, odpowie znów Corregidor — znamy my tak dobrze jak i panowie potrzebę utrzymania prawa w poszanowaniu; ale spojrzycie no panowie w górę około siebie. — Co widzicie? *góry*, pasma niedostępne, a drzewem pokryte, kryjące w swém łonie tysiące pieczar, przepaści i dolin nam nawet nieznanych. Potem zaś spojrzycie nam samym w oczy — w owe ogromne czarne oczy, których dna człowiek zgłębić nie zdoła, — czy wam się zdaje, moi panowie, że takie środki, jakimi wy w płaskiej Anglii lymfatycznego gbura zdołacie utrzymać w karbach przyzwoitości, że takie środki nam tu wystarczają w bozkiej Hiszpanii, pełnej tajemnic, pełnej miejsc, których jeszcze nigdy noga ludzka nie skałała, w krainie, gdzie tyle buja i wre roz-

kielznanych namiejętności. Nie, moi panowie, ani nasze Trybunały, żeby się składały z mądrych jak Salomony sędziów, ani nasza żandarmerya, żeby nawet na pegazach, jak niegdyś don Perséo jeździła, nie zdoła utrzymać takich ludzi, w takim kraju, w *stanie*, przyjętym może bardzo samowolnie, za normalny. Dla niespokojnych umysłów, dla ludzi wyjątkowych, trzeba położenia wyjątkowego. Niechże tedy idą w górę i lasy kosztować przez lat kilka owego życia, znosić nieraz głód i największe niewygody, ściganym być prawie zawsze, a czujnym bez przestanku. Ręczyć panom mogę, że rzadko kto wydoła długo w tém życiu, choćby najlepszymi był udarowany dyspozycjami. Ot na przykład mój brat, znany dobrze panom, ten sam, który teraz jest aptekarzem i także zasiada w radzie municypalnój — ot mój brat, znać go panowie — to prawdziwy merku-

ryusz;—stworzony na bandytę, lekki, silny, wytrwały a gwałtowny jak proch angielski, a z tém wszystkiém nie mógł wytrzymać dłużej jak lat trzy rzemiosła bandyty, musiał prosić o amnestycę i wrócił do domu najspokojniejszym człowiekiem w świecie. Pocziwy don Luiz de Castaneda z Chiclany, dowódzca bandy w której służył, tak mu przytarł rogi, że mu aż teraz i to dopiero za pomocą donny Sidonii, jego żony, odrastać zaczynają. A więc moi panowie—institucya bandytów potrzebną jest w kraju, stała się złem koniecznem, tak jak wiele zakładów i instytucyj, na przykład institucya dzieł wysokich *los verdugos*, lub zakład zawodu poziomego, *las mugeres publicas*. A jeżeli się zdarzy, że przewódca bandy obdarzony jest takimi talentami, taką rzetelnością, jak nasz kochany pan Navarro, wów-

czas jest za co Bogu dziękować dalibóg,
 wówczas bandyta taki wyczyści kraj ze-
 wszystkich próżniaków, pijaków i do ni-
 czego dobrego niezdatnych ludzi łatwiej
 niż nasze trybunały; bo człowiek obłąka-
 ny, zbójca nawet, wrócić może łatwo do
 poczciwości, byleby miał jakie takie roz-
 garnienie, i nie był ogołoconym z pojęć
 o honorze. Ale człowiek nikczemny nigdy
 nie wróci do cnoty, bo o niej wyobraże-
 nia mieć nie może. Trzy lata temu za-
 trzymany zostałem przez bandę Navarra,
 i przed niego samego przyprowadzonym;
 — poznał mnie natychmiast poczciwy mój
 Fortunato i serdecznie uściskał — służy-
 liśmy kiedyś razem w milicyi. Rozmawia-
 liśmy długo ze sobą, ja o mojem zatru-
 dnieniu, on o swojem. Wiécie panowie
 co? — ten człowiek daleko więcej zrobił
 dobrego na świecie jak ja. Zgładził ze

świata przeszło dwustu pięćdziesięciu pijaków i złodziei, to jest ludzi na własną rękę przy każdej sposobności kradnących, gorszych i nikczemniejszych od samych zbójców, to rzecz pewna.—A tak moi panowie, można być bardzo sumiennym sędzią, wiernym poddanym Izabelli II, a zarazem kochać dobrego pana Navarro, którego dowcip jest nam miły, a potęga konieczną do utrzymania porządku.

— Ale jakież sposobami? jakąż procedurą Fortunato pełni owe obowiązki bociana Hiszpanii? — spyta sir Walter Elliot — sennor Corregidorze dalibóg w głowie mi się mąci, słysząc cię rozprawiającego o bandycie, jak o jakim wykonawcy wyroków sądowych.

— A takim jest w istocie don Fortunato, mój kochany sennor lordzie i gentelmanie. W trzech słowach obznajmię cię z całą procedurą. My policya krajowa chwy-

tamy jakiego hultaja, domowego złodzieja na gorącym uczynku i skazujemy go za to na tyle a tyle miesięcy, albo lat więzienia. Wysiedziawszy swoją porcyą łotr wraca do domu, rzadko bardzo poprawiony, najczęściej nawet jeszcze gorszy, bo więzienia nasze nie są na nieszczęście domami poprawy, lecz zgorszenia. Wraca łotr do domu i lubo nikt mu nie wyrzuca dawnych przestępstw lub odsiedzianej kary, złodziej niechybnie 'prawie wraca do dawnego swego zawodu, lecz przeskrobawszy nie czeka już sądu tylko ucieka w góry, spotyka w nich bandytę, łączy się z nim i wstępuje po wytrzymanych i złożonych próbach uroczyście do braterstwa bandolerów. Niaubłagana korność jest podstawą podobnych stowarzyszeń — za najmniejsze przewinienie następuje niechybnie śmierć. Takim sposobem ginie połowa

bandytów z ręki własnych spółbraci a reszta wyrabia się na ludzi pełnych charakteru, tęgich i pracowitych, i nieraz poznawszy się na nielegalności swego położenia, wraca za amnestyą między ludzi, lub téż pokryjomu, i pędzi żywot bardzo przykładny.

— A gwałty — zabójstwa popelnione na podróżnych, tak łatwo się tutaj zapominają?

— Od jednych i drugich można się zabezpieczyć płaceniem małego haraczu; prawie każdy z nas płaci go tajnym agentom i to bardzo chętnie. Zresztą zabójstwa wydarzają się rzadko i popelnione bywają najczęściej na ludziach nierozsądny opór stawiających, na znanych z zbytniej gorliwości urzędnikach, lub téż na cudzoziemcach nieopatrzonych dobrymi papierami, lub niechcących się wykupić.

— Na cudzoziemcach! słuchaj, to rzecz bardzo pocieszająca dla nas Zygmuncie — rzecze sir Walter.

— Ah bah! przy pomocy rozumnego przewodnika zawsze unikniecie nieprzyjemności, rzecze Corregidor i ceremonialnie żegna się z naszymi przyjaciółmi w Archidona, małym miasteczku, położoném arcy malowniczo na podnóżu 'pasma gór nazwanego Anteuberra.

— O błogi wpływie cywilizacyi i braterstwa! rzecze Zygmunt, składając ręce jak do modlitwy, — dziś widzimy sędziego kryminalnego mówiącego z pochwalnym uniesieniem o zbójcach i bandytach, — jutro może zobaczymy kata zalanego łzami, piszącego elegię na cześć swych wisielców. Wszakże to w Antequerra mieszka ów sentymentalny kat, który żałobę przy-

wdziewa po śmierci każdego z swych pacjentów, któremu gardło zasznurowuje.

— A tu w Antequerra o trzy mile ztąd — odpowie Matteo przewodnik. Staniemy tam wieczorem. Ah to sławny człowiek nasz Verdugo Andrea, wszyscy cudzoziemcy zwiedzają dom jego, jako wielką osobliwość. Ściany wszystkich pokoiów ozdobione są portretami pacjentów Andrei, robionemi zaraz po śmierci własną ręką tego, który ją zadał. Pod każdym portretem jest mała elegia wierszem alexandryjskim, ręką dobrego kata napisana i przez jego miłą Muzę podyktowana. Andrea mawia o swych pacjentach z głębokim szacunkiem i ze łzami w oczach. Tysiąc razy powtarza ostatnie słowa swego pacjenta i naśladuje jego ostatnie podrygi. — Nie masz w świecie kata z którym łatwiej się oswoić. Ludzie nie lękają go się wcale.

— I tak często zdarzają się exekucye śmiertelne w Antequerra miasteczku, przecież nie bardzo ludném, zaledwie 5,000 ludności mającém?

— Oh nie możemy się zalić — dość często się zdarzają — dwa, trzy i cztery razy do roku — odpowie z nieudaną zimną krwią Matteo. Poczciwy Andrea umie otoczyć wisielców taką piękną aureolą poezyi i świętości, że się nikt nie lęka szubienicy, ani nawet horki; już nie jednego nawet z swych dobrych przyjaciół na tamten świat wyprawił. Kiedyś, temu lat trzy, czy cztery, zasznurował gardło jednemu z swych kuzynów i zaraz po exekucyi napisał do jego ojca list pocieszający, w którym pod niebiosą wynosił odwagę i dobrą minę *swego ukochanego*, kuzynka okazaną w ostatnich chwilach.

— Ah to rzecz okropna! — krzyknie sir

Walter, — to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Takie zubóstwienie wisielców i wieszaków, musi się przykładać do powiększenia ich liczby. To może sidła zastawione umyślnie na ludzkość.

— Właśnie to zarzucają dobremu Andrzejowi, — przynajmniej nasz ksiądz proboszcz to utrzymuje, odpowie Matteo. Ale nasz ksiądz proboszcz nie lubi patrzeć na exekucye i może dla tego tak niesprawiedliwie osądza wuja Andrzeja.

Tymczasem droga wijąca się dotychczas pomiędzy polami i żywym płotem, zaczęła się wspinać po podnózu gór, po kamiennych gruntach, po wrzosach i pomiędzy krzakami jałowcu. Z trudnością tylko orientować się można było w téj krainie, przybierającą miejscami charakter wielkiej dzikości. Przewodnik odstępował nieraz od

głównego traktu, zaledwie ślad po sobie zostawiającego i bocznemi ścieżkami skracał przestrzeń, znów wracał do traktu i znów go rzucał. W wyższych strefach gór wegetacya bujniejszą się stawała — nie były to już krzewy i drzewa południowych krain, lecz owszem rośliny północne, drzewa iglaste, dębina najrozmaitsze kształty przybierająca, kasztany słodkie, drzewa korkowe, buki i klony. Nareszcie wszystko przybrało charakter gęstego boru, z którego tu i owdzie wyzierały olbrzymie opoki mchem porośłe. Droga stała się tak spadzistą, że z konia zsiąść trzeba było, przepaście niezmierniej głębokości groziły na prawo i na lewo, potoki szumiały w głębiach a liczne katarakty staczały się z ponad głów podróżników z niesłychanym szumem i łoskotem. Cała ziemia,

w miejscach niektórych drżała pod nogami—kiedy niekiedy głaz oderwany strumieniem wód wezbranych spadał w otchłań i tysiączne budził echa. W kilku miejscach trzeba było przekroczyć przepaść na mostku chwiejącym się w powietrzu a tak wątlm, że się ugiął pod nogami strwożonych koni.

— O Matteo — Matteo! sam przyznaj żeśmy zblądzili,—to nie może być droga zwyczajna z Archidona do Antequerra—któżby tu śmiał puszczać się konno, na mułach to co innego; muł do pełzania przyzwyczajony,—ale nie koń.

— Nie jestto zwyczajna droga, to prawda; ale nią można było dojechać dwa lata temu. Od tego czasu pogorszyła się bardzo—mosty pozrywane, lub przegniłe, i głazów jakichś mnóstwo naspadało na drogę.

— Żeby jakoś wrócić można na główny trakt, któryśmy nie wiem po co zostawili na lewo, rzecze dalej sir Walter.

— Mnie się coś zdaje, powie po cichu Zygmunt do przyjaciela, że nas Matteo umyślnie z drogi zwraca—może on w zmo-
wie z sennorem Navarro. Jeśli tak, to i owszem, i dalej rzecze głośno do przewodnika.—Słuchaj—żeby się tu gdzie dowiedzieć można o drogę. Czy tu nikt nie mieszka na tych górach?

—Bywają zamieszkałe—bywają i niezamieszkałe—nie obawiajcie się państwo—wszystko pójdzie dobrze.

Teraz wkroczone w wąwóz głęboki, który kiedyś zapewne był łożem potoku, wąwozu tego ściany porośłe były tak gęstym drzewem, że często z największą tylko trudnością przejść mogły konie pod gałęziami—często nawet należało je ści-

nać siekierą, którą na szczęście przezorny Lionel miał z sobą. Prawą ścianę wąwozu przerywało kilka pomniejszych wąwozów, także głęboko w ziemię wkraczających, jak gdyby wyschłe łoża pomniejszych rzek, ściany porośłe krzewami, a mianowicie laurem wiśniowym. Dno zaś wyłożone okrągławymi kamyczkami najrozmaitszych kolorów i połysków.

Nie daleko ujścia ostatniego z tych wąwozików do głównego wąwozu, pod bujnymi krzakami róż, oleandrów, kaprifolij i geranii siedziało na ziemi dwoje dzieci które z kolorowych kamyczków budowały zamki, kwiatkami drobniutkiemi je zdobiły, pozatykały niemi przestrzeń bielutkiego piasku—niby ogród i szpalery i mury i wieże.

Dwoje było dzieci nierównego wieku.— Jedno chłopiętko zaledwie sześćcio-letnie,

figlarne, z czerstwą piękną twarzą i oczkami śmiałemi a żywemi, — ubrane było w sandaalki, i owe krótkie a szerokie spodnie płócienne, w które tutaj ubierają dzieci. Koszulkę miało czystą, prawie wykuintną, — płaszczyk czarny leżał na ziemi a kapelusz słomiany ozdobiony świeżą girlandą stokroci, róż i bławatku pokrywał główkę czarno-włosą chłopczyka przymocowany wstążką do podbródka. — Odgłos serdeczny śmiechów tego szczonego dziecka z daleka doszedł naszych podróżnych.

Drugim dzieckiem była dziewczeczka zaledwie czternaście, najwięcej piętnaście lat licząca. I ona także skromnie była ubraną w spódniczkę żółtego surowego jedwabiu z czarnym w zęby wykrojonym szlakiem. Spódniczka wisiała bardzo mocno i malowniczo na wydatnych już biodrach,

koszulka czysta i cienka przebijała różową barwę ciała i wzdymała się dwoma młodziutkimi wdziękami na piersiach, — fartuszek służył barkom za płaszczyk, kapelusz słomiany także kwiatami ubarwiony, również przymocowany, chronił od promieni słońca główkę, i te oczy ciemne, czarnobrewne, a już tęskne choć niewiedzą za czém. W niebieskawém białku perłowém pływały te wielkie oczy, a przyémione długimi rzęsami, strzeliły na drogę, ujrzały podróżnych i na twarzy miłej, wesołej wykwitł rumieniec czarujący.

— Chodźmy — chodźmy Enriquito — uciekajmy ztąd, zawołała młoda dziewczynka, porywając chłopczyka za rękę.

— Nie, ja pójść ztąd nie chcę — ja się przypatrzę koniom — ah jak piękne te konie — a ci kawalerowie jak ładni.

— Dziewczynko — panienczko — na Boga nie odchódź, zlituj się nad biednymi podróżnymi, zabłąkanymi tu w parowie, zawoła Zygmunt, dając koniowi ostrogę.

Dziewczynka panienczka już nie ucieka. Sledzącym wzrokiem spogląda na pięknego młodzieńca, figlarnie się uśmiecha i pyta: a gdzie to pan Bóg prowadzi kawalerów po takich ścieżkach odludnych?

— Do Antequerra, aniołeczku mój miły, odpowie Zygmunt i już się wdzięczyć zaczyna do ładnego dziecka i odgadywać usiłuje wiek i stopień dojrzałości tego nadobnego stworzenia. — „Do Antequerra jedziemy aż z Sewilli.“

— Ja drogi nie znam o Caballero — ale mój ojciec zna ją doskonale — chodźcie się spytać — nie daleko ztąd jego venta!

— A kto twój ojciec?

— Ojciec mój jest strzelcem i ma małe gospodarstwo— chodźcie— poznacie go;— blisko ztąd jego Venta. Ja wam drogę wskażę.

Enriquito był już tymczasem zabrał znajomość z Walterem, śmiało z nim rozmawia, pyta go się z kąd wziął tego konia i nareszcie wprasza mu się na siodło. „Zawieziesz mnie do mego ojca na tym koniu, nieprawda? oh jak ja dawno pragnąłem jeździć na takim ładnym koniu!“

Sir Walter przystaje, Lionel podał Enriquita na konia, chłopaczek ucieszony serdeczne wydaje okrzyki.— „Foncitta— Foncitta! woła na swą siostrę Enriquito— poproś tego drugiego pana, on cię także weźmie na swego konika. Przecież się nie boisz.“

Zapłonila się Foncitta i mówić nie śmie,

tylko „fe Enriquito, jak ty natrętny, to nie ładnie.“ Zygmunt podjeżdża ku młodej panience i uczy ją, jak ma wejść na kamień i postawić swą małą nóżkę na nodze, którą wyciągnął z strzemienia ku ziemi, jak mu ma podać rękę — i potem wskoczyć na siodło, — oh będzie miejsca dosyć, on w tył się posunie. — Foncitta rumieni się i ociąga i niezręcznie udaje i nie śmie, — ale hop! już jest na siodle, już ją silne ramie Zygmunta obejmuje — Boże! ona po pierwszy raz w życiu tak obejmowaną była, — ah jak jej serce bije, i Zygmunta ręka liczy te pulsacye przez cienką koszulkę pod cudnym jabłuszkiem tak małym a okrągłym; nie, — to cytryneczka raczej.

Już w tém sercu dotychczas tak spokojnym pokoju nie będzie nigdy — już Galatea od jednego razu życiem przejęta,

wskrós przejęta, i drga w ramionach Pigmaliona marmurowa niegdyś postać.

I oko zaszło jakimś różowym nieprzejrzałym obłokiem. — mały Enriquitto śmieje się i radośny ledwie z siodła nie skoczy. Patrz Caballero jakie to błonie obszerne, tam dalej za niem w lesie — tam venta mego ojca. Dalej wypuść konia — niech galopem bieży. Dalej hop! hop! hop!.

Sir Walter bieży krótkim galopem. Za nim Zygmunt także kurec galopem, i tuli do siebie Foncittę, — ale jak ją tuli; Foncitta prawie omdlewa, piszcza w jej uszach angielskie flectiki, głowa prawie spada na piersi, ręką zasłania twarz i oczy zamruża. Drga biedaczka—nie wiem czy to ze strachu.

I to piękne błonie, na którym dziś jeszcze igrała Foncitta z stokrotkami, żółtym jaskrem, z czerwonymi goździkami

i amarantowym krwawnikiem, z dzwonką, lilią, wrzosem, bławatką, kąkolem i makówką — i to piękne błonie stało się dla niej oceanem falami wzburzonym, odmętem uczuć nigdy nie przeczuwanych, nieznanym, zasianym.

Oh! Zygmuncie! na morzu i na lądzie, pieszo i konno jesteś nierozsądnym, płochym młodzieńcem.

— Caballero! na Boga zwolnij konia — litości, w głowie mi się kręci. Nie! tak nie powinnam wracać przed oblicze ojca. Puść mnie — nie! tak mnie widzieć nie powinien. Zlituj się, i nad tobą zlituj się także — ojciec mój — to — to Sennor, to człowiek bardzo surowy.

Foncitta zsiada z konia, nie długo też potem wyrzała z lasu venta jakaś, szalas raczej dość obszerny, i z niej wyszedł na

błonie wieśniak w skórzanych, wysokich kamaszach, w aksamitnych krótkich spodniach, w skromnym lejbiku, i kapeluszu wysokim czarnym bez żadnej ozdoby.— Na twarzy bez wąsów i faworytów, regularnej i spokojnej, wyraz bystry, rozumny, cokolwiek podejrzliwy. Oko czarne pogodne, ale dość ponuremi osłonięte brwiami. Długą dubeltówkę w ręce miał ten wieśniak.

— Ojcie — papo — tatko! — patrz, ja na koniu i nic się nie boję z tym dobrym kawalerem, krzyczy Enriquitto.

— To oni! — rzecze do siebie wieśniak. — Ładne konie, piękni jeźdźcy — a jak podobni do siebie ci dwaj bracia, — a głośno powie: — cóż to panów do mnie wprowadza — czém mogę służyć.

— Dobry przyjaciela! rzecze sir Wal-

ter — zabłądziliśmy w tych wąwozach i parowach, jedziemy do Antequerra.

— Bardzoście się oddalili moi panowie od drogi. Już dziś nie możecie dojechać do Antequerra, nie wystawiając się na niebezpieczeństwo złamania karku w jakiej przepaści. Zresztą i bandyci mogą was zatrzymać. Ofiaruję wam gościnność w méj skromnej wencie — paszy jest podostatkiem dla koni — a zresztą znajdzie się i para kuropatw, może i jarząbek na wasze przyjęcie.

— Przyjmujemy — odpowie Zygmunt — po znojach, jakich dziś doświadczyliśmy, miło będzie spocząć w tém malowniczym, rozkoszném miejscu, gdzie nas tak przyjacielsko zapraszają. A cóż bracie Pollux? przyjmujemy gościnność tego zacnego człowieka.

— Zkądże wiesz, że jestem zacnym —
 pyta wieśniak, — nie znasz mnie, nigdy
 o mnie nie słyszałeś — nikt mnie tu bo-
 wiem znać nie może.

ROZDZIAŁ IX.

EDEN BANDOLERA.

W wencie strzeleckiej, to jest w obszer-
nym szałasie, podzielonym jak namiot
arabski na kilka pomniejszych oddziałów
przepierzeniem z tarnin, chrustu i gałęzi,
przy ogromném ognisku, siedzi całe to-
warzystwo, biesiaduje, pali cygara, pije
wino z kolejno obiegającą botigi i ży-
wą zabawia się rozmową. Foncitta wraz

z służącą wieśniaczką usługują towarzystwu. Rozmowa się toczy żywo, bo wielkie nowiny kraj obiegają, jednych ludzi trwożą a w drugich serca wlewają nadzieję.—W Madrycie stronnictwo umiarkowane walczyło z stronnictwem zapaleńców o władzę. Z tego wynikły bardzo głośne, krwawe nawet zaburzenia. Stronnictwo postępowe, po wytrzymaniu długich i różnorodnych natarć, ustąpić musiało umiarkowanym; ministrowie nowo obrani do tego stopnia byli zajęci wypędzeniem exaltowanych z kraju, że zapomnieli o wspólnym nieprzyjacielu, o karlistach. Gomez, tęgi generał karlistowski, umiał korzystać zręcznie z tego zaślepienia umiarkowanych, zebrał w prowincjach Baskich do pięciu tysięcy wojska po największej części nieregularnego i ruszył przez Arragonię i Kastylię na Madryt.

Wiele pomniejszych oddziałów przyłączyło się do armii Gomeza, zwłaszcza husce dowodzone przez szybkiego jak błyskawica a nieubłaganego jak tygrys Cabrera, przez zbójckiego Palillos, przez Forkadela, majora Arnau i księdza Merino.

Już stają pod Madrytem. — Wielki popłoch w tém mieście. — Nie byłoby może nawet śmiało bronić się przeciw szturmującym, ale Gomez szturmu nie przypuszcza, odstępuje od oblężenia i ciągnie ku Andaluzji. Do dziś dnia nikt nie zna właściwej przyczyny tego kroku. Gomez nie był ani zdrajcą, ani lęklwym, — może się ulitował nad biednym miastem. Dość, że odstąpił od oblężenia, i że Cabrera, Palillos, cura Merino wściekali się ze złości. Wypuścić ze szponów taką zdobycz jak Madryt — ha! tego ci wodzowie, wyszli po największej części z niskich warstw towarzystwa, darować nie mogli.

Gomez jawi się ze swém wojskiem w Manszy na stopach Sierry Moreny, prawie wszystkie jej hordy bandytów przystępują do niego. Dzielny wódz rozbija wszędzie wojska Krystyny i pędzi je przed sobą. Już jest niedaleko Korduby. W całej Andaluzji wielkie wzruszenie—gwardye narodowe w strachu, bo żaden Karlista nie wybacza gwardziście narodowemu.

Znane były te szczegóły bardzo dobrze owemu wieśniakowi z gór Antequerry, który w takiém odosobnieniu mieszkał i zdawał się nie mieć żadnych styczności ze światem. Nie mało to zdziwiło naszych dwóch przyjaciół, zresztą i sposób wysłowienia się, manieri ich gospodarza, stawiały go wysoko nad stan wieśniaka. „Będzieto zapewne jakiś axalta do prześladowany“ mówili do siebie—

ale dzieci jego wychowane w prostocie, zdają się znów nie potwierdzać tego zdania.

Mówiono o wielu krajach i ludziach — o Francyi, Anglii — o ministrach, generalach, a nawet i o bandycie Navarro. Gospodarz nie wiele o nim słyszał, — ale młodzi ludzie opisali mu go doskonale; pięknym był, wysokim — nosił wielkie wąsy bohaterskie jak Cyd, wspaniały, często nawet bardzo dowcipny. Opowiedzieli gospodarzowi co Corregidor z Luceny opowiadał o Navarro — słowem tak go zajęli Navarrem, że się doskonale tą rozmową ubawił i ciągle nowych żądał detaliów. I Foncitta także przysłuchiwała się z wielkiem zajęciem opowiadaniu, często się śmiała, lecz czasem smętnym wzrokiem spoglądała na Zygmunta, skoro ten opowiadał jaką anegdotkę z życia

Navarry i zaręczał, że żywą pała ochotą poznać go.

— Słyszałem w Lucenie o wybornym figlu, wypłatanym rok temu przez Navarra jednemu młodemu paniczowi, oficerowi gwardyi narodowej Luceńskiej, rzeczce Zygmunt.

— Opowiedz go pan — opowiedz — prosimy bardzo, nalegał gospodarz wenty. Passyami zaczynam kochać owego Navarro.

Nie dał się długo prosić Zygmunt i tak rzecz opowiedział: Ow młodzieniec, bogaty panicz, lubił nosić mundur, ale skóry swęj przed nieprzyjacielem ryzykować nie chciał. Używszy tedy intrygi i rozsypawszy cokolwiek pieniędzy, dał się wybrać na oficera gwardyi narodowej Luceńskiej i nuż sprawiać mundur, szwarcować młodociane wąsy, sanfaronować,

kląć jak wiarus i szlifować pałasz po bruku od rana do wieczora. Kto był organizatorem bankietów i zabaw patryotycznych? Don Rodolfo de monte Cobar-do — Kto najgłośniej przemawiał na klubach i zborach exaltowanych? Don Rodolfo. Kto najczulėj płakał nad klęskami trafiającemi Krystynosów? don Rodolfo. Kto nigdy nie wpadł na myśl pospieszenia na ratunek kraju? zawsze don Rodolfo.

W Lucenie mu wybaczone, bo był bogatym, a od tych wielkiej cnoty nikt się nie spodziewa. Ale słyszał o nim Navarro, może go nawet ujrzał tu owdzie w wycieczkach, a jako bocian Andaluzyi i prawdziwy Hiszpan, nie mógł mu wybaczyć tchórzostwa i sanfaronady. Zaczaja się tedy z kilkoma ludźmi i bierze don Rodolfa do niewoli właśnie w chwili, gdy

młody oficer w pełnym mundurze oficera gwardyi pędził konno do poblizkiej wsi, dla bałamucenia ładnej jakiejs wieśniaczki. — Bo był i bałamutem nasz don Rodolfo i nie źle umiał korzystać z nieobecności ojców, mężów i kochanków służących w wojsku. I o tym jego guście wiedział doskonale Sennor Navarro, a jako ojciec familii bardzo przykładny i o moralność świata dbały, postanowił ukrócić nowożytnego don Juana ochoczość do bałamucenia. — Łowi go tedy w opłotkach i wąwozach, każe mu oddać pałasz i pistolety, zdjąć szako z głowy i przywdziać długi płaszcz na resztę munduru.

— W czyjém mnie aresztujecie imieniu, mnie oficera donny Izabelli? — zapytał Rodolfo.

— W mojem własném — w imieniu Navarra, odpowie grzecznie śmiały bandy-

ta, nie wypuszczając fuzyi z ręki — Dawno życzyłem sobie poznać z blizka żołnierza tak sławnego jak ty, don Rodolfo — ale nie lękaj się, pobawimy z tobą dni parę, a potem cię puścimy, — nie ogolę ja ojczyzny z tak wielkiego zucha jak ty, o niezwalczony gwardzisto narodowy!

Cóż było robić. Don Rodolfo dał się uprowadzić gdzieś w góry. Navarro i jego rodzina nabawili się gwardyakiem do syta, a potem zaraz pierwszej niedzieli raniuténko Navarro rzekł do don Rodolfa: „Słuchaj panie oficerze! dziś parada kościelna w Lucenie, trzebaby żebyś na nią wrócił — cóż pocznie pluton gwardyi narodowej konnej bez swego dowódcy?“

— Oh prawda, prawda! odpowie don Rodolfo, żebyś wiedział jak rośnie serce córek Luceny, gdy mnie widzą w pełnem ubraniu przy wysokiem piórze na

pyszny koniu, z długim palaszem w ręce kommanderującego: — Pluton baczność! — Dyrekcyja na prawo! za broń! prezentuj broń. — Jest na co potrzeć dalibóg! Oh kochany panie Navarro, oh żal mi siebie — zlituj się, oddaj mnie mej lubej ojczyźnie! — Pareset pięknych piasstrów, ostatnie, jakie się w posiadaniu mem w gotowiznie znajdują, na twoje są rozkazy.

— O nie krzywdź mnie waleczny kapitanie, — ja nie śmiałbym ojczyźnie sprzedawać tak drogo jej obrońców. Nie! wrócę cię gratis pro Deo pięknym córkom Luceny. — Dalej jedźmy w drogę.

Jadą — don Rodolfo, Navarro i dwóch z bandy. Przybywają w pobliżkość Luceny właśnie w chwili, kiedy apel zwołujący gwardzistów narodowych bito i trąbiono w Lucenie. Spotykają na ustro-

niu dwóch ludzi zbrojnych i prowadzących pięknego wysokiego osła.

— To moi ludzie! rzecze Navarro.

— A to osieł księdza proboszcza z Luceny — znam go doskonale, sławny jest z swęj piękności w całej okolicy, rzecze don Rodolfo ze łzami w oczach; tu się ozwał patryotyzm w tęg chwili.

— Ah fe! ludzie! jakżeście śmieli skraść Proboszczowi osła, — to taki zacny człowiek. Don Rodolfo, będziesz łaskaw odprowadzić proboszczowi to biedne zwierzę, przeprosić go serdecznie za sprawione zmartwienie. Ot masz także piastra na mszę — oddaj mu go proszę.

— Z największą ochotą, kochany Senor Navarro — ah jak jesteś dobrym, zacnym człowiekiem. No adios — adios.

— Tylko chwileczkę jeszcze, mój łaskawco. Znasz mnie jako człowieka prze-

myślającego ciągle nad zmianą bytu całego człowieczeństwa,— lubiącego organizować, poprawiać, doskonalić to i owo, nieprawdaż?

— Oh znam cię z tej strony, sennor Navarro, tak jak z wielu innych również chlubnych; wiem na przykład, że jesteś religijnym, że prześladowanych księży zasłaniasz przed surowością losu, — że w żadne święto bandzie twój nie pozwalasz rozbij..., — to jest pracować na ostro, — że lubisz zabawy, że jednak najlepiej wychowujesz swoje dzieci, że prześliczną masz córkę.

— Dobrze! dobrze kochany don Rodolfo, dziękuję ci za dobrą opinię. — Wystaw sobie! pomiędzy innemi wydoskonaleniami postanowiłem podać rządowi pod rozwagę nowy projekt munduru dla gwardyi narodowej.

— Doprawdy? rzecze don Rodolfo jakimś smutnym przeczuwającym głosem.

— Istotnie! i tak zamiast szlif srebrnych, macie nosić tańsze daleko i lżejsze szlify z ogonów zajęczych, — zamiast pałasza, warzęchwie, — zamiast wysokiego szako z piórem, ślafmycę ze skóry zajęczej, — a zamiast jeździć na koniu, macie jeździć na osle i być do niego przywiązanym, żebyście nie spadli.

I mówiąc to, bandyci łapią don Rodolfa i ubranego w nowe ozdoby sadzają na osła księżego, wiążą kawalerzyście nogi pod brzuch, osłowi zdejmują uzdę i obłożwszy go wielitościwie kijami, puszczają ku miastu.

Osiel jak się kopnie ku Lucenie, — powiedziałbyś, że mu skrzydła urosły. Don Rodolfo nie puszcza grzywy ani jednej chwili, a to z bojaźni, żeby się nie przekre-

cił pod brzuch bydłęcia. — Osieł wpada na rynek, gdzie była plebania i gdzie właśnie cały garnizon zebrany stoi pod bronią i w paradnym mundurze. Wszyscy poznają w jeźdźcu don Rodolfa ubranego w skóry żąjące i przyjęto go z nieutłumionym śmiechem. Odczarowanie natychmiastowe i powszechne nastąpiło po tym widoku. — Poznano się przecież na zuchu, — zaniechano nawet od tego czasu owych częstych parad gwardyi narodowej. Na tem koniec; a cóż? nie tęgi nasz Navarro? nie wartoż znać tego genialnego a wspańiałego bandytę?

Wszystkich ubawiła anegdota opowiedziana z wielkim ogniem przez Zygmunta, ale strzelec i mały syn jego śmiali się do rozpuku.

— I cóż się stało z don Rodolsem, spyta strzelec — czy zawsze jest oficerem gwardyi?

— Ale gdzie tam! rzeczy przewodnik, okrywwszy całą gwardyę szyderstwem, musiał z niej wystąpić, — a postradawszy admiratorek względy, wyjechał do Madrytu i wstąpił do Teatru na aktora, umyślnie, żeby się nauczyć sztuki udawania różnych charakterów. Pod fałszywą postacią starego księdza, lub kogo innego, don Rodolfo postanowił wślizgnąć się do sennora Navarro i uprowadzić mu córkę, lub też przynajmniej uwieźdź.

— Ah caracho! krzyknie strzelec, a Enriquitto spyta go się naiwnie.

— Tato—tato—to może ten brzydki ksiądz Portuglski— ten Silvas, który tu był przedwczoraj — ah jak mi się nie podobał!

Zygmunt i Walter, Lionel i przewodnik pojęli rzecz od razu—gospodarzem ich był sam Navarro.

— Oh! Enriquitto—Enriquitto! tak to zdradzasz własnego ojca! rzecze Navarro ściskając swego syna czule w ramionach, — a u Foncitti biło serce i drżały powieki; ona się lękała skutków tego odkrycia.

— Tak moi panowie — jestem Navarro, ów sławny Navarro, któregoście poznać pragnęli. Żal mi was doprawdy.

— A to dla czego sennor Navarro, ufając opinii publicznej spuściliśmy się na twój honor, — należy się spodziewać, że tego nie pożałujemy. Mamy z sobą list sennory Ildefonsy, zapewnie mieliśmy zaszczyt poznać ją w osobie donny Foncitty. Ojciec odpowiedzialnym jest za słowo swęj córki.

— Co Foncitta zrobi, to jej ojciec zawsze pochwali, to doskonałe dziecko; — zresztą list ten napisała na moje polece-

nie. — Nie dla tego was żałuję, żeście w moich rękach, żeście słowu bandyty zaufali, tylko dla tego, że ani ja, ani moja rodzina nie odpowiemy wyobrażeniu romantycznemu, któreście sobie o nas zrobili. Jesteśmy, jak widzicie, bardzo prostymi ludźmi, — żyjemy sobie skromnie a po za towarzystwem tylko dla tego, że mnie towarzystwo niewinnego od siebie odtrąciło. — Ale innym razem o tem. — Dziś wesołość tylko panować powinna między nami, korzystajmy z towarzystwa ludzi honoru, a wolnych od przesądów, — nie często nas takie szczęście spotyka. Jest tutaj w bliskości jedna z owych tajemniczych dolin, o których istnieniu wiedziały tylko orły i giemzy nim ja ją odkryłem — lat temu zaledwie kilka. Tam w tej dolinie, do której tylko dwóch ludzi dotychczas zna wejście podziemne, — znała je i nieboszczka

żona moja nim ją Bóg do swęj wiecznej zabrał chwały;— tam w tej dolinie przygotowałem wam małą ucztę,— podczas niej chciałem wam się dać poznać w mej postaci romantycznej, bandyckiej,— ale nie dyskretne zapytanie Enriquitta popsło cały coup de théâtre. Feta jednak pozostała i czeka na was. Ja z Foncittą i Enriquittem pójdę naprzód. Za kwandrans przyprowadzi stary Parco resztę towarzystwa inną drogą. Do widzenia moi panowie.

Oddalił się Navarro i uprowadził za rękę Euriquita.—Foncitta jeszcze raz na Zygmunta spojrzała i poszła za swym ojcem pograć się w gąszcz lasu.

— Zrządzenie losu Boskiego sprowadziło mnie tutaj—to rzecz oczywista. Tutaj przeszłość ma miała się znów przyczepić o mą przyszłość,—tutaj miałem odzyskać nadzieję szczęścia już od dwóch długich miesięcy straconą.

Był tutaj ów ksiądz portugalski, ów padre das Silvas. Był tutaj! ach bądźmy zręczni, podstępni, chytry jak ów jezuita. Ildefonsa — ty musisz mi posłużyć do odzyskania straconego szczęścia, — tak mówił do siebie pan Zygmunt.

Stary Parco przyszedł z zapaloną latarnią i zawezwał młodzież do wzięcia z sobą płaszców.

Idą gęstym borem, ścieżkami wązkiemi, spadzistemi, często tak stromemi, że jeden drugiemu musiał podawać rękę, lub pełzać po okopach. Długo ta droga trwała, — z godzinę. Ciemno było w lesie okropnie. Gęste drzewa i gałęzie nie przepuszczały blasku gwiazd. Czasem tylko światło latarni zaleciało na opokę sterczącą jak widmo w pomroku nocnym. — Szumiały na prawo i lewo potoki, sowy przeraźliwie wyły. Dalibóg, trzeba było mieć odwagę

by nie zadrzeć w tych starych zapomnianych siedzibach Fauna, Dryadów i Hamadryadów. Nareszcie stają u spodu jakiejś olbrzymiej ściany skalistej, której szczytu ani odgadnąć nie mogę. Stary nasz przewodnik po ścianie znajduje sznureczek i doń przywiązuje pierścień jakiś, potem zaś kilka razy za sznureczek targa. Pierścień uniesiony został w górę — potem za kilka minut po windach na grubiej linie spuściła się deska, na której dwóch ludzi znaleźć mogło miejsce. — Dalej młodzi panowie stańcie na desce, uchwycie się silnie lin i zamknijcie oczy. — Znow dano znaki i tarcica powoli wznosi się w górę. Trwała ta podróż nadpowietrzna minut kilka. Zatrzymuje się winda. — Zsiadajcie moi panowie, mówi Navarro — i zstępujcie za mną tylko ostrożnie — wszędzie tu przepaści. Trzymajcie się tego drążka. — Po-

dróż z góry dłużej daleko trwała, jak podróż pod górę. Gdzieniegdzie wyrąbano kilka stopni w twardym głazie. Po wielkich trudach Navarro, Zygmunt i sir Walter stawają w dolinie, której rozmiarów ocenić nie można było, noc bowiem była ciemna. Ale, że pełno w niej kwitło kwiatów, pełno krzewów, to wykazywała aromatyczna woń, więziona w głębokiej kolumnie atmosfery.

— Jeszcze tylko kwadransik zabawić tutaj—słowik tymczasem nucący nad waszemi głowy, będzie mnie zastępował, a jeśli on śpiewać przestanie, wówczas tej kaskady chłód i szmer da wam cierpliwość.

W kwadrans przybył Navarro i zaprosił młodzieńców do miejsca jakiegoś, na którego wysokiem sklepieniu wisiała lampa i niebieskie rzuciła światło.

Była to ogromna, ręką natury w skale

wydrążona pieczara, ściany jej zasłaniały pyszne firanki jedwabne z gustem w festonach pozawieszane. Na ziemi przykrytej kobiercem stały siedzenia, na stoliku kandelabr z kilku świecami.

— Enriquito! pozostań tu z panami, baw ich i na znak umówiony poproś ich do doliny — rzekł Navarro, pokłonił się gościom, wyszedł i zasłonił za sobą jak mógł najszczelniej wnijsie do pieczary. Enriquito, warto wiedzieć, ubrany był w pyszny strój paziowski, błyszczący haftami, a na głowie miał beret z piórem strusim dumnie powiewającym. Zostawiony z gośćmi pobiegł do sir Waltera i usiadł mu na kolanach, — tulił się doń, jak do dawnego znajomego.

— Kochasz widzę bardzo tego pana, zapewne za konika, na którym cię przewiózł, — zapyta Zygmunt.

— I za konika i tak z natury—odpowie naiwnie chłopczyk — spoglądając się serdecznie w poczciwe oczy Waltera.

— Lepiej go kochasz jak owego brzydkiego Portugalczyka, tego padre Silvas — pyta dalej Zygmunt.

— Oh! tego wcale nie kocham, choć mi przywiózł ładne obrazki i często mnie całował. Ja go się bałem,—odpowie Enriquito.

— A przecież i on młody?

— On młody?—on tak stary jak Parco, ale nie tak dobry. Parco ojcu nieraz pieniądze przynosi, a ten czarny Silvas ojcu pieniądze odebrał.

— Ojciec mu dał pieniędzy, a wiele?

— Oh wiele, może ze sto pieniędzy.

— Białych, czy żółtych?—

— O to wiem—białych i wielkich.—

— I długo bawił z ojcem?

— Bawił dzień cały i tatkę łajał, bo tatko aż płakał—i wyprowadził tatkę do lasu i tam usiadł na murawie i tatka ukląkł przed nim i coś mu do ucha mówił długo — długo, a potem w rękę go całował i jeszcze coś od tatki chciał wytargować, ale tatko płakał i przepraszał i więcej pieniędzy nie dał, tylko list napisał jakiś na małym czerwonym papierze. Dalej hop! hop! hop! pojedziem jutro na koniku? jutro?

— To ty nie często jeździsz konno? pyta zawsze natrętnie Zygmunt.

— Nie, tu nie jeżdżę — w tamtych górach to jeżdżę na kucyku i bawię się z dziećmi, ale tu nie ma dzieci.

— A z twą siostrą rozmawiał padre Silvas?

— Oh rozmawiał—ona także klęczała i do ucha mówiła mu jakieś sekreta.

hop! hop! hop! ale ja wiem co mówiła —, wiem, choć tak ukrywano przedemną
hop! hop! dalej galopem teraz.

— I cóż mówiła?

— Ha! ha! ha! teraz dobrze, teraz tego.

— Co ty gadasz Enriquito? Co mówiła twa siostra?

— Mówiła tak: o święty ojczy, przysięgam, że nalegać będę na ojca, — wyblagam, bo on mnie kocha bardzo. — Teraz cokolwiek klusem! dalej! traf! traf! traf! traf.

I wiem co miała wyprosić, oh wiem dobrze. Bo potem tata kazał zarznąć biednego Miknisa i zjadł go ten brzydki Silvas. Buah! nie cierpię tego starego portugalczyka, zjadł mi takie ładne koźlę. Caramba punetero!

— Więc rzecz cała szła o Mikmisa?

— A, bo to nie dosyć. Mikmis był tak piękny, tak ładnie skakał po polu, a pieniądze wziął może ze sto i tatę wyłajał i Foncitę wyłajał i Parka chciał łajać, ale ten się nie dał — oho! Parko nazywał go krukiem i groził mu gałęzią.

Wtém luna jakaś zabłysła za kotarą i huk tysięczném echem powtórzony dał się słyszeć.

— Teraz możemy wyjść rzecze Enriquitto i wyskakuje z jaskini. Kurtyna się podnosi — cała dolina w świetle, jej zarysy występują w wyraźnych kształtach: tysiące latarni buja na gałęziach, buja w przepaściach i wieńczy szczyty opok sterczących na okolo. Nad kaskadą z szumem spadającą sztuczny Wezuwiusz wyrzuca snopy ognia wysoko w powietrze, drżą opoki pod odgłosem grzmotów, wody kaskady przemieniły się w rozżarzoną

ławę, w purpurowy potok; i pryskają rozognionemi kroplami, a nad brzegiem tego potoku na murawie pomiędzy kwiatami brzmia gitary, tętnią kastaniety i tańczą andaluzyjskie dziewice, przybrane w świetne kolory a iskrzące ozdobami złotemi. Na ich czele w białej srebrem nakrapianej sukni, w królewskim diademie, tańczy Caciuci donna Ildefonsa, królewna gór i jaskiń Murcyi i Grenady.

Wspaniały ją otacza orszak. Kilka kobiet w strojach dworskich różnych mód i wieków, i mężczyzn ze trzydziestu świetniejących w bogatych sukniach najrozmaitszego kształtu, kraju i kolorów, w mundurach dworskich, w jeneralskich, admiralskich, w togach, i haftowanych płaszczach.

Sam Sennor Navarro przyjmuje gości z uśmiechem na dostojném obliczu, w peł-

nym ubiorze kawalera złotego runa, z brylantowemi insygniami na piersiach, w purpurowym płaszczu dumnie zawieszonym na barkach.

— Otóż król gór i jaskiń w swym Edenie! rzecze Navarro.

— Winszujemy waszłej królewskiej Mości rzecze, kłaniając się głęboko Zygmunt, nie jedenby ci pozazdrościł księżę, widząc te insygnia na twych piersiach.

— Te mi zostawił dobry Godoy, książe pokoju, w puściźnie. Skradł mu je własny jego sługa, ten stary Parco, któregoście już poznali. Stoi tam właśnie w todze karmazynowój, gronostajami podbitój. Nie wiem co to za ubior, dla tego też jeszcze Parco nie ma stałego dworskiego tytułu. Człowiek jest, ubiór jest, tylko tytułu jeszcze nie ma. Nie wiecie państwo jakato godność przywiązana do tego stroju?

— Tylko prezes sądu kryminalnego nosi taką togę w Madrycie, odpowie sir Walter znający się doskonale na znaczeniu świetnych sukni.

— Bogu dzięki że wiem. Parko chodź tutaj, mianuję cie mym prezesem sądu kryminalnego, już nosisz jego dostojne szaty.—Panie królu Dobrodzieju! na miłość Boga, ja trzy razy na śmierć skazany przez sąd kryminalny, chcąc pełnić obowiązki nowęj godności musiałbym zacząć od powieszenia siebie samego natychmiast.

— Ułaskawiam cię po raz pierwszy, drugi i trzeci,—sam cię powieszę, kiedy tego będzie potrzeba, wierny mój sługo.

— Niech żyje król Navarro! krzyknęli dworzanie, działa rykły, faufary zajęczały.

— Jeszcze jednego mam ptaka, którego piór nie znam, rzecze Navarro.— Patrzcie panowie ten wysoki chudy, z wielkimi wąsami czerwonymi, wygląda jak chart apportujący wiewiórkę.

— Ten sam co ubrany w spodnie amarantowe, w frak siny jak szczupak i w kapelusz galonowany z zielonem strusim piórem?

— Ten sam, — ten sam.— Powiedźcie mi panowie co to za mundur taki, czy też liberya. Odebraliśmy ją przeszłego roku jakiemuś cudzoziemcowi podróżującemu za armią Karlistów.

— To jakoś zupełnie zakrawa na mundur generała cudzoziemskiego.

— Carajo! jak się to dziwnie zdarza! nie masz w całej bandzie większego tchórze a zarazem okrutnika jak Pablo, ten tam, który teraz ów mundur nosi, — a rę-

czę jednakże, żeby mu obrzydł, gdyby wiedział jakiego to ptaka pióra.

Tak się tedy wesoło bawili bandyci w tym nieznanym zakątku ziemi, — choć na chwilę nie wychodzili z granic przyzwoitości. Nie jeden z tych ludzi wychowany od dzieciństwa w srogiem rzemiośle nie przypuszczał, żeby ktokolwiek w świecie mógł być tak szczęśliwym, jak bandolero króla Navarro w swym Edenie. — Wino nawet, którem hojnie częstowano towarzystwo, nie ośmieliło tu żadnego z surowych ludzi do nieprzyzwoitości w mowie, lub czynie. Przytomność dowódcy imponującego i jego niewinnej córki powściąga wszystkie złe instynkta. Jedni tańczyli, drudzy rozmawiali, inni jeszcze w karty grali, wszyscy prawie śmieli się z rozlicznych conceptów i z własnych figur. Niektórzy grali zacię-

cie w kości lub karty, i o dość wielkie summy, sprzeczek atoli żadnych nie było.

Zygmunt przypatrzywszy się wszystkim cudom Edenu Bandolerów dał się porwać ogólnej wesołości, zaprosił Foncittę do tańca i dowiódł tuzinem fandangów i bollerów, że cudzoziemiec zdoła pojąć ducha tańców hiszpańskich.

Wielkie ztąd zadziwienie pomiędzy uczestnikami i wielka także sympatya dla cudzoziemca tak wtajemniczonego w tańce hiszpańskie. Foncitta zachwycona, okazała z niego nie spuszcza. Zygmunt umiał korzystać zręcznie bardzo z sposobności, nawet z miejsca i całkiem zajął serce młodej dziewczyny, która po raz pierwszy w swym życiu widziała młodzieńca tak porywającego, tak miłego. W cieniu bzów i geranii rozmawiali z sobą nie postrzeżeni. Ona wołała słuchać jak mówić i z wielką

odpowiadała ostrożnością na wszystkie pytania, — on to postrzegł i poskromił w sobie dręczącą ciekawość z bojaźni żeby nie zbudzić ciągle czuwającój podejrzliwości Foncitty. Cekał lepszej jeszcze sposobności; bawił się wesoło z bandytami, nie jednę przysłuchiwał się powiastce o walecznie rozbitych łbach, o dowcipnie wykradzionych summach i znów wracał do tańca-pijąc i hulając. — I tym sposobem potrafił zupełnie uśpić podejrzliwość Navarra, który wdał się w długą rozmowę z anglikiem, zaczynającym tutaj swe dzieło nawracania. Zygmunt zaczął inne dzieło.

Wiele lamp zgasło — i cienie znów zaległy altanę, krzaki i pieczary. Nie wiele mówiąc z Foncittą o miłości, potrafił Zygmunt korzystać z chwil wzruszenia, z uczuć tańcem rozbujanych, i z niedoświadczenia młodej dziewczyny.

Posiadł ją całkiem przy chucznym odgłosie wiwatów strasznej bandy Navarra.

— Ah! Boże drogi! mówiła Foncitta zapłakana.—Ja cię dziś kocham, a ledwo przed kilku dniami przyrzekłam odkupić ojca mego duszę wstąpieniem do klasztoru—ah ja nieszczęśliwa.

Aha! pomyślił sobie Zygmunt—tu nie szło o życie koziołka, ale o duszę samego pana Navaro. Dalej, nie zapomniéjmy się, nie wpadajmy więcéj w błędy młodości, nie lękajmy się być niedyskretne-mi, kiedyśmy się już stali do tego stopnia niedelikatni.

— Co? droga Ildesonso—co? tyś obiecała wstąpić do klasztoru?— ah czemuś mi tego nie powiedziała niebogo!

— Ah czy ja czas miałam to ci powiedzieć—tyś tak prosił, a ja cię tak ko-

chałam od pierwszej chwili—i nie wiedziałam do czego to prowadzić może.

— Słuchaj drogi aniele — nie rozpaczaj, wszystko jeszcze odstać się musi. A któremuż księdzu dałaś przyrzeczenie? może niesolenne?

— Niestety! bardzo solenne. Przyrzekłam jakiemuś bardzo poważanemu księdzu.—Sam tatko mi mówił, że to świętobliwy bardzo człowiek.

— Zapewnie temu portugalskiemu Silvas, o którym wspomniał tak niedyskretnie mały Henryk.

— Temu właśnie, o Boże!

— Nie rozpaczaj aniele. Trzeba będzie wycofać od niego to przyrzeczenie. On taki dobry, a ja mam pieniądze. Gdzie mieszka ten dobry ksiądz, zapewne w Antequerra.

— Oh nie — on mieszka daleko — tam aż w Grenadzie.

— I do Grenady nie tak zbyt daleko. I gdzie mieszka, zapewne u jakiego innego księdza.

— Oh nie — on się sam ukrywa, bo jest prześladowanym. Mieszka u jakiejś dobrej wdowy, trzymającej dom Pupillów, gdzieś w bliskości jakiegoś starego pałacu Maurów.

— W bliskości Alhambry może? spyta dalej Zygmunt.

— Tak podobno — tak nazwał ten pałac.

— I kiedy tu wróci dobry Padre Silvas — Domenico Silvas, wszakże tak się nazywa?

— Domenico Silvas — ah on dopiero za sześć miesięcy wrócić obiecał.

— Tak długo czekać nie możemy — nieprawdaż?

— Ah nie sposób, — jabym się na śmierć zagryzła, gdyby gniew nieba ciążył tak długo na mnie.

— Nie obawiaj się aniele — nie obawiaj — bądź dobrej myśli — łzy otrzyj z twych pięknych oczu i chodź tańczyć kaciucę, jeśli możesz. A bądź wesołą — bo oczy ojca twego są na ciebie zwrócone.

ROZDZIAŁ X.

U P I Ó R.

Co tylko Andaluskie ogiery wyskoczyć mogły, biegł Zygmunt z sir Walterem ku Granadzie.

— Czyś oszalał Zygmuncie? zlituj się nad biednemi końmi — czy je chcesz zamęczyć od jednego razu — patrz, gdzie pozostał Lionel z mułami? Czy cię diabeł pędzi, czyś oszalał?

— Nie diabeł mnie pędzi — lecz raczěj przyciąga. Wszystkiego się dowiesz — wszystkiego, tylko proszę cię bądźmy w Grenadzie przed nocą. Patrz na tę wysoką górę — ah to już sitio del Moro.

— Od trzech dni obiecujesz mi rozwiązać tę zagadkę, — chcesz mi powierzyć jakąś tajemnicę, a ledwie mówić zaczynasz, gdy cię napadają jakieś skrupuły. Sam przyznaj, że położenie me jest dziwne — Kaprysom twym służyć muszę jak niewolnik, a nie znam ich źródła ni przyczyny.

— Oh! wybacz mi dobry Sir Walte-rze, wybacz. Krępują mnie względy — krępuje mnie słowo dane osobie, którą nad życie kocham, pod której urokami pozostaję od miesięcy czterech. Ona mnie opuściła namówiona przez Jezuitę padre

Silvas, już temu przeszło dwa miesiące — i ślad swój starała się zatrzeć, — a tu w górach Antequerra u Navarra ślad tego Jezuity przypadkiem znalazłem. Znajduje się w Granadzie — zapewne z nią — z Fernandą. Pojmujesz teraz mój pospiech?

— Pojmuje — pojmuje teraz. Więc jesteś zakochany — i nic mi dotąd o tem nie mówiłeś, nie zwierzyłeś się przyjacielowi, któryby tak chętnie był goił twe rany.

— Goiłeś je drogi sir Walterze, goiłeś, nie wiedząc ile mi dobrego twém towarzystwem wyświadczasz. — Względy dla osoby, która męki mej i nieszczęścia jest sprawczynią, nie pozwalały im szukać pociechy w zwierzeniu, w przelaniu mych wzburzonych uczuć z jednego serca w drugie. Kocham z zapalem, choć bez nadziei

prawie,—ale dopóki jest życie, tak długo trwać powinna ma nadzieja. Nic nie masz okropniejszego jak pałać miłością dla osoby, która potrafiła zatrzeć wszystkie ślady swój istności. Ja w tém jestem położeniu. Wolałbym prawie kochać się we wspomnieniu zostawioném mi przez osobę umarłą. Nikt pojąć nie zdoła ile cierpię—obraz jęj mnie nie odstępuye ani na chwilę, zwierzyć się nie mogę nikomu z powodami mych cierpień—á ona sama obraca się Bóg wie gdzie. Nazwiska jęj, imienia nawet nie znam.

— Teraz pojmuje twoe cierpienia Zygmuncie, pojmuje! Tak — masz słuszość — kochasz się w obrazie, którego pierwotwór błąka się po świecie i nieznanym ci jest zupełnie z nazwiska, to rzecz okropna. Przyznaje to. Ale nie wiedziałem, że serce twoe tak zapalne jak

wyobraźnia. Nie jednemu zdarzy się pokochać w ideale przechodnim — a przecież nie traci tém życia, ani je trawi na ściganie go.

—Przechodni ideał — mylisz się. Ja z tą kobietą spędziłem najwspanialsze chwile jej życia. Nie pytaj więcę, uwierz i zlituj się nademną. Ty jedynie pojąć mnie zdołasz — ty tak pełen uczuć i honoru.

Już błyszczą w zachodzącem świetle słońca śnieżne szczyty Nevady. Okazują się mury Generalifu — niezliczone wieże Alhambry wyciągają swe szczyty. Już nasi przyjaciele wjeżdżają w woniejącą atmosferę Granady. Niezliczone mnóstwo villów i ogrodów wieńczy z daleka piękną Maurów stolicę.

Przy rogatce pyta się Zygmunt, czy nie masz w bliskości Alhambry jakiejś *Casa de pupillos*, u jakiejś wdowy — pyta się, gdzie tylko może, wywiadyje wszędzie.

— Jest casa de pupillos de la viuda Alexandri, ale to skromny domek; tam się panom podobać nie będzie.

Zygmunt bierze adres i pędzi ku wskazanęj okolicy, Sir Walter zostaje i czeka na Lionela.

Skromny to domeczek, ta Casa de pupillos wdowy Alexandry, bardzo skromny i w ciasnej, cichej położony uliczce. Wdowa, pani tego domu, zgrzybiała prawie, blada i podejrzliwego oka, mówić nawet nie chce z młodym człowiekiem.

— Mój sennorito—tu miejsca w mym domu dla pana nie masz,—tu tylko ciche, ubogie stoją osoby.

— Ja jestem cichy — spokojny, moja dobra Sennoro — pragnę spędzić czas mój na modłach. Przytém jestem ubogi, nie wiele mogę tracić na me utrzymanie.

— To—to — to! pan wyglądasz na

Anglika, tacy ludzie mają pieniądze i lubią wygodę i chałasy. Pan masz konia — u mnie nikt konno nie staje, stajen nawet nie mam.

— To koń najęty. Ja zaś nie jestem Anglikiem tylko Irlandczykiem — dobrym katolikiem, żadnym z tych co przyszli bić się przeciw dobremu Carlos quinto, ale synem jednego z tych, którzy wyganiali Francuzów z waszego kraju.

— Viva usted mil annos, żyj za to lat tysiąc, ale stań sobie gdzieindziej. Czemuż właśnie tutaj u mnie, — a czy mnie Pan Bóg skarał tym cudzoziemcem!

I staruszka prawie zagniewana, zabierała się wstać i pójść sobie precz.

— Oh Santa Virgen concebida sin peccado! rzecze Zygmunt żałośnie używając ostatniego ryzykownego środka dla zjednania sobie ucha starej kobiety. — Oh

Virgen immaculata! mnie zaręczał padre Silvas, że u was dobre znajdę przyjęcie.

— Jaki padre Silvas? zapyta przytłumionym głosem viuda Alexandri.

— Padre Silvas, dobry ksiądz portugalski, Domenico das Silvas. — Poznałem go tydzień temu na drodze z Antequerras do Loxa.

— On ci wskazał mój dom?

— Tak jest — miałem zabawić miesiąc cały w Loxa, ale nie znalazłem pracy.

— A czémże jesteś? z czegoż żyjesz, z czegoż się utrzymujesz?

— Jestem malarzem obrazów świętych — pracuję dla klasztorów i kościołów mego kraju. Zbieram kopie pięknych malowideł kościelnych.

— A to co innego — to co innego, — — trzeba mi było to powiedzieć wprzód. No, chodź do domu, wyglądasz tak na an-

glika—na żołnierza; ja jednych i drugich nie lubię. Ale twój koń zerwie mi par kan, oddaj go komu do trzymania.

Zygmunt konia odwiązuje i odprowadza ku końcowi ciasnej uliczki. Tu stanawszy spotyka resztę kalwakaty Waltera, Lionela i muły jeszcze.— Bieży ku nim i oddaje Raula, mówiąc po angielsku do Waltera: Sam z trudnością uzyskałem wstęp do stariej wdowy—idźcie sobie mieszkać do owego hotelu. Będę u ciebie skoro się więcej wywiem. Ale dajcież mi te święte malowidła i ten pakunczek—sam go poniosę.

Zygmunt installowany w izbie jakiejś wielkiej, której okna wychodzą na dziedziniec. Ostatnie promienie zachodzącego słońca bogate wlewają światło do izby. Korzysta z tego nasz podróżnik i przede wszystkim zajmuje się rozwinięciem

swych malowideł, ustawieniem podróżnych stalug.

— Innęj izby nie macie, spyta niby nie dbale usługującej mu w przyrządach małej dziewczyny.

— Mamy jeszcze jedną na dole, ale to bardzo ciasna i światła w niej mało, odpowie dziewczynka.

— A któż w niej mieszka teraz?

— Nikt nie mieszka wcale od dni kilku.

— A przedtem kto mieszkał? Patrz widziałas już kiedy taką piękną Virgen de la conception.

— Ah milagro! krzyknie mała dziewczyna — ah to cudowne, ah jakie ładne aniołki! Babciu! babciu! chodź no tutaj! ah to cudowne! I dziewczyna uklęka i ręce złożyła do pacierza.

— Nie wołaj jeszcze babci—jutro jej

pokażemy wszystko. Słuchaj, a przedtém, kto mieszkał na dole w tym ciemnym pokoiku?

Dziewczynka skończywszy modlitwę rzekła.

— Jegomość jakiś bardzo wielebny.

— Ksiądz zapewnie.

— Cicho—cicho! mnie się zdaje, że to ksiądz—ale babcia zakazała mówić. I to pan takie ładne rzeczy robisz.?

— Ja, moje dziewczę.

— Dolores—Dolores! krzyknie staruszka z dołu—co ty tam tak długo robisz?

— Pomagam panu wypakowywać świętych.

— Dobrze! dobrze! pomóż mu, odpowie rozbrojony Argus.

— A tu w tej izbie kto mieszkał, także jaki wielebny sennor.

— Nie tutaj mieszkała inna osoba.

— Jedna tylko?

— Jedna odpowie jękając się, blednąc
cokolwiek Dolores — jedna.

— I nie bała się ta osoba sama jedna?

— A przecież i pan się nie boisz.

— Dobrze — ja jestem mężczyzną a nie
kobietą.

— Ja nie powiedziałam, że to kobieta.

— Powiedziałaś serce, cóż to szkodzi,
przecież to nie grzech powiedzieć, że ko-
bieta kobietą. I nic się nie bała?

— Oh nic wcale — ta sennora, choć
taka młoda, nic się nie bała wcale ani na-
wet po....

— Po czém? spyta Zygmunt.

— Dolores — Dolores — zejdz teraz,
krzyknie znów Argus.

— Babuniu, taka ładna Panna Marya
de la concepcion — ah żeby Babunia wie-
działa! ah jak ona piękna i święta.

— Idź teraz i przynieś mi za pół godziny cztery świece i tyleż lichtarzy — pracować myślę noc całą.

— Noc całą — ah dla Boga! — nie, nie! pracuj pan noc całą.

To ona! to ona! niezawodnie to ona! ale sama tu była, pokazuje się. Nowe jakieś zawikłanie! nowe zgryzoty. — Czy tylko ten przebrzydły Silvas, dla dostąpienia jakich czartowskich zamysłów nie usunął z jej towarzystwa tej wierniej niemej sługi. Zawadzała mu może? — ah czarty piekielne zazdrości i bojaźni rozrywają me serce. Więc tu była ale sama. I jej nie masz. Kiedyż wyjechała? i dokąd się udała? to pytanie, na które dziś idąc moim zwyczajem, szturmem biorąc rzeczy, muszę mieć odpowiedź. — Gdyby ta Dolores była starszą — łatwiejby było uzyskać odpowiedź. Ale to dziecko — zwyczaj

nym sposobem celu osiągnąć nie można. Dalej tedy do umiejętniejszych fortelów.

Biedna Foncitta! — ta dziewczyna niegdyś tak swobodnie bujająca po swoim Edenie, teraz liczy godziny, minuty i chwile, i czeka na mnie i na rozwiązanie przyrzeczenia, — a chwile długie jak godziny, a dni długie jak wieki. — Brzydki to figiel panie Zygmuncie — brzydki! Ale czemuż jestem tak nieszczęśliwym, że niemożę wybrnąć z jednej niedoli, bez wtrącenia w nią innej osoby. — Jestem indywiduum — żyć muszę niestety! i pragnąć szczęścia muszę, chociażbym nie chciał. To co stoi memu szczęściu na zawadzie, to zwalić muszę, to co mi do szczęścia pomódz może, to mi służyć winno. Sliczna mi filozofia! doprawdy tak i Sennor Navarro i ojciec Domenico rozumują. A Sir

Walter, ksiądz Fadrique, don Pasqual inaczej rozumują, przecież są szczęśliwymi. Prawda — żaden z nich wielkiej nie posiada wyobraźni, żadnego z nich nie dręczy potrzeba czynu jak mnie, — żaden z nich kochać nie był w stanie, jak ja kocham — bo na to potrzeba tego ognia niczém nieugaszonego, który ciągle we mnie pałał i teraz na nieszczęście cały się zwrócił na ogrzanie, na wyniesienie jednego uczucia do potęgi prawdziwie zastraszającej.

Zygmunt zbudowawszy sobie filozofię, potem contre-filozofię i pokonawszy contre-filozofią nowo przyjętą teorię naturalnych, wrodzonych człowiekowi, nie zwalczonych popędów, pan Zygmunt oczyściwszy jeszcze raz gąbką samolubstwa swe czułe sumienie, przechadzał się po obszerniej izbie i pomimowolnie zwrócił

całą swą uwagę na wyśledzenie jakiegoś śladu dawnych mieszkańców tego miejsca. Szukał, szperał po wszystkich kątach, po szufladach — ale nic nigdzie nie znalazł. — Mało mebli w domach hiszpańskich, biórka tam nie znają. „Może na szybach pierścieniem wyrznięta me imie nękana tęsknota, — może choć parę serc strzałą przebitych tam znajdę. — Szuka na wszystkich szybach — ale szyby przepalone słońcem mienia się we wszystkie kolory tęczy, a żadnego na nich imienia, żadnych serc przebitych. Ale otóż jakiś papier zatyka dziurę w ramach — może to? Istotnie była to stronnica angielskiej książki, którą Zygmunt na pokładzie Maryi Stelli widział u Fernandy.

— Ha przecież — przecież posiadłem ślad jakiś jęj pobytu w tęj izbie! przecież coś do mego serca przytulić mogę, co w jęj

rękach było. Boże! dziękuję ci za ten dar — teraz choć na chwilę będę szczęśliwym, zniosę łatwiej może tęsknotę.

Dolores przychodzi ze świecami, niesie także gromnicę, zapala ją i stawia przed obrazem Matki Boskiej na staludze umieszczonym.

— Cóż ty robisz Dolores? zapyta Zygmunt.

— Taka piękna Matka Boska niepowinna zostać bez uczczenia w domu naszym — a potem to poświęcona gromnica — trzymać będzie z daleka od pana złe, lub pokutujące duchy, rzeczy przytłumionym głosem patrona.

— Albo tu co pokutuje? — powiedz Dolores.

— Poco to panu wiedzieć?

— Poco? a przecież to rzecz ważna — gdyby pokutowało odmówiłbym większą

ilość pacierzy, odmówiłbym nawet pacierze na intencję pokutującej duszy.

— Ah prawda — prawda! dobry pan katolik. Na chybił trafił odmów pan pacierze na intencję duszy pokutującej.

— A któż jest patronem, lub patronką tej duszy—kogoż mam błagać o intencję do Boga,—spyta Zygmunt— a cierpło mu serce—może ona, może ona tu umarła.

— Zmów pan do Matki Boskiej pacierze dla głuchoniemiej kobiety.—Ona już będzie wiedziała kogo się to tyczy.

— Ha! więc głuchoniema tu umarła!

— A zkadźce pan wie—a tak istotnie —tu jedna głuchoniema kiedyś umarła — istotnie, i umarła bez spowiedzi, bo spowiadać się nie mogła, będąc niemą.

— Umarła nie dawno temu?

— Dolores! Dolores! chodź spać, krzyczy znowu babunia.

— Dobra noc Caballero!

— Dobra noc Dolores — słuchaj, — babuni ani słowa o tém cośmy rozmawiali — ani słowa.

— Nie bój się pan, — ona żeby wiedziała com tu wyplotła, — ubiłaby mnie, choć mnie bardzo kocha.

Zygmunt jeszcze w większym kłopotcie rozbija sobie głowę pięściami.

Ha! głuchoniema tu umarła — potem w domu pokutowało, — a Fernanda tu samotną była. — Nocą pokutowało a Fernanda samotną tu była i nie bała się; — ona, co się tak lękała burzy. — samotną tu, sama jedna. — Ha demonie! ha poczwaro, brzydalu. Miałżebyś tak spożytkować zwycięstwo przezemnie odniesione? — a ja szaleniec, głupiec, niedołęga, miałżebyś gonić za kobietą, do tego stopnia swęj piękności niegodną — do tego sto-

pnia słabą, że się podobnemu da uwieść potworowi?

Nie! odstępuję od tej partyi i nigdy w mem życiu nie uwierzę kobiecie, żeby była najmłodszą, najpiękniejszą. Kokieterya jest im wrodzoną jak instynkt zbójceki sokołowi, a kokieterya prowadzi do wszystkiego złego: do płochości, do fałszu, do zdrady—do podłości nawet.—Ha! donna Fernanda! najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu mem widziałem, piękna do tego stopnia, że ją Anglicy zubóstwili,—Fernanda piękna jak Dyana, dumna jak Juno, szczytna jak Minerwa, a jak Venus miłosna!—w ramionach tego brzydala—nie—tego nie zdołam przeżyć,—wydrę mu życie i jej także, jej, która do grobu wtrąciła istności mej część najlepszą, bo wiarę w szlachetność najszczytniejszego piękna!

Zygmuntowi powietrza brakło—otwo-

rzył wszystkie okna, — wielkim krokiem przechodził się po obszernéj izbie — i by większą zyskać przestrzeń do swych rozpaczliwych przechadzek w kącie wsunął sztalugi z obrazem Matki Boskiej i wstawił gromnicę pomiędzy obraz i ściany tak, że światło padało tylko na sufit i na izbę, i łuna jego nie rozchodziła się na okna.

Bije na niezliczonych zegarach Grana-
dy godzina dziesiąta, potem jedenasta, a Zy-
gmunt nie śpi tylko pogrążony w myślach
chodzi po pokoju, lub patrzy z okna na
gwiazdziste niebo. Ze wstrętem spojrzy-
czasem na łoże ustawione w pokoju —
zżyma się gorączkowym dreszczem trzę-
siony. — Bije pół do dwunastéj, trzy kwan-
dranse — on ciągle w oknie w smutnych
zatopiony myślach.

W tém dochodzi go szmer jakiś z dzie-
dzińca ze strony ogrodu. W pomroku

nocnym widzi człowieka jakiegoś bardzo niskiego wzrostu przekraczającego parkan ogrodowy. Człowiek ten zbliża się ku domowi z małą drabiną w ręce, przystawia ją do drzwi i wchodzi w ciasne okienko umieszczone nadedrzwiemi, — wciąga za sobą drabinę — już jest w wnętrzu domu. Wchodzi wschodami z największą ostrożnością na pierwsze piętro, mija drzwi pokoju zamieszkałego przez Zygmunta właśnie w chwili, gdy tenże uchylił te drzwi cokolwiek by się bliżej przypatrzeć przybyszowi. Nie wiele mógł rozeznaczyć w ciemności, — widział tylko że to niskie, zwiędłe i czarne na twarzy. Idzie *to coś* coraz dalej, odmyka przyniesionym kluczem drzwi prowadzące na płaski dach domu i pnie się nań po schodach wciągając za sobą drabinkę.

Aha! — to nasz upiór zapewnie — rze-

cze do siebie Zygmunt, — Bogu niech będą dzięki, Alpy spadają z mych piersi, więc to nie padre Silvas. — Ale co tu robić? — czekajmy nieporuszeni dalszego ciągu awantury.

Nie długo czekał Zygmunt. Dwunasta godzina bije na bliskim zegarze wieży parafialnej i wzrusza poważne echa dwudziestu innych zegarów. Znów cisza, ale nie na długo. Jęki płaczliwe, rozdzierające rozchodzą się po całym domie i to jakimiś tajemniczymi kanałami, bo zapelniając wszystkie szczeliny domu, zdają się wychodzić z pod ziemi. Cierpły Zygmuntowi nerwy — tętniało w nim serce, tak przeraźliwe były te jęki. — Porwał za pistolet, latarkę zaśwycił i tak uzbrojony cichym krokiem wchodzi na dach domu.

Tutaj spostrzega z niemalém zadziwieniem drabinkę przystawioną do wysokie-

go a ciemnego komina, a na samym szczycie komina owo drobne stworzenie, które właśnie wśliznęło się do domu. — Głowę miało zamurzoną w otworze komina i z tamtąd przesyłało te jęki płaczliwe rurami prowadzącemi do kominków pokojowych.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Granańczyki zachowali i w tem zwyczajach swych poprzedników Maurytańskich, że w każdym pokoju mieli niziutką kotlinkę z której codziennie pomimo ciepła rzadko znikał ogień. Przy tym ogniu przykładającym się do odświeżania powietrza sporządzali sobie strawę i ogrzewali się zimową porą weale tu dotkliwą dla bliskości gór Newady, wiecznym śniegiem okrytych.

— To ty tak straszysz mały upiórku—rzecze do siebie Zygmunt—dobrze,

nastraszyć się do woli, potem jak zejdziesz poznamy się z sobą bliżej.

Upiórek był całe pół godziny — raz mocniej — raz słabiej — ale zawsze tak przenikająco, że w uszach pischowało. Raz ustawał, drugi raz z tem większą jęczał wściekłością.

Pół do pierwszej uderzyło. Upiórek wyjął czarną głowę z otchłani komina i śmiejąc się pociesznie głosikiem jakimś koźlim, zszedł drabiną na dach i zaciera-
jąc sobie osmolone ręce, śmiał się ciągle:
hi! hi! hi! hi! doskonale dziś udawałem
jęki głuchoniemój, trzeba przyznać.

— Jak się masz upiorze? spytał naiwnie Zygmunt, i chwytając duszę niemo-
wy za gardło i świecąc jej w oczy dodał:
Oj że brzydki jesteś okropnie to nie se-
kret. Carajo! mały, stary, czarny, kosma-
ty, — jeszcze brzydszy jak padre Silvas!



